

Ewa Madeyska

Katoniela

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Ewa Madeyska © Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków  
2007

Wydanie pierwsze Redaktor prowadzący Krzysztof Lisowski Redakcja Wiesława Otto-Weissowa Korekta Henryka Salawa Projekt okładki i stron tytułowych Karolina Kowalska Redakcja techniczna Bożena Korbut Printed in Poland Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2007

ul. Długa 1, 31-147 Kraków bezpłatna linia informacyjna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl) fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnictw Naukowych w Łodzi, Sp. z o.o.

ISBN 978-83-08-04092-8

Była katoliczką.

Wyboru wyznania dokonali za nią rodzice, a za nich ich rodzice, a za nich, i tak dalej. Katolicyzm ciągnął się za rodziną Aniela od Bóg wie kiedy. Wyparł protestancką herezję ze strony babki ojca i prawosławną ortodoksję ze strony pradziada matki. Silny katolicyzm. Mocny. Tak mówiła matka Aniela. Ona w ogóle dużo mówiła.

Mówiła na przykład, że Aniela jest ochrzczona.

- Jestem ochrzta? - pytała matkę Aniela.

- Jesteś - odpowiadała. Bo Aniela była ochrzta.

Nie przechrzta. Przechrztami byli Apfelbaumowie z Częstochowskiej, którzy wraz z odnalezieniem Mesjasza odnaleźli nowe nazwisko. Jabłońscy. Jabłońscy byli przechrztami. Do dzisiaj nikt nie wie, dlaczego nie wyjechali wtedy, kiedy wszyscy stąd wyjeżdżali. Wszyscy wyjeżdżali do Ziemi Świętej. Wszyscy w prostej linii od Abrahama, Izaaka i Jakuba. Ruszyli pod mury Świątyni. Pojechali pokazać Jerozolimie swoje twarze. Swoją czarną jak żydowskie oczy bezdomność. Swoją długą jak pejsy pobożnego chasyda samotność. Swoje pachnące czulentem wygnanie.

Pojechali wszyscy oprócz Apfelbaumów-Jabłońskich. Tutaj bowiem, w mieście na granicy dwóch światów, zapuścili korzenie, zatrzymali się i pozostali.

Tutaj też czekali na Mesjasza, czekali na Niego cierpliwie, na Mesjasza, który objawił się różnym narodom, lecz nie wybranemu. A oni czuli się narodem wybranym. Mesjasz jednak z przybyciem do Apfelbaumów zwlekał, nie przychodził do nich, uwodził ich kolejnymi terminami, pokręcił drogi i ścieżki w krzyżówki bez rozwiązania i bez nagrody głównej. Apfelbaumowie wzięli sprawy w swoje ręce. Znaleźli Go sami.

W Białym Kościele. Niedaleko Częstochowskiej, przy której mieszkali, w starym domu, pamiętającym pożogę powstania w getcie. I ochrztili się. I stali się Jabłońskimi. I każdej niedzieli chodzili na msze święte.

I stary Jakub, i jego żona Hanna oraz ich jedyny syn - młody Jakub.

Aniela urodziła się kilka lat po czystkach czerwonych faraonów.

- Jestem ochrzta?

- Jesteś.

Gadać każdy może, myślała Aniela. I szukała, bo szukajcie, a znajdziecie, dowodów chrztu. W domowych papierzykach, w stosach nieudanych, i zdecydowanie późniejszych niż

chrzest Anieli, fotografii matki, w mounteverestach śmieci gromadzonych w październowych szufladach, w teczkach z dokumentami. Nie znalazła jednak nic, żadnego zdjęcia, żadnej metryki, nawet srebrnego medalika nie znalazła. A chciała znaleźć, bo chrztu swojego nie pamiętała, bo pamięć Anieli była naga i krótkoreka - nie sięgała opuszkami dziecięcych paluszków w przeszłość tak daleką jak chrzest.

Matka tłumaczyła Anieli, że wszystko odbyło się tak jak należy.

Wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, matka nie miała zorki pięć, dlatego nie zrobiła zdjęcia, ważnego zdjęcia, koniecznego dowodu chrztu Anieli.

A zakład fotograficzny był nieczynny, i niech Aniela nie pyta dlaczego, bo ona, matka, Duchem Świętym nie jest, żeby wiedzieć, z jakiego powodu Wolski i Syn zamknęli ubogie atelier w dniu przyjęcia do Królestwa jej drugiej córki.

Z medalikiem było gorzej. Matce wydawało się, że Aniela dostała medalik od ciotki Dory. Sama powiesiła go na szyi Anieli w jej czwarte urodziny. Chyba.

Szkaplerzyk z Panienką Najświętszą z jednej strony i ze św. Krzysztofem z drugiej. Srebrny szkaplerzyk.

Może tak było, kto wie.

Matka nie pamiętała.

Nie wiedziała, że Aniela kilka dni po uroczystości z tortem, naszpikowanym czterema tłustymi świeczkami, poświęcone srebro utopiła w kiblu na Gruntowej. Na nie zatemperowanej kredce umocowała łańcuszek, a z medalika zrobiła przynętę. Czekala na grasującego w rurach szczura, czekała na niego ze świętą wędką pływającą się w odmetach sedesu. Nie wiadomo jak i kiedy, i czy w ogóle medalik z łańcuszkiem utopił się. Na Gruntowej była wtedy Kryska, śpiewała swoje psalmy, w swoim języku śpiewała, w języku, który nie przypominał żadnego z ludzkich języków, może tylko kombinację gardłowych dźwięków apostołów, na których Duch Święty zstąpił w dniu Pięćdziesiątnicy. Zawodziła więc i wyła, pewnie zasikana, śpiewała, siedząc pod oknem w dużym pokoju. Na podłodze siedząc. W zaszczytach rajtuzach siedząc. Może przestraszona Aniela wrzuciła świętego Krzysztofa z Panienką do rudej wody, wtedy kiedy Kryska zaczęła walić z jakiegoś powodu w drzwi toalety? Aniela nie pamiętała. Ani powodów wycia śmierdzącej Kryski, ani momentu trafiony-zatopiony medalika.

Metryka chrztu, jak mówiła (znowu mówiła, wciąż mówiła) matka, walała się gdzieś w domu, tylko gdzie, no, Aniela, daj mi spokój, do cholery, nie widzisz, że jestem po dyżurze? Matka jak rozstrojona altówka rzeźbiła, że jeśli Anieli tak bardzo zależy, to ona, matka zapracowana, niewiasta umęczona, pójdzie do kancelarii parafialnej, do grubej zakonnicy, do siostry sekretarki Maksymiliani i weźmie od niej to głupie zaświadczenie, które tak naprawdę wcale nie jest potrzebne, bo komuniam odbędzie się przecież w tym samym kościele, w tej samej parafii co chrzest, więc dowód przyjęcia do Królestwa Niebieskiego nie jest potrzebny, Aniela zaś marudzi i lepiej idź spać, dziecko.

- Nie pójde do pierwszej komunii świętej - powiedziała matce Aniela w kuchni Starego Mieszkania, z podłogą pokrytą burym linoleum.

Aniela kiwała się na październowym stołku w przód i w tył, balansując między stanem jeszcze siedzę a już leżę. Żuła gumę, wyciągała ją, rozciągała, miętoszyła i na powrót pakowała w buzię. Najbardziej lubiła donaldówki, żłobione prostokąty pełne kleistej słodczy i zapachu, jak sztuczny miód kupowany na rogu ulic Gruntowej i Zwycięstwa. Historyjki z donaldówek Aniela zbierała w metalowym pudełku Społem. Czarno-niebieskim. Ze zgrabnie wymalowanym, jak na pogrzebowej szarfie, napisem: herbata jubileuszowa. Pięć historyjek wymieniała na jedną gumę. Przy dobrym targu już za cztery papierki dostawała to, czego chciała. Nie wymieniała kolorowych bumażek dla samych bumażek. Chodziło o kleiste gumy.

Każdą gumę żuła trzy dni. Nawet wtedy, kiedy urosła, dojrzała. Zwłaszcza wtedy Bo wtedy pojęła, do czego można używać żute gumy. I z jaką pasją je wyrzucać można. W szeol kubła na śmieci.

Zżuwki wżute, wyjedzone, pozornie beżużyteczne chowała w dalszej części

podskórnej strony stołu, w rogu pod blatem, między oknem a ścianą, w najdalszym rogu, żeby matka zzuwek nie znalazła, nie wyrzuciła i nie jęczała: śmieciarę urodziłam, wychowałam, wyhodowałam!

Bo matka czystość, zaprawdę powiadam wam, kochała najbardziej ze wszystkiego. I porządki, które miały swoje porządki. Zwłaszcza te przedświąteczne.

Zaczynała zawsze od góry, zawsze od krain podsufitowych, od zakurzonych łąk z mięsistymi pajęczynami dyndającymi na wysokich rogach ścian. Później wilgotną jak pochwa prostytutki ściereczką zbierała brudy pałętające się na szafach, zresztą ściereczką - myślała Aniela - musiała być prostytutką, skoro było jej wszystko jedno, po jakich powierzchniach jeździ, z kim się zadaje, z jakim rodzajem nieczystości obcuje, a co tam! W końcu mała, brudna ścierka schodziła niżej. Lądowała na chwilę na równym brzegu żółtej miednicy (Aniela, zostaw to, nie baw się szmatą, nie taplaj się w brudnej wodzie) i odpoczywała.

Matka wymieniała ściereczkę brudną na czystą i tą czystą polerowała meble, raz, dwa w lewo, raz, dwa w prawo, chuch jeden, chuch drugi, by wszystkie brzydkie plamy, tłuste odciski palców, poszukujących w wysokich szafkach ukrytej czekolady, zedrzeć, zetrzeć i zmyć. A kiedy drzwi szafeczek matka obmyła i wychuchała, a one, choć nie pokropione hizopem, ponad biel czystsze się stawały, schodziła na niziny, odkładała szmatkę arystokratkę i znowu wracała do tej brudnej, i zaczynała wygarnianie nieczystości spod szaf, stołów, foteli, by nierówną, pokrytą warstwą bezbarwnego, matowiejącego lakieru klepkę oczyścić, uczynić ją bez zmyzy. Kiedy zaś parkiet stawał się prawie niepokalany, matka zaczynała zawodzić.

Jaka jest zmęczona, bo pracowała bez przerwy. I że z Anieli taka pomocnica jak z koziej dupy pudernica.

Nie to, co Marta.

Marta zazwyczaj milczała. Matka zazwyczaj jęczała. A najbardziej wtedy, kiedy znajdowała przyklepione do podskórnej warstwy stołu zzuwki. Bo pod stół też wchodziła. I było dobrze, dopóki nie podnosiła głowy, dopóki interesowała ją tylko podłoga. Ale kiedy unosiła oczy, kyrieielejson, chrysteielejson, żadne Panie, zmiłuj się nad nami nie mogło pomóc Anieli.

Matka zapędzała ją pod dach stołu i małym nożykiem kazała wyskrobywać zzuwki. A sama dalej stękała i zawodziła.

O, jakże ona lubiła stękać i zawodzić. Jak płaczka judejska. Po trzech dniach zmartwychwstawała jednak i z radosnym alleluja mówiła, przeproś mnie, brudasko, a wybaczę ci, alleluja! Aniela nie przepraszała. Matka obrażała się na kolejne trzy dni. Potem samo jej przechodziło. Dopóki znowu nie przypominała sobie o podskórnych warstwach stołu.

Z czasem przestała się odzywać. Przestała gadać, mówić.

Ale to było później, znacznie później.

Wtedy kiedy wypracowała działający bez zarzutu, działający jednocześnie na wszystkich poziomach bezwargowo-bezjęzykowo-bezżębowego porozumiewania się, system spojrzeń, westchnień, gestów, w których mieściło się znacznie więcej treści niż w wargowo-językowo-żębowym sitku słów. W ważnych momentach czasem jednak mówiła.

Tak było ze ślubem z Totalnym.

Matka siedziała wówczas w pokoju zwanym balkonowym, w klitce trzy na trzy i pół metra, w klitce, której połowę przestrzeni anektowała wielka szafa, ale w której wciąż mieścił się mały stolik i wiklinowy fotel. Właśnie w tym pokoju słuchała cicho radia.

Sączyła się z niego jakaś melodia, Aniela usłyszała słowa, strzępy słów, bo matka nigdy nie przesadzała z głośnością. Taki nawyk. Został jej z czasów, kiedy Marta potrzebowała dużo ciszy. Do Anieli dotarło: ...zastarzała w grzechów brudzie; podaj rękę, powstaniemy, prosz za nami, ożyjemy...

Aniela, stojąc między holem a pokojem, patrzyła na matkę, na jej dłonie, które wciąż dotykały pacjentów, wciąż macały im brzuchy, węzły chłonne oraz inne miękkości, twardości, wypukłości, wklęsłości i z równą sprawnością nieustannie tańczyły na paciorkach różańca.

Matka spojrzała na dłonie Anieli, które od jakiegoś czasu głaskały owłosione ręce Totalnego, przystojnego, wysokiego, uwodzącego samym wzrokiem Totalnego. Zapragnęła, aby dotyk Anieli mógł zetrzeć, wygładzić papilarne linie wrednego przeznaczenia.

Widziała więcej, czuła więcej, jak przekłeta wróżka z Endor. Niemo przepowiadała córce przyszłość, o, gdyby duchy mogła wywołać, byłoby łatwiej, prościej i dosadniej. Ale nie mogła.

- Wychodzę za mąż - powiedziała Aniela.

- Chcesz? - zapytała matka.

- Nie.

- Musisz?

- Tak.

- Wychodź więc.

Tyle powiedziała matka. Ustami.

Ciało matki powiedziało: skończona idiotko, będziesz w pocie czoła znosić jego kaprysy, będziesz we krwi i w bólu rodzić jego dzieci, będziesz mu służyć do końca dni swoich, będziesz się męczyć tak, jak ja się męczę, po katolicku i po grób swój, a nawet jeszcze dłużej, święta niewolnico od śmierdzących skarpet, które znajdziesz zawsze tam, gdzie znajdować się nie powinny.

Bo matka wiedziała, co znaczy rodzić dzieci i znajdować męzowskie skarpety to tu, to tam. Tak jak gumy Anieli znajdowała. Ciągłe. Aniela po dotkliwych stratach, po gum odskrobywaniu spod blatu stołu, po do śmieci zzuwek wyrzucaniu, odbudowywała zapasy. Bo gumy to był materiał. Do lepienia. Żeby lepić, trzeba było najpierw garść zakurzonych gum, tych ocalonych, przechowywanych w dalszej części spodu kuchennego blatu, przeżuć powtórnie, dzieląc szarą, twardą bryłę na kilka mniejszych części. Kiedy jedną z nich Aniela miała w zębach, pozostałe miętosila w dłoniach. Żeby nie stwardniały. Później zaczynało się lepienie.

Aniela wtedy mówiła, teraz jestem jak Bóg. I była.

Wyklejała najczęściej psa, którego matka nigdy nie chciała jej kupić, bo to obowiązek śmierdzący, bo to smród obowiązkowy, więc Aniela psa sobie zazwyczaj robiła i czasem papugę, tę ze sklepu przy kościele, papugę też robiła. Kiedy miała już psa i papugę, zaczynała miętosić w dłoniach szarobrudne gumowe części rajy. Robiła drzewo, pełne mądrości drzewo, na którym papuga mogłaby siedzieć, a które pies mógłby obsikać. Takie drzewo mądrości, jaka mądrość mieszkańców jego okolic.

Jakiś czas później, dużo później, jeszcze przed Marty powrotem do domu, Aniela, tak jak Bóg, ulepiła mężczyznę. A raczej kawałek mężczyzny. I od chwili kiedy po wizycie w hotelu ojca płakała przy garażach, lepiła go regularnie. Właśnie przy garażach po raz pierwszy wyciągnęła ze szkolnej teczki cały zapas donaldówek. Było ich sześć. Dostała je od Cezarego za chiński długopis. Wyjęła więc wszystkie gumy i ulepiła mężczyznę. Ojca swojego rodzzonego. Ubabrana sklejąc palce tworzywem, głowę swojego ojca wykonała. Z wymykającym się spoza warg końcem języka i z krótką, ale głęboką bruzdą między brwiami - oznakami najwyższego skupienia - przytwardzała ze świeżo przeżutej części gumy nos, dłubała w oczach, w uszach oraz wewnątrz klejącego się do jej boskich palców mózgu. Bardzo chciała na koniec tchnąć w swoje stworzenie ducha wierności. Ale zasmarkana, zapłakana, splunęła tylko w gumową czaszkę ojca. A potem wywaliła ją prosto w błoto, mówiąc: z gumy powstałeś i nic cię nie ocali.

Teraz jestem jak diabeł!

Bo diabeł był. Tak mówiła babka Jakuba, która po codziennych wieczornych pacierzach opowiadała Anieli jakąś biblijną historię. Najczęściej rajska. Bo o tę Aniela prosiła najczęściej, inne, babciu, są już nudne, a ta wciąż nie. I kiedy Jakuba przedła swoje słowa na kołowrotku prostych znaczeń, Aniela myślała o tym, czego w opowieści nie słyhać. Na przykład o ogryzku rajskiego jabłka. Adam i Ewa zjedli owoc w całości czy tylko skosztowali? Czy każdy grzech smakował jak owoce? A jeśli całe jabłko zezarli, co stało się z

ogryzkiem? I czy Adam z miłości do Ewy grzech popełnił, czy też ze strachu przed utratą jej miłości? I czy Ewa była głupia, czy tylko chciwa?

A może mądra, bo po co komu nudny raj, kiedy życie w pocie czoła od pracy ponad siły i z porodowymi bólami krzyżowymi było znacznie bogatsze niż szwendanie się po raj.

O, naprawdę! To było ciekawe! Tak samo ciekawe jak owocowe grzechy ojca, wobec których matka nie była tak twarda jak wobec Anieli.

- Pójdiesz - odpowiedziała, rzucając spojrzenie znad miski pełnej mielonego mięsa, gotowego na mariaż z surowym jajkiem i z czerstwą kajzerką pływającą brzuchem do góry w brodziku z gorącą wodą i zimnym mlekiem.

- Dlaczego?

- Bo tak. Tak trzeba. Bo musisz. Bo sakrament. Bo zbawienie. Tak było zawsze. W naszej rodzinie. I nie tylko w naszej.

- Wiem. Ale w książeczce jest napisane, że najpierw chrzest, a później komunie. Skąd mam wiedzieć, że mnie ochrzciłaś? Nie masz ani jednego głupiego zdjęcia z wtedy, co, nie? No bo nie masz. Razem szukałyśmy. I co? - Aniela patrzyła na matkę. - I psinco - dodała. - A poza tym - rozpakowała kolejną donaldówkę - a poza tym, ja nic nie rozumiem z tego durnego katechizmu. Oprócz tego, że po śmierci pójdę albo do nieba, albo do piekła. Bo nawet ten czyściec to jakiś dziwny jest. Czyściec czyściciel. Nie?

Pięść matki zacisnęła się mocniej na mielonym.

Przed dodaniem posiekanej cebuli Aniela przypomniała matce, że kiedy ksiądz Józef kazał wkleić do zeszytu z religii zdjęcie ze chrztu, ona, Aniela, nie zrobiła tego. A przecież inne dzieci miały najważniejsze zdjęcie świata (co tam metryka i medalik!), miały fotografie, czarno-białe, czarno-szaro-białe, czasem kolorowe, kolorowe rzadko, ale wszystkie miały. Aniela nie miała - w domu nie było ani jednej fotografii Anieli w beciku, Anieli w kościele, Anieli namaszczonej olejami świętymi, polewanej wodą świętą, wodą przeczystą, wodą obmywającą, Anieli z rodzicami takimi i owakimi. Czyli z rodzonymi i chrzestnymi.

- Jesteś ochrzczona. Uwierz - wystękała matka, panna od mielonych, od schabowych, od kurzych nóżek, od karkówki pieczonej lub duszonej, od mięs, które jeszcze wtedy były, bo później już nie, bo później to raczej pierogi i naleśniki, i placki ziemniaczane z cukrem i ze śmietaną.

Aniela miała dziewięć lat i chciała tylko zdjęcia z chrztu. Niczego więcej.

I zrobiła po swojemu, wtedy zrobiła po swojemu, zresztą nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni. Wtedy kiedy ksiądz Józef z tym zdjęciem wyskoczył jak diabeł spod inkwizytorskiego płaszcza, wtedy poradziła sobie z brakiem zdjęcia, z religią i z księdzem Józefem.

Ze wszystkim dała radę. Metodycznie. Po kolei. Obejrzała najpierw dokładnie fotografie Poli z jej chrztu.

Zapamiętała kompozycję osób, kompozycję rekwizytów, kompozycję gestów. I zamiast fotografii, w szesnastokartkowym zeszycie obłożonym w przezroczystą folię, za którą Aniela wsunęła obrazek Świętej Rodziny zastygłej w zachwycie nad żłóbkiem Syna, wesoły nam dzień dziś nastał, Syna właśnie narodzonego, właśnie na świat wydanego, Boga tłuściutkiego, jasnolokiego, niebieskookiego, z semickości odartego, Syna, co Człowiekiem postanowił stać się i życia ludzkiego polizać, i śmierć posmakować, w zeszycie szesnastokartkowym, a właściwie czternastokartkowym, bo jedną ze środka Aniela wyrwała i papierowy samolot zrobiła, który zawierał pilną depeczę do Bolka; Kocham cię, Bolo, napisała Aniela, a siedząca obok Pola wzruszyła ramionami i szepnęła: chcesz mieć ryże dzieci, dziwko? W tym zeszycie zakwitł koślawy rysunek. Matka chrzestna Anieli siedziała w powietrzu, wisiała nad nie istniejącym krzesłem. Aniela nie umiała go narysować. Z rąk ciotki Dory (jednej dłuższej, drugiej krótszej) wypadało niemowlę ubrane w sukienkę w kolorowe kwiaty, w krwawe maki i w jakieś niebieskie zdechlaki. I leciało w kratkowaną przestrzeń dołu kartki, tam gdzie nie było już nic, bo temat kolejnej katechezy: Rzeczy ostateczne: śmierć, sąd Boży, niebo albo piekło, ksiądz Józef kazał wpisać na następnej stronie, więc

nawet rzeczy ostateczne nie mogły uratować Anieli przed upadkiem w papierową otchłań. Ojciec chrzestny wsadzał matce chrzestnej czarną świecę w lewe ucho, stojąca zaś z tyłu matka rodzona zezwalała na brodatego ojca rodzzonego, który w rzeczywistości nigdy brody nie nosił. Anieli wydawało się, że tak będzie wyglądał dostojniej. Nie wyglądał.

Kiedy ksiądz Józef ujrzał dzieło Anieli, szepnął, że to Bosch, lecz Aniela, wrywając mu z dłoni zeszyt, odrzekła, żeby nadaremno Boga nie przyzywał, i w ogóle o co chodzi? Jest obrazek? Jest. Ksiądz przyzywał jednak. Nie Boga, lecz matkę Anieli.

Od tamtej chwili przestała rysować w zeszycie do religii. Tłustemu Jezuskowi było wszystko jedno.

Wciąż uśmiechał się zza okładki. Ksiądz Józef zakazał Anieli rysunków, może nawet zagroził matce Anieli ekskomuniką? A może wysłał ją na kurs fotograficzny? Bo każde późniejsze ważne wydarzenie dokumentowała starą zorką pięć kupioną od Ruskich.

Aseptyczna matka, dokładna, akurтна, właściwa, konkretna jak przy sprzątaniu, metodyczna i posłuszna, próbowała dobierać fotograficzne parametry: tu ciemniej, tam jaśniej, tu na słońcu, tam w cieniu, tu w chmurkach, tam bez chmurek, tu w kolorach, tam w czarno-bielach, tu tak, tam inaczej. Szpulę z nowym filmem zakładała tak wolno, jak Totalny z dyspensą prezerwatywy.

Zanim zdążyła naciągnąć film, ustawić, zrobić dwa próbne zdjęcia, Aniela wymykała się z kadrów, słońce zachodziło albo wychodziło, w każdym razie na niebie zawsze działo się inaczej, niż życzyłaby sobie tego matka, i pa, pa, fotografio, może innym razem.

Zanim Totalny kończył naciągać prezerwatywę, alleluja, bo miał na nią pozwolenie, Anieli miało podniecenie, wymykała się z wykrochmalonej, sztywnej pościeli, pozostawiając go w zafoliowanym przezroczystym kondomem zdumieniu. Wynosiła się do kuchni. Poczytać.

Matka była beznadziejnym fotografem. I wiedziała o tym.

Totalny był beznadziejnym kochankiem. I nie wiedział o tym.

Albumy rodzinne matka zappełniała zdjęciami prześwietlonymi, z nakładającymi się na siebie klatkami (Aniela nie ma pewności, co Totalny robił z prezerwatywami). Aniela miała na nich często dwie głowy i dwie pary oczu. Czasem w ogóle nie miała głowy, a z chudej szyi wyrastały zmutowane kończyny - wielokrotnie mnożone, jeśli obok znajdowała się szyja (też bez głowy) starszej siostry Marty.

Zazdrościła Marcie urody. Bo w wieku dziewięciu lat Aniela była chudym, brzydkim dzieckiem, ostrzyżonym na zapalkę, z lnianą szczeciną włosów, które nie komponowały się z czarnymi oczami, odziedziczonymi po siostrze babki ze strony ojca. Mamo, czy ja jestem twoja, pytała czasem matkę, bo jestem całkiem inna niż ty, tatuś i Marta, więc dlaczego ja mam, mam, węgle w moich oczach, a ty masz sweterek błękitny, ten sprany, co go już nie nosisz, w swoich oczach? Ale matka milczała, bo choć wiedziała, że Aniela jest owocem jej łona, owocem, który położnik zerwał po trzydziestu dziewięciu tygodniach ciąży, nie miała ochoty zapewnić córki, tak, jesteś moja, krew z krwi, kość z kości, krzyk z krzyku, płacz z płaczu, zaciśnięta pięść z zaciśniętej pięści. Bo szybko okazało się, zaraz po tym, jak matka z wrzeszczącym zawiniątkiem pojawiła się na Gruntowej, pojawiła się sama, wróciła sama, bez ojca, bez jego asysty, bez jego towarzystwa, bo nie mógł, bo praca, bo życie, a dziecko, kobieto, to twoja, a nie moja sprawa, ja muszę zadbać, żeby miało co do gęby włożyć, więc matka taksówką do domu wróciła i położyła Anielę w łóżeczku po Marcie, które miesiąc wcześniej umyła i odmalowała. I patrząc na poczętą ze strachu Anielę, co miała uratować matki oraz ojca bycie w sobie i ze sobą, szepnęła słowem Bożym: otóż wy jesteście niczym i wasze dzieła są niczym; obrzydliwością jest ten, kto was wybiera. A potem odwróciła się od Anieli, od łóżeczka Anieli, od ciemnej makaty zawieszanej nad łóżeczkiem, od makaty z haftem: Gość w dom, Bóg w dom, odwróciła się i obolała odeszła. Do kuchni. Obiad zrobić. Ojcu.

Czerń pod powiekami i konopna jasność włosów, paskudny dysonans, nietakt ze strony genów, dance macabre chromosomów, fatalnie rozwiązane równanie z cech

recesywnych i dominujących, sprawiały, że Aniela myślała, iż nie jest dzieckiem swoich rodziców.

A jeśli nawet, to piekielne obwódki wokół źrenic były konsekwencją ich nieuwagi związanej z nieochrzceniem Anieli. Tak sobie myślała. Bo diabeł był czarny.

I tak samo okrutny jak Aniela, która chciała od matki zdjęcia z chrztu. I wtedy, kiedy zupełnie nie rozumiała, dlaczego ma przystąpić do pierwszej komunii świętej, wtedy w kuchni przyparta do muru wyznań matka, po wyciśnięciu rozbrejowanej w mlekowrzątku czerstwej bułki, a przed dodaniem do mielonego siekanej cebuli oraz przed uformowaniem pierwszego kotleta pieszczonego czulej niż Aniela, właśnie wtedy matka zupełnie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć (oprócz nic nie tłumaczącego Bo Tak) dziewczynce wkuwającej bezmyślnie Ciebie Boga wysławiamy i części stałe mszy świętej, ćwiczone później na sucho, bez mszy, w kościele pełnym szczerbatych i wciąż kręcących się w wielkich, dębowych ławach drugoklasistów. Ćwiczących na sucho.

Matka milcząca jak makatka.

A droga do kościoła to gratka.

Wtedy, w drugiej klasie, Aniela nie chciała chodzić do kościoła, nie chciała śpiewać o Panu Jezusie, co już się zbliża, żeby zapukać do jej drzwi, bo drzwi Anieli były zamknięte, nie miały klamki, a pod nią zamka.

I klucza też nie miały. Nie lubiła siedzieć w ławie, wbita między Połę a jakąś inną smarkatą dziwkę, nie chciała śpiewać w pustej świątyni alleluja lub wypowiadać pustego jak świątynia credo.

Później, dużo później, kiedy Aniela zaszła w kolejną ciążę, przypomniała sobie o wartości na sucho ćwiczeń. I żałowała, że ominęła ją taka zaprawa.

Z workiem imitującym rosnący brzuch, z workiem coraz to powiększanym, coraz cięższym, wypełnionym czymkolwiek, z workiem na brzuchu. Noszonym przez dziewięć miesięcy. Z miesięczną albo dłuższą przerwą na przymusowe leżenie. I z rzucaniem w pustą, najpierw szpitalną, a później domową przestrzeń pełną Totalnego i jego ego - podaj mi, proszę, filiżankę herbaty albo podaj mi rękę, bo muszę do toalety, znowu, tak, znowu muszę do toalety, proszę, nie wiem, dlaczego tak często muszę, proszę, zaprowadź mnie do niej i poczekaj chwilę. Bo wszystko w takich sytuacjach uzależnione jest od innych. Od łaskawych. Od siedmiu boleści.

I gdyby Aniela przeszła workowy test na matkę, a raczej na kręgosłup matki, być może odmówiłaby macierzyństwa tak samo, jak lędźwiowa część pleców odmówiła posłuszeństwa Anieli. Bezwzględnie, choć zdrowo rozrastające się w niej ciało córki odbierało Anieli władzę w nogach. Cięża zagrożona, cięża wysokiego ryzyka, cięża pod napięciem, więc leż, kobieto, cierpliwie, nie stękaj, nie narzekaj, jeśli chcesz powić pachole, jeśli chcesz, żeby wesoły dzień ci nastał, trajkotały położne.

Cierpiała. I chciała czasem, ale tylko czasem, zwłaszcza wtedy, kiedy policzyła już wszystkie pęknięcia na szpitalnym suficie i wszystkie kroki dobiegające zza uchylonych drzwi, i kiedy jedynymi odwiedzającymi byli lekarze, no jak tam dzisiaj, pani Anielko, znowu płamienia, znowu krwawienia, a stolec był? właśnie wtedy czasem chciała poronić, tak jak ronila wcześniej. Albo urodzić przedwcześnie.

Bo Totalny Anielę rzadko odwiedzał, rzadko przychodził do niej w kupionych za złotówkę ochraniaczach na buty, w pożyczonym od szatniarza za kolejną złotówkę fartuchu (za drogo, dwa złote, za co tu płacić?). Był zajęty, zapracowany, zaganiany. Był ciągle za. I do Anieli wciąż mówił, zachłystując się, zacinając się, zaspiewując, o wychwalajcie Go, wszystkie narody, o wysławiajcie Go, wszystkie ludy, za bardzo narzekasz, Aniela, za wiele ode mnie oczekujesz, Aniela, znasz moje obowiązki, Aniela, o alleluja, Jego łaskawość nad nami potężna, mogliśmy w ogóle nie mieć dziecka, pamiętasz? W ogóle, Aniela, za bardzo się przejmujesz i za mało ufasz.

- Zostaniesz? - pytała czasem Aniela.

- Nudzisz się? Różaniec odmów - szeptał cicho.

Różaniec, który Totalny przyniósł Anieli trzeciego dnia jej pobytu w szpitalu. Bo pierwszego dnia przyjść nie mógł (msza za zdrowie dziecka i Anieli) i drugiego dnia też nie mógł (modlitwa wstawiennicza w grupie, pamiętasz, Aniela, w naszej sali, tej z kominkiem i z dużym krucyfiksem), więc na trzeci dzień przybieżał dopiero do Anieli, i z lekarzami gadu-gadu, i z babami, co z Anielą na sali leżały, trutututu, czy chciały, czy nie chciały. A te polubiły go od razu.

Najbardziej ta spod okna, ta z guzem na macicy i w wysokiej ciąży, ta, która nie wiedziała, co w jej brzuchu bardziej fika: dziecko czy nowotwór. Totalny zazwyczaj siadał na chwilę przy niej, rozmawiał, pytał o zdrowie, pytał o męża, jak to, niesakramentalny związek, pani Wando. A Guzowata peszyła się, mówiła, że no co, czasem nie wychodzi w życiu. A Totalny skrobał się po głowie, odpryski łupieżu osadzały się na jego krótko obciętych włosach, wzdychał ciężko i konstatował: Jezus i tak panią kocha. Guzowata przeżywała chwile mikrowniebowzięć.

- Taki on dobry, pani Anielko. Taki układny.

I taki... kościelny - mawiała Guzowata po wyjściu Totalnego. - A teraz se podniosę hemoglobinę - dodawała po chwili i, jak co pół godziny, szła na fajkę, szła za magazyn z brudną odzieżą, zapalić. A kiedy wracała, siadała na brzegu łóżka i albo odłupywała zębami purpurowy lakier z paznokci, albo zaczynała opowiadać o swojej pracy w dużej rzeźni, na taśmie, osiem godzin dziennie, z rzeźniczym dłutem w ręku, zaczynała opowiadać, jak wydłubuje z krowich lub świńskich głów lewe oko, tylko lewe oko, bo prawe to już Zośka ze spalonego domu, po którym został ogród z piwoniami. A później zaczynała gadać, że nie je mięsa, że została, no tą, tą wegekrajanką, nie dlatego że te oczy wydziobuje, duże krowie oczy wyłuskuje spomiędzy sztywnych powiek, spomiędzy splątanych krowich rzęs, zamglone oczy powleczone

lakierem śmierci, ale dlatego że kiedyś jej ojczym, nie świeć Panie nad jego duszą, zamordował ukochanego królika Guzowatej, jej Puszka zarznął, a potem pasztet z niego upiekł. A nieświadoma Guzowata, zaskoczona nieoczekiwaną dobrocią ojczyma, co pokarmy dla niej przygotował, spożyła pasztet i herbatą słodką zapiła. A kiedy pijany powiedział Guzowatej, co zrobił z Puszkiem, ta wyrzygała kolację na męża matki.

A później po gębie dostała. Trzy razy. Za niekulturalne zachowanie.

Aniela nie słuchała Guzowatej. Po raz kolejny zaczynała liczyć zmarszczki na szpitalnym suficie.

I obserwowała drugą. Tę spod sąsiedniej ściany, tę, co ciągle milczała, a ożywiała się, gdy nadchodził Totalny. Aniela wiedziała, kiedy przyjdzie jej mąż, bo ta druga, wsłuchana w odgłos kroków na korytarzu, poznawała Totalnego z daleka, słyszała go z daleka, czuła go, zanim wszedł na oddział, węszyła jak pies, nasłuchiwała jak Duduś, jak pies babki Jakuby, merdała na jego widok dłonią wędrującą do czoła. Lekko je pocierała. I ciągle milczała. Nawet wtedy, kiedy wchodzący do sali Totalny mówił: szczęść Boże.

Nigdy nie odzywała się. Kobieta Trumna. Z dużym, martwym dzieckiem w sobie. Leżała w nieświeżej pościeli od rana do nocy. I choć zawsze milczała, przy Totalnym ożywiała się na chwilę, alleluja. Bo do Kobiety Trumny nikt nie przychodził. Nawet ojciec jej nieżywego płodu nie przychodził, choć jak mówiły po kątach pielęgniarki, to była jego wina, że zanim się urodziło dziecko Trumiennej, to umarło. Kogo obchodziła wina? Nikogo.

A Totalny był dla Trumiennej być może jak tchnienie Ducha, jak orzeźwienie, jak deszcz na spękanej ziemi, marana tha. Kiedy przyłąził, raz na kilka dni przyłąził, bo codziennie przychodziła tylko matka Anieli, jak rajska Ewa z jabłkami przybywała, jak pracowita Sara z plackami słodkimi przychodziła, i wreszcie spokojna jak Rut odpowiadała na Anieline wyrzuty, że za często, żeby kłopotu sobie nie robiła, bo nic, mamó, nie dzieje się, po prostu leżę i już, wtedy spokojna jak Rut matka odpowiadała: cicho bądź i nie nalegaj, abym cię opuściła i odeszła od ciebie; kiedy więc Totalny przyłąził raz na kilka dni, Trumienna odwieszała wzrok ze ściany, przenosiła spojrzenie z linii papilarnych szpitalnych lamperii na Totalnego. Wtedy i tylko wtedy odwracała głowę w stronę Anieli, w stronę jej



męża i niemo się przyglądała. Z zazdrością. A może z rozpaczą. A może z litością. Bóg jeden raczy wiedzieć. Ale co On wie. Aniela nie chciała Go o nic pytać. Ani Trumiennej.

Totalny przysiadł zazwyczaj na łóżku Trumiennej, zaraz po rytualnej rozmowie z Guzowatą, i odmawiał pospieszne Zdrowaś Mario.

Po jego wizytach, kiedy kończył się wieczorny obchód, po zamykającym dzień pacjenta mierzeniu temperatury i pulsu, po zapisach w karcie, wiszącej na każdym łóżku, jak tablica INRI nad krzyżem, po kolacji, której zazwyczaj nie jadła, Trumienna wychodziła z sali. Spacerowała po pustych korytarzach, w państwowym szlafroku w paski, w piżamie zjeżdżającej na pasiastych saneczkach z jej wielkiego brzucha, i rozmawiała ze sobą, cicho do siebie mówiła, a może do dziecka, które choć jeszcze w niej, to już poza nią było.

Pewnego razu, kiedy Totalny przyszedł do Anieli z dwiema suchymi bułkami, z kajzerkami (choć wiedział, że kajzerki nie znosi), żeby miała czym zagryźć tłustą jak pasztet z Puszka kolację, podszedł do Kobiety Trumny i zamiast Zdrowaś Mario, położył dłoń, a może dwie dłonie na jej czterdziestodwuletniej głowie, na jej starzejącym się czole. Wzniósł ku gorze przymknięte oczy i rzekł:

- W swoim miłosierdziu Bóg na nowo zrodzi cię do żywej nadziei.

I nic więcej.

Zdziwione spojrzenie Trumiennej zatrzymało się na twarzy Totalnego, a później obojętne wróciło na miejsce, wróciło do nie kończących się badań wzorów łukowych, wirowych, pętlcowych i namiotowych tańczących na lamperkach.

Aniela po cichu zaczęła czynić wyrzuty Totalnemu, jak mógł, jak śmiał, przecież to nie uchodzi, tak bezceremonialnie, bez pytania, cóż to za zachowanie, ale on uciał krótko, że miał prorocstwo, a prorocstwo nie zwykł zatrzymywać dla siebie, dlaczego tego nie rozumiesz, nieużyta, nieżywna Aniela. A kiedy po chwili wyszedł, nie pocałowałszy żony, ta pomyślała sobie: mam to w dupie, i sięgnęła po książkę, po Z zimną krwią sięgnęła, i przekartkowała ją, zatrzymując się na przypadkowej stronie, i przeczytała, bo zawsze czytała, wciąż czytała: „Cele są identyczne.

Mają wymiary siedem na dziesięć stóp, a ich jedynym umeblowaniem jest prycza, ubikacja, urny walka i żarówka na suficie, która nigdy nie gaśnie. Okienka w celi są bardzo wąskie i prócz krat znajduje się na nich stalowa siatka, gęsta jak wdowi welon; dlatego przechodzący obok więźniowie niezbyt wyraźnie widzą twarze skazańców, którzy z kolei mają całkiem wyraźny widok na zewnątrz: na puste podwórko, które latem służy za boisko baseballu, kawałek więziennego muru, a nad wszystkim kawałek nieba”.

Grubym flamastrem Aniela podkreśliła ten fragment.

I odłożyła książkę.

Tej samej nocy Trumienna urodziła martwego syna.

- Jak ma na imię pani mąż? - zapytała rano Anielę. Po raz pierwszy i ostatni odezwała się głośno, wyraźnie i nie do siebie.

- A jakie to ma znaczenie? - odpowiedziała Aniela.

Parę dni później Trumienna wróciła do domu.

Z małą skrzynką pełną ciała trzyipółkilowego aniołka o imieniu Bez Znaczenia.

Po odejściu Trumiennej ze szpitala Aniela znowu zaczęła odczuwać bóle podbrzusza i kręgosłupa.

Chciała, żeby się to już skończyło, żeby dziecko już się urodziło, zdrowe, martwe, jakiegokolwiek, żeby już nie leżeć, nie błagać o pomoc, żeby już nie czekać na Totalnego.

Bo ból poronienia, ból zbyt wczesnego porodu, Aniela знаła lepiej niż ból pleców i wściekłą niemoc chodzenia. Ból utraty ciąży i sakramentalne: niech spróbuje jeszcze raz, za pół roku, może za rok, no niech nie płacze, to tylko samoistne poronienia, cięższe jak nieprzyjęte przeszczepy, a te starsze cięższe, te porody nie o czasie, no trudno, taki los, co zrobić, niech nie płacze, no! relanium niech zażyje podwójne; to znała lepiej.

Jednak już tydzień później, z pakietem zaleceń, niech prowadzi oszczędzający tryb życia i dużo leży, Aniela również wróciła do domu. Wciąż w ciąży.

Zanim jednak nastął czas Totalnego i narodzin jego pierwszego, choć w kolejności trzeciego, a może czwartego dziecka, po tych wszystkich, co grono aniołków powiększyły, zanim nastął czas Guzowatej i Trumiennej, zanim nastął czas Marysi, jedynej Anieliny córki, Aniela ćwiczyła w szeregu szczerbatych, wkręcających się w siebie nawzajem jak stomatologiczne wiertła w spróchniałe zęby pacholąt katolickich rodziców, rodziców dopełniających obowiązków względem swojego kościoła. Była tam. Była pacholęciem katolickich rodziców, pragnących dla swojego dziecka koniecznych do zbawienia sakramentów. I chodziła na religię, na warunek konieczny do zbawienia.

Zbawienie było ważniejsze niż bezpieczeństwo.

Bezpieczeństwo nie było sakramentem.

Matka była jak makatka.

Droga do kościoła to gratka.

Droga do kościoła, na religię, na świętą lekcję, odbywającą się w jednej z sal wygoszpodarowanych w wale obok Białego Kościoła, do którego szur, szur, co tydzień należało przybyć.

Wał otaczał świątynię. Z góry widać było panoramę B. i pobliskie skrzyżowanie.

Wał to ważny element. Z wału oglądało się miasto.

Z jego drugiej strony stał budynek kościoła oraz trzewia przykościelne: dziedziniec i wejścia do salek, i rodzice czekający na dzieci, i rachityczna zieleń trawy, i cmentarne aksamitki. Na wale wybetonowanym, gładkim, nie znajdującym wówczas blizn po rolkach i po cienkich kołach hulajnóg, na wale można było ścigać się, biegać. Kiedy wiał wiatr, wystarczyło rozłożyć ręce i zamknąć oczy. Pola wyobrażała sobie wtedy, że jest latawcem. Aniela, że jest gołębiem. Obie latały, choć każda inaczej.

- Dlaczego chcesz być gołębiem? - zapytała kiedyś Pola, zaraz po na-sucho-  
ćwiczeniach, a jeszcze przed majową komunią. - Przecież ich nienawidzisz.

- Bo mogą srać wszędzie. I nic nie można im zrobić - odpowiedziała Aniela.

- I co z tego?

- Nic. Nasrałabym na głowę mojego ojca.

- Durna jesteś, wiesz?!

- Wiem.

Wał ochronił kiedyś miasto przed kilkunetonową Panienką Najświętszą, która samotnie, bezdomnie i bezradnie, zastygła na wieży Białego Kościoła, na półksiężycu złotym zastygła z rękami złożonymi w modlitewnym geście, z dłońmi wystrzelającymi w niebo, z którego pioruny i grzmoty strzelały tamtego wieczoru, od śmierci nagłej i niespodziewanej zachowaj nas, Panie. I Panienska Najświętsza spróbowała wtedy tego, czego nigdy nie spróbował jej Syn, chociaż czarny diabeł zachęcał Go, kusił, prosił, przekonywał, na próbę wystawiał, jeśli jesteś Synem Bożym, pofruń, Kolego, sprawdzimy, co i jak z aniołami, którzy na wszystkich Twych drogach mają Cię strzec. Jezus zachował mosiężną jak figura Panienski powagę.

Panienska zaś rzuciła swoje mosiężne ciało ze szczytu świątyni. Wbiła się w wał, zaryła brudną, błękitną suknią w gładkie powłoki wału, rozbijając nos, czoło, obie piersi, gubiąc środkowy palec lewej dłoni, może jeszcze coś z nogami jej się stało, Aniela nie mogła sobie przypomnieć. Babka Jakuba opowiadała, że później, na każdej mszy świętej, podczas każdej tacy Aniela wrzucała drobne monety. Na renowację potłuczonej Panienski. I wału.

Matka była jak makatka.

Droga do kościoła to gratka.

Aniela nie poznała tych czasów, kiedy religię przeniesiono do szkół. Nie poznała katechezy leżącej krzyżem między polskim a plastyką. Pamiętała za to świętych Janów Bosko pilnujących przykościelnych sal; monstrialne krucyfiksy z bolesciwymi Jezusami; zielone, odrapane ławki, z piekielną czeluścią na kałamarz, i drogę do kościoła.

Być może w pierwszej klasie ktoś kiedyś odprowadzał Anielę na katechezy i czekał na nią pod kościołem, na dziedzińcu, a może na wale. Aniela nie pamiętała tego dobrze.

Albo tylko pakował do autobusu numer cztery, w drodze na przystanek powtarzając

nieustannie: wysiądź na piątym przystanku, wysiądź na piątym przystanku. Być może była to wiecznie zapracowana matka, być może była to Marta, wysiądź na piątym przystanku.

W drugiej klasie Aniela na katolicką socjalizację i na dogmatyczne wtajemniczenia na pewno łąziła sama.

Albo z Połą. Najpierw, ze Starego Mieszkania, szły ulicą Prowiantową, potem skręcały w Zwycięstwa.

Mijały dworzec kolejowy, stary, carski jeszcze budynek. Dziś po europejsku odchuchany, odremontowany, czysty, w którym kibel, pachnący sosnowym lasem w spraju, wyłożony greckimi kafelkami, kosztuje korzystających co najmniej o dwa złote za dużo.

Później wysokimi, dziurawymi schodami wchodziły na Wielką Kładkę. Pod nią misternie ciągnęły się i zawiły tory kolejowe, długie jak tasiemiec, którego Aniela wydusiła z siebie w trzeciej klasie liceum, w szpitalnym, darmowym kiblu, śmierdzącym lizolem i perfumami Być Może. Być może pani Zosi - kobiety z jajami włośnią w mięśniach.

O czternastej szesnaście odjeżdżał z B. pociąg do G. Również o czternastej szesnaście w każdy czwartek pod koniec lat siedemdziesiątych Aniela i Pola stawały na Wielkiej Kładce, próbując opluć pociąg relacji B.-G. Płyły nieważnie, od niechcenia. Po damsku. Po damowemu. Dostojnie. Troszkę. Nigdy na lokomotywę. Nie spływał z niej pot jak oliwa. Tuwim kłamał. Było to jedno z pierwszych rozczarowań literackich Anieli.

Charkały leniwie na przejeżdżające równie leniwie wagony, próbując zsynchronizować plucie z zamawianiem wiatru. Trudne zakłęcie (krakuma ta, wrokino nibo ślina) wymyśliła Pola. Jej babka - matka ojca - była wiejską szeptuchą, prawosławną zamawiaczką, królową podgranicznych zamawiaczek, a może raczej ich carycą Nataszą; była zbieraczką ziół i ludzkiej biedy. Zwłaszcza ludzkiej biedy.

Wiele lat później, kiedy Aniela miała już Marysię, pojechała do babki Nataszy, pod Orle pojechała.

Ukryła swoją podróż starannie i przed Połą, i przed Totalnym, wydebiła od męża na jedno popołudnie auto, kluczyki od auta zdobyła, od jego brudnego opla kombi. Wytrzymała w milczeniu katechezę, którą wygłosił jej przed wyjazdem, pamiętaj, nie jedź zbyt szybko, wiesz, że nie radzisz sobie za kierownicą, a w ogóle po co i dokąd, i dlaczego, i kiedy będzie z powrotem? Aniela wzruszyła ramionami, powiedziała, że wróci, kiedy wróci, przecież ona od dawna nie pyta go, jak długo będzie głosił, śpiewał, tańczył i siedział na swoich świętych spotkaniach, i w ogóle o nic go nie pyta, bo przecież odpowiedzi nie otrzymuje, oprócz zdawkowych wykrętów, krótkich aktów strzelistych pełnych nieudomówień, niekonkretów, bo z nieudomówień i niekonkretów łatwiej się wyłgać, łatwiej się wytłumaczyć, prawda? Aniela wzięła dziecko na ręce i szepnęła jeszcze, daj mi spokój i kluczyki, pa! Totalny zapowietrzył się, zachłysnął się i zanim zdążył odpowiedzieć, Aniela była już na dole, już pakowała dziecko do auta, a po chwili już jechała, jak zwykle zbyt szybko, jak zwykle zbyt zachłannie.

W Orli zapytała jakąś kobietę o dom szeptuchy Zgodnie ze wskazówkami pojechała dalej, trochę dalej, do kolejnej wsi, na koniec świata, bo droga właśnie w tej wsi kończyła się, zaraz za chałupą starej Sacharczukowej. Pod domem babki Nataszy czekało kilka osób. Stąd, a może stamtąd. Choć raczej stąd, bo mówili po swojemu, po prostemu, nie wiadomo jak, ani po polsku, ani po białorusku, ani po rusku, ale Aniela zrozumiała, że mężczyźni znowu odrósł jęczmień i - jobać twaju raz - pulsuje ropną naroślą na jego powiece, a kobieta po raz kolejny cierpi na zapalenie pęcherza i sika na czerwono, krwią sika, żeb jego chaliera wziaua, etahao bezpuzyra, k'czortu matieri, i tak sobie gadali, o tym, o owym, a Marysia spała wtulona w Anielę, a Aniela przymknęła oczy i może też zasnęła, a może nie.

Kiedy przyszła pora, weszły do środka chaty.

Aniela wniosła śpiącą Marysię i ujrzała przed sobą staruszkę wyschniętą jak jej piersi, z chustą na głowie, z dłońmi nakrapianymi wątrobianymi plamami.

Pola nie była podobna do babki. Ale Aniela nie powiedziała tego. Nie powiedziała o Poli ani słowa.

Natasza stała oparta o wielki piec, z założonymi rękami przyglądała się Anieli.

Przyglądał się Anieli także wiszący po lewicy szeptuchy bolesiwy Chrystus na krzyżu z dolną belką, przekrzywioną jak głowa Totalnego, belką, co wedle ruskich wierzeń pamięć o wadze sprawiedliwości zachowywała.

A na piecu czyste, lniane szmatki leżały. Żadne tam ścierki dziwki od podłogi bądź półek.

- Czego chce? - zapytała, zaciągając, stara Natasza.

- Dziecko nie śpi. W nocy nie śpi. A w dzień jąka się - powiedziała cicho Aniela. Żeby Marysi nie obudzić, nie przestraszyć, nie męczyć.

- Długo tak? - w uszach Anieli rozlało się przedniojęzykowo-zębowe „ł”.

- Od sześciu miesięcy.

- U lekarza była?

- Tak. Powiedział, żeby na noc słabą herbatą z melisy poić. W domu kazał ćwiczyć wymowę. Mówienie.

Ale dziecko nie chce. Ucieka. Histeryzuje. Płacze.

- Hawno oni znajut’, te specjaliści. A jak zaczęło się?

- Nie wiem.

- Musi wiedzieć, musi pamiętać.

- Nie pamiętam. Po prostu budzi się. I krzyczy.

Śpi w dzień. Czasem. Tak jak teraz.

- Krzyczał kto na dziecko?

- Nie. Chyba nie.

- Wystraszyło się czego?

- Nie. Chyba nie.

- Posłucha - znowu przedniojęzykowość rozpląnęła się łagodnie w słuchu Anieli - ja’b nie mahła pamahać ludziom, jeśli’b ich nie słuchała. Ziół zbierać ja’b toż nie mahła, jeśli’b k polu się nie przychyliła i nie słuchała. Wystarczy do ziemi się przychylić i słuchać. Pa cichońku. Niech się przychyli do siebie, do dziecka, niech popróbuje, a jak już powie, wtedy ja malitwy zmówię, lekarstwo dam. No, do siebie niech się przychyli... Niech posłucha, szto tam w niej sidzit Przymomni siebie...

I Aniela przychyliła się do siebie, przychyliła się, patrząc na stojące w dwóch rzędach chude świece płonące przed Hodegetrią, nagięła twarde kark pamięci, złamała jej kręgosłup między czwartym a piątym kręgiem, smutnym jak stary Dante, i już wiedziała, że wszystko zaczęło się tamtego popołudnia, kiedy musiała dłużej zostać w pracy, w przeklętej szkole - z powodu wizyty kolejnego rodzica, co to znowu Anieli chciał udowodnić, że jego dziecko jest zdolne, lecz niedocenione. Że co? Że twierdzi, iż Maryja była wszystko, o cokolwiek poproszę, dasz mi, bo jesteś wierny w swoich obietnicach, Abba-Ojczy, grzmiał Totalny.

Aniela stanęła w progu. Jej pantofle zostawiały mokry ślad na podłodze. Była zmarznięta, zmęczona, marzyła o gorącej kąpieli, o nowych butach, o ciszy.

Przypomniała sobie jeszcze, że miała wczoraj do matki zadzwonić i że nie zrobiła tego. Przytuliła Marysię. A potem zagrzmiała w języku ludzi, nie aniołów, w języku przyziemnym krzyknęła:

- A teraz won! Wypierdalać! Najlepiej pod krzyż, na miejsce osądu!

Ekstaza opuściła przyjaciół Totalnego. Po chwili towarzystwo opuszczało Totalnego szybciej niż duch nieczysty Anielę. A może legion duchów. Totalny prosił, żeby koledzy zostali, wszyscy koledzy i jedna koleżanka, żeby mu wybaczyli, no sami widzą, jak jest naprawdę, jak wygląda jego codzienność, jego udreka, jego krzyż bezpieczeństwa. Ale Aniela szeroko otworzyła drzwi wyjściowe i dowidzeniapanahenia, nie chcę was tu więcej widzieć.

Tej nocy spała w pokoju Marysi. I następnej. I jeszcze następnej. Przez czterdzieści nocy tak spała i przez czterdzieści dni nie rozmawiała z Totalnym. To właśnie wtedy Marysia przestała spokojnie spać, krzyczała, przerażona budziła się wciąż z płaczem. I zaczęła jąkać się. I dukala, układając pajacyki z figur geometrycznych, kia, kia, kla-dwacik ma, ma, ma-muja daj.

Tyle przypomniała sobie Aniela, trzymając śpiące dziecko przed obliczem Hodegetrii. Babce Nataszy opowiedziała. Stara Natasza wysłuchała uważnie, z oczami zamkniętymi, z ustami trochę otwartymi, nieporuszona, tak że Aniela chciała nią potrząsnąć i zapytać, czy żyje. A później ocknęła się. I chociaż Anieli wydawało się, że Natasza jedną stopą maca już łąki niebieskie, to jednak dłońmi pełnymi życia spaliła nad głową Marysi lniane pakuły i w swoim języku modlitwy odczyniające szeptała, po cichu, bez krzyku, bez głosu unoszenia, i zamawiała, i ruskim (z prawej do lewej) krzyżem zegnała się. Na koniec dała Anieli w bawełnianym sączku zioła.

- Niech parzy i daje dziecku popić. Co rano. Połowinku stakana. A na zagryzienie, o, to. Niech daje po jednym, dopokąd się nie skończą - podała Anieli zwykle słone krakersy. Marysia spała. Nie obudziła się.

Aniela siedziała wpatrzona w Nataszę. Czekwała, kiedy babka powie, że nie powinna była wychodzić za męża za Totalnego, że jest idiotką, ponieważ z nim jest. Czekwała, kiedy babka Natasza domyśli się, że Aniela potrzebuje krakersów na odwagę i ziółek na siłę. By odejść. Ale szeptucha milczała.

Aniela z trudem stanęła na zdrtwiałych nogach.

Na rękach wciąż trzymała dziecko. Zapytała o zapłatę. Stara Sacharczukowa spojrzała na Anielę z wyrzutem.

- Niczoho mnie nie trebo. A u Poli dobro wsio?

- zapytała niepewnie.

- Tak - odrzekła spokojnie Aniela, a niespokojnie pomyślała, cholera, skąd ona wie o Poli, przecież nic jej nie mówiłam, o niczym, co z Połą związane, nie wspominałam, skąd ona wie, no skąd?

- Niech się przychyła. Do siebie samej i do małej.

Niech się zawsze przychyła - szepnęła na koniec Natasza i zatrzasnęła za Anielą drzwi.

Tydzień później Marysia przespalała spokojnie pierwszą noc.

Aniela wyjadła okruchy po krakersach.

Dwa tygodnie później dziewczynka powiedziała, kładwacik marnują sypko podaj.

Aniela wyrzuciła sączek po ziołach.

Ani Pola, ani Totalny nigdy nie dowiedzieli się o wizycie u znachorki.

Wtedy jednak, kiedy Aniela i Pola wspólnie łąziły na religię, wtedy kiedy pluły na pociąg z B. do G., Pola czuła się dziedziczką babki Nataszy, spadkobierczynią jej hermetycznej wiedzy. I wymyślała rymowane inkantacje, i nie mówiła tak jak później, że to, co robi jej babka, to grzech i bałwochwalstwo, i nie wiadomo, jakie moce przez babkę działają, kiedy robi swoje znachorskie sztuczki, lepiej, Aniela, żebyś nigdy nie doświadczyła konsekwencji tych niebożych działań, tych szeptuszych katuszy, kwitowała. I trzymała się od matki swojego ojca z daleka. I dzieci swoich pokazać jej nie chciała.

Ojciec Poli, tak jak jego matka, jak Sacharczukowa, nie był katolikiem. A jednak Pola miała zostać katoliczką. Tak jak matka Poli. Aniela zazdrościła Poli, bo obchodziła podwójne Wigilie, Wielkanocę prawosławne i katolickie, ruskie i swojskie, dlatego dostawała więcej niż wszyscy prezentów. Ojciec Poli mówił, że jest ateistą, ale tylko tak mówił. Gadał, zrzędził, zżymał się, a potem zarzywał się przy goleniu, rznął sobie twarz, którą oklejał później skrawkami makulaturowego papieru toaletowego, i rad-niewola uczestniczył w prawosławnych świętach, Gospodi, pomiłuj. Dwa razy do roku bocznymi drogami jechał partyjną czarną wołgą z Połą i jej matką na wieś, Gospodi, pomiłuj. Bo bardziej niż swoich przełożonych, swoich rudolfów czerwono noszących, czerwono księżeczkowych, bo bardziej niż nadsekretarzy bał się zaklęć i przekleństw babki Nataszy, matki swojej rodzonej, Gospodi, pomiłuj.

Ale był też synem partii, tej, co go adoptowała kilka lat wcześniej, wzięła na wychowanie, na edukację niełatwą, kark zginającą, poglądy wygładzającą, i zrobiła sekretarzem POP w zakładach włókienniczych. I dlatego Pola musiała ukrywać się z

chodzeniem na religię.

Matka Poli też się ukrywała. Czasem nie chodziła do pracy, zostawała w fałdach mieszkania, w zakamarkach krochmalonej pościeli, w zmarszczkach bawełnianych chusteczek, w które wypłakiwała spuchnięte oczy. Podbite oczy. Najbardziej - zaraz po pierwszej komunii świętej córki. Właśnie wtedy ojciec Poli pobił matkę tak mocno, że pod blok przyjechało pogotowie, zrobił się raban, ludzie wylegli przed klatki, wyglądali zza uchylonych drzwi, do kogo to? A karetkę sam Sacharczuk wezwał, bo żona nie wstała jak zazwyczaj z podłogi i nie położyła się do łóżka, pokazując światu drgającą bezgłośnie tafłę pleców, tylko na podłodze została, no widzi pan, szepnął Sacharczuk do sanitariusza, żona ze stołka spadła, patrz pan, odezwał się głośniejszy do lekarza, poleciała jak ofiara jakaś, jak kłoda nieociosana jakaś, no już, zabierajcie ją, może da się ją jeszcze poskładać, złożyć części w jedną kupę, ha, ha, w kupę!

Matka Poli długo leżała w szpitalu z uszkodzonym kręgosłupem i z dziurą w czaszce. W końcu nic nowego. W końcu bił ją często. W końcu wszyscy wiedzieli, że po każdej stłuczce, po każdej kolizji z mężem, matka Poli chodziła w ciemnych okularach kroju Sophii Loren, z mocnym makijażem, który rybimi płatami odłupywał się z jej posiniaczonej twarzy.

Kiedy matka Poli wyszła wreszcie o kulach ze szpitala, na tych samych kulach odeszła od męża.

Wyprowadziła się. Pola wyniosła się z matką. Zamieszkała dalej od Anieli. Na jakiś czas. Na drugim końcu miasta, w starych blokach, w jednopokojowym mieszkaniu. Wynajmowanym. Wróciła rok później.

A może później niż rok później.

Bo dokładnie rok później ojciec Poli zaczął cierpieć na bóle żołądka. Opowiadał sąsiadom, że czuje, jakby ktoś lub coś waliło go w podbrzusze. Cierpiał, wyraźnie cierpiał, skarżył się, leczył się, ale lekarze bezradnie rozkładali pełne łapówek ręce i nie umieli pomóc. Żadne, nawet dokładne badania nie wykazywały choroby. A z Sacharczukiem było coraz gorzej. Coś go wreszcie zatłukło i zabiło, twarz jego tuż przed śmiercią oszpecając szeroko otwartymi oczami i wybroczynami na czole.

Pogrzebano go w alei zasłużonych na cmentarzu komunalnym w grobie bez krzyża.

Jakiś czas później matka Poli poślubiła ortodoksyjnego katolika. Mimo tego, mimo wiary świętej katolickiej i niezłomnej, regularnie, we wszystkie ruskie święta, odwiedzała z nowym mężem babkę Nataszę.

Już ona wiedziała za co.

Tego Aniela też zazdrościła Poli. Czekala, kiedy jej ojciec pobije matkę tak bardzo, że ta wreszcie odejdzie od niego. Niekoniecznie na kulach, mogłaby odjechać od niego na przykład na wózku inwalidzkim.

Ale nie odeszła i nie odjechała. Nie ona. I żadne demony nie potłukły ojca Anieli tak bardzo, że mogłaby go pogrzebać w alejce wierzących skurwysynów.

W grobie z krzyżem.

Pluły.

Zaklinanie wiatru czasem działało, a czasem nie.

Kiedy nie działało, Pola mówiła, że Aniela źle rozkłada akcenty. Źle intonuje i w ogóle jest nienauczalną dziwką. Tak mówiła Pola. Tak mówił do Poli jej ojciec, kiedy nie potrafiła nauczyć się tabliczki mnożenia na trzy. Pola nigdy nie nauczyła się tabliczki mnożenia.

Ani na trzy, ani na dziewięć.

Potem ruszały dalej.

Po zejściu - dziurawymi schodami - z Wielkiej Kładki droga prowadziła w górę, na kościelne wzgórze. Po prawej stronie stało (stoi do dzisiaj) kino Syrena i kilka starych kamienic. Po lewej stronie - cztery okrągłe, odrapane Spodki.

- Wyprawiają w nich kosmiczne imprezy - zapewniała Pola. - Mniej lub bardziej kulturalne -

dodawała, powtarzając frazy swojego ojca.

Aniela nie wierzyła w kosmitów, nie wierzyła w durne kulfoludki. Tak jak w swój chrzest nie wierzyła; nie uwierzyła także w to, że w Spodkach może być jakaś tam kultura. Jaka kultura? Kultura to dziękuję i proszę, i przepraszam. Dziękuję, kiedy dostaję, proszę - najlepiej o nic, i przepraszam, że proszę, chociaż i tak wiadomo, że raczej nie dostanę.

Aniela zresztą nie umiała prosić. Ot, taka charakteropatia, której Totalny nie mógł pojąć. Bo on, wytresowany przez matkę, prosił i dziękował na zawołanie, wystarczył widok lekko uniesionych brwi, by Totalny zaczynał pytać matkę, czym cię uraziłem, mamusiu, wybac mi, proszę, jeśli cię zraniłem, albowiem język mój, narzędzie grzechu, nieuważny i niepokorny czasem, proszę, wybac mi, i dziękuję, że mi wybaczasz.

I tak wytresowany, tresować Anielę począł.

- Położyłem w kuchni dwadzieścia złotych. Obok młynka do kawy - mawiał czasem, ale tym rzadziej, im rzadziej pieniądze pozostawiał. Aniela wzruszała ramionami. Nie odzywała się.

- Podziękuj - strofował Anielę Totalny.

- Za co?

- Przecież wiesz.

- Ty mi nie dziękujesz.

- Za co?

- Za pranie, sprzątanie, prasowanie, za z tobą od czasu do czasu bez przyjemności sypianie.

- To twoje obowiązki. A brak przyjemności to twój problem. Za pieniądze jednak powinnaś dziękować. To dary serca.

- Nie masz serca.

I wtedy wzburzony Totalny najpierw dzwonił do matki swojej, by na Anielę szybko donieść, by poskarżyć się, by zaangażować innych w cierpienie nie-zmierzone, w błąd co do wyboru osoby popełniony i niezawiniony, bo Bóg tak niesprawiedliwie z Totalnym w ruską ruletkę zagrał, strzelając w jego łeb małżeństwem z Anielą, i jakże z tym teraz poradzić sobie, mamó, bo z nią nie można wytrzymać, tak, mamó, mężnie zniosę krzyż swój, zniosę go mężnie, pa, mamó, z Bogiem, mamó. A później wchodził do pokoju, w którym zamykała się Aniela i cicho próbowała zmartwychwstać, czytając Wspomnienia z domu umarłych, choć równie dobrze mogłaby czytać historię teatru bengalskiego, cokolwiek, byle zawiesić wzrok na hakach liter, byle nie patrzeć Totalnemu w oczy, byle na niego nie patrzeć. Lecz Totalny zatopienia Anielinego w lekturze nie spostrzegając, wzrok rzucał poza żonę, lekkoatletycznie, jak kulą, jak młotem, jak oszczepem, jak dyskiem, rzucał wzrokiem za Anielę, za jej pięćdziesiąt osiem kilogramów nieużytków, i relacjonował, że jak będzie potrzeba, to jego matka w sądzie biskupim zaświadczy o niedowładach emocjonalnych i kulturalnych Anieli i o jej schizoidalnym chamstwie także.

A jeśli chodzi o pieniądze, za których dawanie Aniela nie okazuje wdzięczności, to koniec. Totalny więcej ich nie da - Aniela ma swoje. W końcu zarabia i niestety wydaje, choć nie powinna wydawać, bo na co tu wydawać, ale gdyby jednak przyszło jej do pustej głowy zapragnąć kasy Totalnego, niech poprosi.

- Pamiętaj, wiesz, kogo i jak prosić - wycierał na koniec swoje kształtne, spocone czoło i wychodził, przytrząskując drzwiami ostatnie słowo.

Zanim jednak Aniela została schizoidalną chamką, zanim zaczęła łamać totalkonwencje, czuła, że wyraz „kultura” brzmi dźwięcznie. Ładnie. Dobrze. Dlatego właśnie tak ochrzciła jedną z lalek, w imięojcasisyna, Kultura mieć na imię będzie ta dziewczyna, powiedziała. I była pewna. Była pewna, że ochrzciła przywiezioną przez matkę z ZSRR długowłosą kukłę, ochrzciła ją wodą kolońską ojca, nadając imię Kultura. Dziesięciopalczystym, dwudłonnym aparatem fotograficznym zrobiła pamiątkowe zdjęcie. Matką chrzestną Kultury została goła Barbie, ojcem chrzestnym pluszowy pies z urwanym ogonem. Kultura przez cały tydzień, a może dłużej, nosiła znamiona świętego zapachu, który

włączył ją we wspólnotę wierzących. Wierzących inaczej.

W tym punkcie - między kinem Syrena po prawej a Spodkami po lewej - należało podjąć decyzję.

- Które? - pytała zazwyczaj Pola.

Bo można było iść w górę ulicą Bohaterów Monte Cassino i wchodzić krok-za-krokiem do kościoła krótszymi schodami o wyższych stopniach. Bo można też było skręcić w lewo i leżeć niespiesznie, leniwie jak opluwane pociągi, drogą między przykościelnymi polankami, między wysokimi drzewami i gęstymi jak zarost pod pachami Totalnego krzakami, do znacznie dłuższych schodów, o znacznie niższych stopniach.

Wybierały zazwyczaj drogę Numer Dwa. Wybierały ją ze względu na Czarnego Mariana.

- Nie chcę. Dziś nie chcę. Chodźmy koło zoologicznego - protestowała czasem Aniela. Chociaż rzadko.

- Nie bądź smarkatą dziwką. Idziemy - Pola chwyciła Anielę za rękę i prowadziła do kościoła szlakiem mężczyzn. Chociaż Mariana bała się o wiele bardziej niż Anielę.

Czarny Marian był mężczyzną. Wtedy, pod koniec lat siedemdziesiątych, wydawał się Anieli wysoki.

Był chyba w średnim wieku; miły, z szeroką bruzdą na czole i z równie szerokimi połami ciemnego płaszczka. Miał bardzo chude łydki i posiniaczone kolana.

Ręce chował pod płaszczem. Duże ręce.

Kiedy Pola i Aniela zobaczyły go po raz pierwszy, jak zaciskał prawą dłoń na głównym aktorze Teatru Długiego Płaszczka, uciekły. Właściwie Pola uciekła.

Biegała szybciej. Była wtedy wczesna jesień - Pola miała na sobie krótką plisowaną spódnicę w szkocką kratę i żółte rajtuzy. Aniela próbowała ją dogonić.

Nie mogła. Nie umiała. Odzywała się wielkim beknięciem, wielkim refluksem dziecięca dysplazja stawów biodrowych. Aniela poruszała się wolno, ciężko, niezgrabnie.

Pola śmigła jak opętana.

Aniela widziała oddalające się coraz bardziej, w tempie allegro eon bravura, spódnicę i żółte rajtuzy przyjaciółki. Czuła jednocześnie coraz bardziej obezwładniający ból bioder, bioder szeroko rozstawianych w pierwszym roku życia przez matkę, zaprzęgającą dziewczynkę w twardą szynę ortopedyczną.

Nie miała siły uciekać.

Postanowiła być odważna.

Odwrociła się powoli i podeszła do Czarnego Mariana.

- Pan pokaże - powiedziała rzeczowo. Nie czuła strachu, który pobiegł razem z Połą w stronę Białego Kościoła w tempie larghetto eon tristezza.

Czarny Marian spojrzał na nią. Zacisnął dłoń mocniej na tym, co w jednej chwili, w jednym długim momencie, w spojrzeniu zawieszonym i już nigdy nie odwieszonym, ukształtowało w Anieli kobiece pojęcie męskości. Stało się matrycą, jedyną prawdą, punktem odniesienia do innych aktorów, mieszkających w teatralnych zakamarkach ciasnych dżinsów, chronionych kurtyną mocnych rozporków. Każdy z później (za późno) poznanych mieszkańców obcisłych przestrzeni męskich podbrzuszy był tylko marną imitacją przyrodzenia Czarnego Mariana.

Gdyby Aniela teraz ujrzała kształty ekshibicjonisty, pewnie nie zrobiłyby na niej wrażenia imponujących, wielkich i czerwonych jak niedzielne wołowe befsztyki matki, befsztyki przed wrzuceniem w rozgrzaną, oleistą otchłań patelni. Oczy dziecka widzą inaczej, powiększają, wyolbrzymiają, narzucają przedmiotom perspektywę określaną z wysokości metra i trzydziestu kilku centymetrów; ubierają świat w rozmiar XXL, który anorektycznie chudnie wraz z wiekiem dziecka.

Czarny Marian pokazał. Masował energicznie swojego aktora mięsistymi palcami dużej dłoni, w której rosło żylaste, krwiste, pęczniejące wiejadło.

- Śmierdzi - powiedziała Aniela. Mężczyzna spojrzał na dziewczynkę tępym



wzrokiem. Trochę zdziwiony tym, że nie ucieka; trochę zaskoczony tym, że wybałusza na penisa oczy czarne jak jego włosy łonowe, i coraz bardziej podniecony tym, że główny bohater dramatu Samotny Onan ma wreszcie publiczność. Jednoosobową.

Nagle Aniela zakręciła się na nieletniej pięcie i odeszła. Ruszyła wolno w górę po długich schodach o niskich stopniach, nie próbując dogonić Poli, ale próbując okiełznać galopujące jak Pola przed kwadransem myśli. Dobiegł ją jeszcze jęk i spazmatyczne westchnienie. Nie odwróciła się.

Spóźniona weszła do sali katechetycznej.

- Widziałas? Co widziałas? - pytała po cichu Pola, ignorując spiczasty wzrok księdza Józefa.

- Czy Jezus ma między nogami to samo, co Czarny Marian? - Aniela zapytała, patrząc bezmyślnie na krzyż wiszący nad tablicą.

- Dziwka - odpowiedziała Pola, wzruszając ramionami.

Znowu to powiedziała. Zawsze tak mówiła.

Nie mówiła tak do Anieli tylko wtedy, kiedy wyprowadziła się z ich klatki na Gruntowej, kiedy wyprowadziła się na koniec B., żeby przeczekać ojca, żeby poczekać na jego śmierć, a po roku wrócić do starych czterdziestu ośmiu metrów kwadratowych z ohydą amfiladą, co zostały po tacie-kacie. A kiedy wróciła, kiedy sprowadziła się ze skromną schedą matki i z własną jeszcze skromniejszą, z kilkoma zabawkami, z kilkoma książeczkami, poczytaj mi mamó, bo tato i tak nie czytał, kiedy sprowadziła się z torbą ciuchów, znowu zaczęła mówić do Anieli „ty dziwko”.

Aniela przyzwyczała się. I kiedy Pola wyszła za męża, bo pierwsza wyszła za męża, bo przed Anielą poślubiła pewnego Jerzyka, z którym od czasów oazowych prowadziła się, z którym na pielgrzymki do Różanogostoku chodziła, a między mszami i pielgrzymkami czasem do kina (dozwolone od lat dwunastu) lub do kawiarni (woda z lodem, ale lód oddzielnie), kiedy więc Pola wyszła za Jerzyka i poszła za nim z domu matki swojej i jej krzepkiego, ortodoksyjnego męża kolejnego, poszła na wynajmowane swoje, Aniela poczuła brak. I za Polą tęskniła, i za jej soczystym, choć pozornie wygładzonym obecnością Jerzyka językiem, za Poli frazami, za jędrnymi dźwiękami tęskniła najbardziej.

Tęsknie i dźwięcznie brzmiał głos dzwonu z wieży kościelnej, wzywający na mszę ślubną Poli. Dzień był dżdżysty, chłodny, listopadowy. Aniela poszła do kościoła sama, bo nie miała z kim, matce - jak zwykle w ważnych chwilach - wypadł nieprzekładalny dyżur, bo z żadnym miłym a układnym chłopcem Aniela nie prowadziła się od czasów rozpalonego ministranta, który z rosnącym przyrodzeniem próbował włożyć Anieli rękę za majtki. A całował tak, że Aniela po chropowatych dotknięciach jego języka długo płukała usta.

Poszła więc sama, za jednym z filarów ośmiokątnego Białego Kościoła stanęła, nie myślała wiele, nie myślała o przeszłości, którą terazniejszość wyrzygiwała przy każdym wspomnieniu, nie myślała o przyszłości, którą terazniejszość zwijała jak rolki taśmy zaklejającej usta przeszłości. Osadzona w chimerycznej terazniejszości, patrzyła z daleka na Polę, choć nie miała ochoty patrzeć na nią, bo mozaika na kościelnej posadzce kusiała, by zagrać w klasy, ale to nie uchodziło, więc z braku laku i na bezrybiu, na Polę i Jerzyka patrzyła, na ich złączone stulą dłonie, co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozdziela, Jezu, co za kanał, co za szambo, co za gnojówka, związać

się z kimś na wieki wieków, amen, od małżeństwa nagłego a niespodziewanego zachowaj mnie, Panie, przemknęło przez myśl Anieli. I pomknęło dalej, bo Aniela nie mogła i nie chciała przewidzieć, że kiedyś do matki swojej podejdzie i powie cicho: wychodzę za męża, i że Poli powie to samo i usłyszy od niej to, co usłyszy.

Po ceremonii Aniela na końcu ogona weselników stanęła, ogona puszącego się niecodziennymi tiulami kobiet, wybiegającymi spod codziennych płaszczy, ogona pełnego sterczących krawatów mężczyzn, stanęła na końcu, z bukietem kwiatów, z jakimś prezentem (patelnią), nuciła sobie, nie wiadomo dlaczego, If you're going to San Francisco, przytupywała z lekka, bo chłód kąsał jej łydki odziane w cienkie pończochy, a deszcz lizał jej

stopy obute we wczesnojesienne pantofle, kurwa, co za pogoda.

Wreszcie przyszła kolej na Anielę. Pola drżała w lekkiej, mlecznej sukni, w lekkiej etoli narzuconej na plecy, ta sama Pola, która kilka miesięcy wcześniej zdała maturę, która dojrzałość potwierdziła papierami, na studia egzaminem, a teraz związką z Jerzym.

- Trzymaj się, dziwko - szepnęła cicho Aniela.

- Dzięki, dziwko. Kurwa, co za pogoda - odszeptąła prosto w ucho Anieli Pola, folgując sobie przy tym trochę. Przy Jerzyku wyrażała się ładnie, całodzaniowo, ogólnodostępnie, wielce kulturalnie.

- Chodź z nami. Potańczysz.

- Nie. Mówiłam, że nie przyjdę na wesele. Baw się dobrze. Z nim. I z resztą - kiwnęła głową Aniela w stronę Jerza, a później w stronę rozproszonego ogona, pakującego się do wesołego autobusu, kierunek Świtezianka, kierunek restauracja, do której auto przyozdobione dwiema obrączkami i bukietem kwiatów miało zawieźć już za chwilę chłopca młodego i przy nim stojącą dziewczę.

Jerzyk na Anielę nie zwrócił uwagi. Zainteresowany sprzętem do video, gadał z nakręcamym o jakości dźwięku przestrzennego i o rozdzielczości, a Aniela, przytupując i marznąc coraz bardziej, patrzyła na męża Poli i myślała o przestrzeni bez dźwięku i o służalczości. I o rozroczności. W małżeństwie.

Podeszła jednak do zaabsorbowanego kamerą Jerzego, chrząknęła, chuchnęła w zmarznięte dłonie, spojrzała na pana młodego, wypłoszą siwoookiego, niższego od Poli, żółtookiego animatora muzycznego, co na chwałę Panu śpiewał i grał (ani na harfie, ani na lutni, ale na sześciostrojnej ruskiej gitarze), a ponieważ nie zwracał na Anielę uwagi, klepnęła go po plecach.

- Nie ma to tamto - powiedziała Aniela. - Nie znamy się za dobrze. Ale z Polą znamy się od zawsze.

Pamiętaj, gdyby ta brudna dziwka powiedziała mi, że jest z tobą nieszczęśliwa, to... lepiej dla ciebie, żeby tego nie powiedziała - Aniela skończyła krótkie przemówienie. Pola uśmiechnęła się. Jerzyk rozdziawił ryjek. Wystawił igielki. Skulił się.

Aniela odwróciła się. Odeszła. Raz dwa, lewa, raz dwa, prawa.

Pola po ślubie przestała przyjeżdżać do matki na Gruntową. Aniela długo nie odwiedzała Poli. Jerzyk nie zgadzał się na wizyty Anieli, bo lepiej się z nią nie kolegować, lepiej się z nią nie zadawać, ona jest taka nieobyczajna, nieprzewidywalna. Pola uległa.

Bo Jerza swojego po kolcach dyrektywnych decyzji i nieodwołalnych wyroków głaskała. I była z nim zgodna. I układna. I szczęśliwa. Ale po kilkunastu miesiącach milczenia, tęsknienia za przyjaciółką, za dziwką Anielą, zaprotestowała. Powiedziała Jerzowi, że miłość do niego to jedno, a przyjaźń z Anielą to drugie, więc niech nie odmawia zbyt głośno zdrowasiek, kiedy Pola z Anielą spotykać się będą.

Bo będą.

Aniela jednak długo nie pojawiała się w mieszkaniu Poli i Jerza. Przyjechała dopiero wtedy, kiedy Pola powiła pierwszego syna, kiedy Mateusza urodziła, małego, różowego prosiaczka, trzy sześćset sześćdziesiąt gramów, dziesięć w skali Apgar, dziesięć palców u góry, dziesięć u dołu, oczu i uszu po dwoje. Ale nie przyjechała od razu, żeby ludzkie szczenię obejrzeć zaraz po przyjściu na świat, nie przyjechała, kiedy szczenię podrosło i zaczęło trzymać sztywno główkę (musisz to zobaczyć, Aniela), nie przyjechała nawet wtedy, kiedy Pola zadzwoniła do niej, zrozpaczona, że z małym w szpitalu jest, bo jego skóra ma kolor kaczeńców, bo bilirubina nie spada, bo dziecko wymiotuje, bo wątrobę ma chorą, bo, Aniela, nie wiem, co robić, i chociaż pamiętam, że nie lubisz się modlić, pomódl się za moje dziecko. Tego samego wieczoru Aniela wyszeptąła okolicznościową mowę, powiedziała, gadać z Tobą nie lubię, bo słabo mnie słuchasz i zawsze robisz, co zechcesz, Boże, ale lepiej uzdrów dziecko Poli, bo ono nie jest jeszcze ochrzczone, tak, wiesz, z pompą i z paradą, ze zdjęciem i z medalikiem, więc jeśli Ci zależy na tym, żeby mały w przyszłości nie miał moich z chrztem problemów, uzdrów syna Poli, a zresztą rób, co chcesz. Pomodliła się, ale nie

przyjechała do Poli, która dwa tygodnie później wróciła z wyleczonym Mateuszem do domu.

Aniela przybyła do niej dopiero wtedy, kiedy mały pełzał. Pola też pełzała. Ze zmęczenia. Miała podkrążone oczy, matową cerę, zaniedbane, oblaźłe z loreal kolor włosy związane w ogonek. Na jej bluzce w stokrotki, a może w niezapominajki, na jej bluzce zatem, między stokrotkami lub niezapominajkami, zakwitwały co chwila dwa wielkie mleczce, sączące się z jej pełnych piersi. Brzuch wylewał się z jej obcisłych spodni tłustym fałdem.

- Jerza nie ma? - zapytała Aniela.

- Nie ma. Jest w pracy. Musiał wrócić do targów, przetargów, utargów.

Pola krzątała się po kuchni. Jedną ręką robiła herbatę, w drugiej trzymała dziecko, trzymała usadowionego na jej pełnym biodrze syna, zmęczonego pełzaka, gdyby miała trzecią rękę, odgarniałaby nią opadającą nieustannie na czoło i twarz za długą grzywę. Aniela wreszcie powiedziała, pomogę ci, zajmę się herbatą albo dzieckiem (grzywą nie chciała się zajmować). I Pola wtrynęła Anieli dziecko. Siedem kilogramów wagi plus pełna pielucha. Aniela sztywno dzierżyła w rękach niemowlaka i zupełnie nie wiedziała, co zrobić z jego poczerwieniałą nagle twarzą i napiętymi jelitami.

- Nic. Kupę będzie robił - powiedziała Pola. Postawiła filiżanki na stole, po chwili dotknęła piersi, sprawdzając ich sterczącą gotowość do karmienia.

- Może go zabierz.

- Nie trzeba. Pomasuj mu brzuch. Trochę. Tak właśnie. Skąd wiedziałaś, że tak trzeba?

- Masowałam rany Marty, rany po zastrzykach.

Dziecko wypróżniło się, opróżniło się jak czyściec w dniu ostatecznym.

- O to ci chodziło? - zapytała Aniela.

- Tak. Poradziłaś sobie - odpowiedziała Pola.

- Kurwa, nie mówię o kupie twojego syna. Pytam o twoje życie, o zawalone studia, o siedzenie na smyczy w domu, o bezustanne czekanie na męża.

- Nie ma innego życia. Nie ma, wiesz? - odrzekła spokojnie Pola. - Studia skończę zaocznie. Smycz z każdym dniem będzie coraz dłuższa, bo dziecko rośnie, a jeśli chodzi o czekanie na Jerzyka, to lubię na niego czekać.

- Dlaczego? - po raz kolejny zapytała Aniela, bo pamiętała oczekiwania swojej matki na powrót ojca, pamiętała jej palców gryzienie, pamiętała jej łez nizanie na sznurki pozornej obojętności i siły, pamiętała jej anioła stróża zmęczonego nieustannym matki pocieszaniem rano, wieczór, we dnie, w nocy i jej po omacku strzeżeniem od wszelkiego złego.

Pola uważnie spojrzała na Anielę.

- Czego w życiu szukasz? - odpowiedziała pytaniem Pola.

- Niczego.

- Dlaczego?

- Obawiam się, że znajdę.

- Czego chcesz ode mnie?

- Niczego.

Pola zmierzyła Anielę krótkim spojrzeniem. Za krótkim.

- Jestem szczęśliwa. Zrozum to, głupia dziwko.

Zrozum, że jestem szczęśliwa z moim nawiedzonym Jerzykiem, który w niedzielę do kościoła wychodzi godzinę wcześniej, żeby Oblubieńca i Jego Matki nie urazić. Zrozum, że chcę urodzić kolejne dzieci. Zrozum, że nie przeszkadza mi niepewność i oczekiwanie. Czy dostanę kolejny okres? Czy znowu jestem w ciąży? Zrozum, że lubię smród niemowlęcej kupy i dźwięk głośnego beknięcia dziecka. Lubię gotować niedzielny rosół i codzienny krupnik. Nie przeszkadza mi nieustanne sprzątanie i pranie. Zrozum, że wtedy czuję, że jestem. Że mam to, czego nigdy nie miałam w domu na Gruntowej.

- Jerzy jest dla ciebie dobry?

- Bardziej niż ktokolwiek inny. Aniela?

- Tak?

Pola uśmiechnęła się, bo rozumiała, że tłumaczenie Anieli małżeńskich oczywistości ma tyle sensu co ślepemu od urodzenia opowiadanie o barwach jarmarcznych straganów.  
- Nic.

I podeszła do Anieli, i zabrała z jej rąk zafajdanego Mateusza. I zaniósła go tam, gdzie zapach wykrochmalonych pieluch i zasyпки unosił się jak Duch nad wodami. A po chwili wróciła. Z aniołem w nowych śpiochach. W wygodnych śpiochach. Rozpinanych w kroku.

Czarny Marian nie miał spodni rozpinanych w kroku. Aniela pamiętała, że w ogóle nie nosił spodni.

Pola bała się Czarnego Mariana, przyglądała mu się długo, ale zawsze z bezpiecznej odległości. Obawiała się, że kiedy podejdzie i dokładnie zobaczy, co Marian ukrywa pod skrzydłami płaszczka, to oślepie, i nie będzie cudu wzroku przywrócenia, Panie Jezu Chryste, Synu Dawida, ulituj się nade mną, bo cudu nie będzie. A później szybko uciekała na religię.

Aniela zatrzymywała się przy Czarnym Marianie, mówiła dzień dobry, a później, że śmierdzi. Albo pytała: tylko tyle? A to zazwyczaj wystarczało, by Marian rozpoczął działania, by zaczął wprawiać w ruch upośledzoną, trochę popsutą kukielkę swojego ciała.

Kilka słów, które wypowiadała Aniela, było dla Mariana jak smagnięcia biczem wydekoltowanej pani Jadzi, było jak spełnione marzenia o pani Jadzi z mięsnego, o pani Jadzi z biustem wielkim jak wieprzowe szynki, było jak wszystkie tęsknoty za panią Jadzią, które wreszcie wytryskały z Czarnego Mariana na ziemię przykościelną nieurodzajną.

Aniela nie czekała do końca przedstawienia. Odchodziła wtedy, kiedy trzeba było odejść.

Matka nigdy nie dowiedziała się o wspólnych sprawach młodszej córki ekshibicjonistą. Nie dowiedziała się o powtarzających się z regularnością obligatoryjnych katechez stosunkach werbalnych jej młodszej córki z Czarnym Marianem. Wolałaby pewnie nie wiedzieć.

Aniela, w przeciwieństwie do matki, chciała wiedzieć. Kiedy kiwając się na stołku w kuchni, balansując między stanem jeszcze siedzę, a już leżę - wtajemniczona w anatomie męskich organów rozrodczych \_\_ pytała, dlaczego ma przystąpić do pierwszej komunii świętej, matka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Oprócz: bo tak.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć; bo nie dysponowała dowodami chrztu, które mogłyby przekonać dziewięciolatkę.

Aniela uznała swoje wątpliwości za uzasadnione.

Uważała, że nie istnieje żadne usprawiedliwienie wysiłku intelektualnego, zmuszającego ją do nauczania się na pamięć, na wieki wieków amen, katechizmu Kościoła katolickiego, jego reguł, praw, dogmatów, których sam Jezus, choćby się starał, nie mógł wymyślić.

Myliła się jednak. Istniało uzasadnienie konieczności kolejnych sakramentów Anieli: wiara katolicka jej rodziców. Przede wszystkim matki. Czas przed komunią spędziła więc Aniela nad katechizmem, bo nie miała wyboru, bo Pan Jezus już się zbliżał, bo już, już miał zapukać do jej drzwi. Bo tak.

I kiedy tak sobie siedziała razu pewnego nad białym katechizmem dla dzieci, siedziała sobie wpatrzona w literki i kolejne cyferki i przerzucała kartki jak palacz w szkolnej kotłowni węgiel, znalazła definicję chrztu. Długo ją rozważała. Miał być najpotrzebniejszym sakramentem; miał uwalniać od grzechu pierworodnego; miał uświęcać i przez znamie charakteru, upodabniające do Chrystusa, włączać do Kościoła.

Anielę. I innych.

Z formułki chrztu wynikało, że powinna mieć jakieś znamie, a może znamienity charakter, tego dokładnie nie rozumiała, w ogóle mało rozumiała, prócz tego, że znamie charakteru mieć powinna, które upodabniałoby ją do Chrystusa. W łazience z pomarańczowymi lamperiami i kilkoma sznurami, obwieszonymi flakami wiecznie wilgotnego prania, najczęściej gaciami ojca i koronkopodobnymi halkami matki, obejrzała

cały swój charakter. Dokładnie.

Z góry na dół. Z dołu na górę. Zjrzała nawet między palce u stóp. Nie pominęła żadnego szczegółu, żadnej szczeliny obleczonego cienką skórą szkieletu swojego charakteru. Nie znalazła nic. Żadnego znamienia.

Oprócz rozrastającej się brodawki (nierównej, ciemnej i postrzępionej jak wiara Anieli), umiejscowionej na północny-zachód od pępka, pod piersiami, które nie chciały urosnąć aż do czternastego roku życia.

Kiedy wreszcie zaczęły rosnąć, dorodne, rozłożyste koleżanki śmiały się z tego, że jędrna wypukłość pojawiła się tylko po prawej stronie klatki piersiowej Anieli. Lewa strona nigdy nie dogoniła prawej. I tak już zostało. Nierówno.

Wtedy, podczas oględzin w kiblu, Aniela zwątpiła. Zwątpiła po raz pierwszy. Później wątpiła wiele razy.

Wtedy też, w kiblu, uświadomiła sobie, że nie posiada świętego znamienia. Ani fotografii. Ani medalika. Ani nic. Zostało tylko chłodne matczyne: bo tak;

zaprowadziło ją ono przed oblicze straszliwego księdza Józefa, przed którym zdała egzaminy z wykutych formuł, wypowiedziała z pamięci wszystkie aklamacje ze spektaklu msza święta, rola: wierni.

Ksiądz dopuścił Anielę do pierwszej spowiedzi świętej.

Tydzień przed komunią w pustym, w prawie pustym Białym Kościele, bo niewiasty różańcowe nigdy nie opuszczały klęczników, ławek i cichych, świętych kątów, zgromadzono drugoklasistów na umschlagplatzu Bożego daru miłości. Wszystkich ustawiono przed konfesjonałem w dwa długie jak ogon węża szeregi. Ogon chłopców - bardziej ruchliwy, bardziej samobieżny, bardziej niepokorny. Ogon dziewczynek - bardziej skupiony, bardziej wpatrzony w liniowane fragmenty ściąg świętych z grzechami powszednimi. Każdy czekał na swoją kolej.

Z kilkudziesięciu par oczu obu ogonów wylaził strach. Wypełzał i rozpełzał się. Paraliżował. Dusił.

Podgryzał. Aniela rozglądała się niepewnie. Miętosiła w spoconej dłoni karteczkę z wypisanymi grzechami.

Potrzebowała wsparcia koślawych liter.

Czuła, że kolana uginają się pod nią coraz bardziej nie tylko ze strachu przed wyznaniem grzechów, ale przed samym konfesjonałem. Konfesjonał był strasznym miejscem. Miał troje inkrustowanych drewnianych drzwi. W środkowe, najszersze, składające się z dwóch skrzydeł, wchodził ksiądz. W boczne tarabanili się ludzie: znikali w nich, umierali dla świata na chwilę, później wydobywali się stamtąd. Konfesjonał wypływał oczyszczonych katolików. Wierni wydostawali się z dębowych czeluści wymiętoszeni, niektórzy załzawieni, inni obojętni.

Aniela wiedziała, że jeśli zamknie za sobą drzwi konfesjonału od swojej strony, Bóg pożre ją.

Przeczuwała, że nieprędko wyjdzie z drewnianej klatki.

- Boisz się? - zapytała stojącą za nią Połę.

- Nie - odpowiedziała, nie zwracając na Anielę uwagi.

- Dlaczego?

- Bo nie mam grzechów - odrzekła. Dłubała w nosie.

Aniela nie wierzyła. Chciała jeszcze wyszczebrać szeptem, że niepokalane istnienie Poli to durne kłamstwo. Nie zdążyła. Rozległo się trzykrotne pukanie z głębi konfesjonału, z którego po chwili wypełzł zdruzgotany odpuszczeniem win drugoklasista.

Weszła do środka. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Pojęła, że nie przeczyta grzechów wypisanych na przesiąkniętej tłustym potem kartce.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyszczeptała, celując słowami w ledwie rysujący się cień księdza Józefa.

- Powinnaś pamiętać formułę spowiedzi świętej.

- Nie pamiętam.
- Przypomnij sobie.
- Nie mogę. Tu jest ciemno.
- W konfesjonale zawsze jest ciemno.
- Dlaczego?
- Żebyś mogła wyznać wszystkie grzechy.
- Chcę już wyjść. Nie mam grzechów.
- Nie możesz odejść. Każdy jest grzeszny. Brudny. Wypowiadaj się.
- Pola mówi, że nie ma grzechów.
- Kłamie.
- Mam sny.
- Sny to nie grzech. Wszyscy śnią.
- Ale mnie się śni Czarny Marian.
- Kto to jest?
- To ten, który łązi dookoła kościoła i pokazuje.
- Co pokazuje?
- To samo, co ma Jezus między nogami.

Zapadła cisza.

Aniela milczała.

Ksiądz milczał.

Potem kazał żałować za grzechy. Aniela żałowała:

Boże, bądź miłościw mnie grzesznej, że plotkowałam;

że obmawiałam; że wyśmiewałam się z Tomka Fluka - Fluczek, Fluk, żaby tłukł, skórę zdierał i pożerał; że ukradłam matce kilka złotych na oranżadę w plastikowym woreczku ze słomką i na solone, smażone pestki; że nienawidziłam ojca i jego porannych powrotów z hotelu, w którym pracował; że opuściłam cztery niedzielne msze święte i nieustannie zapominałam odmawiać pacierz.

Boże, bądź miłościw mnie grzesznej, że miałam sny, że śniłam, że przeczuwałam, że odczuwałam pierwsze, niepojęte, niepojęcie przyjemne drgania w podbrzuszu.

Boże, bądź miłościw mnie grzesznej i wypuść mnie już stąd, przestań dręczyć zafoliowanym, rozmazanym konturem obcego księdza, konturem nakreślonym przez pijanego artystę, i spowiedzią bez rachunku sumienia, ponieważ w żadnym katolickim równaniu dla dzieci nie mieści się świat Czarnego Mariana, szyty bez miary nie na moje sumienie.

Rozległo się pukanie. Aniela wyszła zmęczona, oczyszczona nie wiadomo z czego. Czują, że rozgrzeszająca formuła nie zdezynfekowała jej dziesięcioletniej duszy, która gdyby z ciała wyleciała, na zielonej łące długo by stała i na zmiłowanie czekała.

To, czego nie wypowiedziała, a co chciała wypowiedzieć, zostało w niej, kalając wnętrze poczuciem winy.

To, co powiedziała, wsiąkało powoli w drewno konfesjonału, nasycając dębowe słoje brudem snów.

Pola i Aniela nigdy więcej nie ujrzały Czarnego Mariana.

W maju zaprowadzono Anielę do Białego Kościoła.

Był chłodny ranek. Kiedy wspólnie z matką - znów pieszo - pokonywała Wielką Kładkę, wiatr zrobił porządek z jej krótką, ułożoną gładko fryzurą. Ułożoną z przedziałkiem. Sztuczny wianek psuł wygląd jasnej główki dziewczynki, ale to nie miało wówczas większego znaczenia. I tak nikt nie liczył się ze zdaniem Anieli. Na przykład w sprawie pelerynki. Aniela nie chciała pelerynki. Nie chciała gładkiego białego muślinu na plecach. Wyglądała w niej jak goła-nie-goła Barbie, której wreszcie ze starej chustki do nosa zrobiła pelerynkę, okrywając ładny, chociaż plastikowy biust. Symetryczny. Aniela w przedpierwszokomunijny poranek protestowała, że biustu nie ma, że w ogóle nie ma na sobie nic plastikowego, ani biustu, ani pleców, ani włosów, że pelerynki są dla lalek, dla gołych lalek, dla matek chrestnych Kultur i innych takich. I że ona nie włoży. I won! Teraz szła z

matką przez Wielką Kładkę. W pelerynce.

Ojciec z Martą gdzieś za nimi.

Aniela oddałaby wszystko, żeby na jeden dzień byle dokąd uciec, a nie przez Wielką Kładkę na godzinę do kościoła się udawać.

Szła. Białe rękawiczki były obrzydliwie czyste.

Nieskalane, dziewicze, świeże. W lewej dłoni trzymała świecę i torebkę upstrzoną srebrnymi cekinami. Spojrzała na swoją prawą dłoń. Wskazujący palec położyła na metalowej barierce Wysokiej Kładki.

Metodycznie, wolno przeciągany po brudzie śnieżny czubek ubranego w biel palca pokrywała sadza.

- Co robisz, idiotko?! Jak teraz pokażesz się w kościele?! - matka zaczęła krzyczeć.

- Urodziłaś mnie? - zapytała Aniela, zaglądając w jej jasne oczy. Wiatr targał płatki sztucznych kwiatków wianka. Przedziałek falował, przybierał kształt zachodniego, nieregularnego i postrzępionego, brzegu Jeziora Galilejskiego.

- O czym ty w ogóle mówisz? Marsz przodem!

Ręce przy sobie!

- Nie urodziłaś mnie! Nie ochrzciłaś mnie! Nie jesteś moją matką!

Jej uderzenie bolało mniej niż piskliwy jazgot na środku Wielkiej Kładki.

Pierwsze i ostatnie uderzenie.

Matka wybrała drogę na wzgórze wzdłuż świętego Rocha. Schodami krótszymi, ale o wyższych stopniach.

Aniela nic nie zapamiętała z wielkich pierwszokomunijnych uroczystości.

Zapamiętała tylko ból nóg - rwanie lewego biodra. Nikomu nie pozwolono siedzieć - wszystkie dzieciaki ustawiono w czterech falujących rzędach na środku kościoła: Boże stadko, nowy katolicki proletariat z rewolucyjnymi tendencjami, które w przyszłości miały zaowocować zwątpieniem i niewiarą.

Zapamiętała tylko swoją brudną rękawiczkę i smak opłatka.

Potem były grupowe zdjęcia pod kościołem. Z księdzem Józefem i resztą. A potem były zdjęcia u fotografa. U „Wolskiego i syna”, przemianowanego gdzieś kiedyś i nie wiadomo po co na „Kolory dnia”.

Nic więcej.

\*

Ksiądz Józef wyznaczył Anielę do śpiewania.

W białą środę białego tygodnia. Do śpiewania psalmu responsoryjnego, z refrenem „My ludem Pana i Jego owcami”, wyznaczył Anielę. I zwrotki do tego refrenu miała Aniela zaśpiewać w tonacji raczej major, bo minor pasował na pogrzeb bardziej, a może na Wielki Post, ale na pewno nie na mszę białotygodniową.

- Zazdrozczę ci - powiedziała Pola. Siedziała na murku przed klatką schodową. Tasowała karty.

- Grasz w dupę biskupa?

- Nie. Czego mi zazdrościsz?

- Wszyscy cię zobaczą, usłyszą, no i w ogóle.

- Dziewka. Nie wiesz, co gadasz - Aniela rzuciła ogryzkiem w stronę śmietnika.

Pudło.

Pola nie wiedziała, co gada. Bo skąd miała wiedzieć, że Aniela zupełnie nie dba o występ, o „My ludem Pana i Jego owcami”, że nie przywiązuje żadnej wagi do mszalnego recitalu, oprócz tej może, że trzeba będzie znowu pójść do kościoła, że trzeba będzie stać półtorej godziny w czteroszeregu dzieci szumiących jak wiechcie przejrzałego, już zaczynającego gnić zboża, że trzeba będzie później na bolących kolanach klęczeć, bo po mszy czeka obowiązkowe „Przed tak Wielkim Sakramentem upadajmy wszyscy wraz”, bo to maj i przymusowe nabożeństwo do Panienci, tej od Bernadki dziewczynki, co po górach, dolinach po drzewo szła w las, bo innej drogi nie znała, bo skąd miała znać inną drogę, skoro anioł ją

tam wiódł, a Bóg sam wybrał czas, Ave Maria, rozlega się dzwon. Won!

Won! Won!

Aniela miała wprawę w występach publicznych.

Na każdej szkolnej akademii śpiewała „Pust wsięda budiet sołnce, pust wsięda budiet niebo” i recytowała, chociaż niewiele pojmowała, recytowała czasem, już od pierwszej klasy, każdego roku „Kiedy przyjdą podpalić dom” na zmianę z „Kłaniam się rosyjskiej rewolucji czapką do ziemi, po polsku”... Bliżej jej było do Broniewskiego niż do Tuwima, co ją z tą lokomotywą oszukał. A Broniewski nie kłamał z tym domem, którego bronić trzeba było. Bo gdyby ktokolwiek kiedykolwiek jej dom, jej czterdzieści kilka metrów, jej kuchnię z wstrętnym linoleum, jej i Marty pokój trzy na trzy i pół spróbował podpalić, ona ze snu podnosząc skroń, u drzwi bagnetem na broń załatwiłaby sprawę. Jej dom. Jej świat. Własny, choć kulawy i nienormalny. Dlatego na okolicznościowych akademiach ku czci i pamięci recytowała i śpiewała pięknie, bo chciała, żeby na niebie wsięda słońce było, bo chciała, żeby ojciec-podpalacz przestał wreszcie przyłączyć nad ranem z pracy, a jeśli już musiał wracać, to ona chciałaby go na rożen bagnetu.

- Ciotka Dora zaprowadzi cię jutro do kościoła. Mam dyżur. Ojciec jest w hotelu, Marta nie może - powiedziała matka w biały wtorek. Niedzielna złość już jej przeszła, już pierzchła, nie płacz, kiedy odjadę.

- Jak to ciotka Dora?

- Tak to.

- To może jeszcze z Kryską?

- To może.

- Dojadę sama. Dam radę. Wsiąść na piątym przystanku.

- Ciotka Dora chce posłuchać, jak śpiewasz.

- To nie szkolna akademia, mamo.

- Tym bardziej. Na szkolną akademię nie każdy może. A do kościoła każdy. I Dora. I Kryska też. Teraz weź te rzeczy, tak, te w koszyku, i zanieś ciotce - matka skończyła rozmowę.

Ciotka Teo-Dora.

Mieszkała w pobliżu.

Ze swojego szarego i smutnego bloku Aniela szła do niej wąską ścieżką, przy końcu której znajdował się mały sklep warzywny. To w nim ukradła kiedyś kilka czereśni. Chciała przekonać się, jak działa Bóg Sprawiedliwy: czy tylko groźnie pokiwa siódmym jak przykazanie palcem, czy też całą dłońią rzuci na Anielę pioruny gniewu. I ukarze smarkulę złodziejek śmiercią.

Przekonała się - Bóg pokiwał siódmym odwiecznym paluchem, który później włożył w metafizyczny nos. Stwórca rozmyślnie pozwalał sobie na brak pośpiechu. Wiedział, że nie ma zbrodni bez kary, że Jego nierychliwość jest wprost proporcjonalna do sprawiedliwości, bo jak Aniela Bogu, tak Bóg Anieli, więc marsz do ciotki. Za karę.

Ciotka mieszkała niedaleko szkoły, na rogu Promiennej i Asnyka, w jednym z klockowatych, niezgrabnych domów jednorodzinnych, okolonych metalową dziurawą siatką przez którą do ogrodu przełaziły koty, żeby bezwstydnie, przeciągle miauczaco, parzyć się pod oknami bogobojnej siostry ojca Anieli. A jak już się wyparzyły, naparzyły, doparzyły, wtedy rodziły w szopie pręgowane bękarty, wrzeszczące bachory, kopulujące później ze sobą kazirodczo, obrzydliwie.

I tak w kółko, od stworzenia świata do końca świata. Ciotka żadnego kota nie pozwoliła wytentegować.

Każde życie jest darem Bożym. Nawet kocie.

W ogrodzie ciotki pełno było jabłek i kocich gówien. I gówien Kryski.

Kryska, kilkanaście lat starsza od Anieli, była jedynym dzieckiem ciotki Dory.

I była nienormalna.

Od zawsze.



Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego urodziła się taka, jaka się urodziła, ze zdeformowaną głową, z nie domykającymi się zawiasami szczękowymi, z pustym jak jej spojrzenie miejscem na dolne jedyńki, które powinny urosnąć, ale Kryscie nie wyrzęły się nigdy, z jedną powieką przymkniętą zawsze do połowy, z plackowatą łysiną na środku głowy, mniszą tonsurą, kyrieelejson. Kryska łąziła po świecie z za długimi rękami, z trochę garbatymi plecami, z tułowiem na zbyt krótkich nogach, z wiecznie otwartą gębą. Gadała, kiedy chciała, srała, kiedy chciała, ot, tak dla fantazji, pod siebie, za siebie, gdyby umiała, to powyżej siebie też by pewnie nasrała. Ale nie umiała.

Bo gdyby jednak umiała, to Aniela zaproponowałaby ciotce oddanie Kryski do cyrku. Ciotka wreszcie odpoczęłaby i zluźowała tylną parę wiecznie otwartych oczu (muszę mieć oczy dookoła głowy, kochana, Krysiunia jest nieobliczalna, potrzebuje ciągłej opieki, no wiesz, sama wiesz), może znalazłby się wreszcie zaginiony wuj Olen (kochanie, twój tatuś ma na imię Leon, no powtórz, Krysiuniu, Le-on, Le-on, nie O-len, kiedyś się nauczysz, może zdążysz przed powrotem tatusia, prawda?) i może Kryska ujarzmiona cyrkową dyscypliną, przestałaby wreszcie prorokować, kyrieelejson.

Bo Kryska prorokowała.

Nigdy nie było wiadomo, co i kiedy powie. Jej mały, upośledzony mózg pełen był biblijnych cytatów, fragmentów ksiąg Nowego i Starego Prawa, słów przenajświętszych, zapamiętywanych podczas codziennych mszy świętych, na które razem z matką, każdego wieczoru, przez Wielką Kładkę, a później z dala od Czarnego Mariana, uparcie, wiernie chodziła.

Aniela nigdy nie dowiedziała się, w jaki sposób i kiedy Kryska przystąpiła do pierwszej komunii świętej, bo przystąpiła, bo na eucharystiach przyjmowała Ciało Pana swego, Jezusa Chrystusa, przyjmowała je chyba tylko po to, żeby zamknąć na moment przeżuwania Ciała Pana swego, Jezusa Chrystusa, wiecznie otwartą gębę.

Później, znacznie później, kiedy ciotka Dora już nie mogła chodzić, nie mogła chodzić za wciąż robiącą pod siebie Kryską, nie mogła chodzić do kościoła, aby nasycić się tańszym niż czarny litewski z kminkiem Chlebem Życia, właśnie wtedy obie słuchały - jak większość katolickich niewiast, jak większość niewiast dotkniętych samotnością, nieszczęściem, chorobą - stacji radiowej, którą słycać wszędzie.

I w Pekinie, i w Wyszkowie. I obie drżały, panny chwalebne i błogosławione, kiedy w rzęzącym głośniku starego kasprzaka rozlegał się głos umiłowanego, tego samego, co go ani demony komunizującej lewicy, ani demony lewicującej prawicy nie zdołały zniszczyć. A one, niewiasty maryjne, niewiasty życiem uciemnione, wysyłały dary serca, wysyłały dary odejmowane sobie od ust, od żołądków, wysyłały na swoje radio sumy i sumki. Żeby trwało. Żeby rosło.

Na chwałę założyciela i Panienci Najświętszej. Ciotka Dora wysyłała dary serca z emerytury nauczycielki rosyjskiego, języka przekłętogo, a Kryska, choć tej było wszystko jedno, ze swojej renty inwalidzkiej, bo jej nieformalne alimenty umarły razem z ojcem. Wysyłały więc dary serca, gromadzone przez imperium Panienci na koncie, którego numer znały na pamięć jak ojczenasz. Obie modliły się gorąco za prześladowców założyciela, orędownika prawdziwych Polaków, orędownika patriotyzmu i orła białego, orła ze skrzydłami krzyżowanymi za każdym razem, kiedy piędz polskiej ziemi, kawałek polskiego muru jakiejś nieszczęsnej polskiej fabryki, kiedy to wszystko trafiało w ręce Niemców, co to już nie mieli płuć w twarz i nie mieli germanie ni dziecięcia, ni ziemi, ni płotu polskiej fabryki.

Ciotka modliła się, bo gorąco założycielowi i Paniencie wierzyła.

Kryska modliła się, choć było jej wszystko jedno, komu i z jakich powodów wierzy jej matka. Byle klaskać. Byle śpiewać. Byle prorokować.

Najbardziej lubiła południowe kontemplacje czwartkowe. Gibała się przy sentymentalnych glutach Morriconego, przy dźwiękach fletni Pana, a później przy ciepłym głosie duchowego potomka Ignacego z Loyoli. Nie rozumiała nic. Pamiętała wszystko.

Mówili, że Kryska jest taka, jaka jest, za karę. Za to, że Dora kochała kiedyś księdza. Dawno temu.

Anieli nie było wtedy na świecie. Mówili, że dlatego wuj Olen oszedł od ciotki Dory nie wiadomo dokąd.

Wiadomo, że żył, bo przysyłał pieniądze na Kryskę, ale gdzie żył, z kim żył - to już była tajemnica mieszcząca się między dogmatem o nieomyślności papieża a transsubstancją.

- Przyniosłam to - powiedziała Aniela, stawiając koszyk z jakimiś szmatami na kuchennym stole ciotki Dory. Dom sypał się. Gdyby ojciec Anieli nie zaglądał tu od czasu do czasu, mieszkalyby jak na melinie.

- Dziękuję ci, kochanie - ciotka liznęła bratanicę w czoło.

Dziewczynka wytarła je rękawem.

Nie znosiła powitalno-pożegnalnych pocałunków, nie znosiła uścisków ręki, dotyków dłoni, nienawidziła potu, który pozostawiał na jej skórze obcy smród.

- Nie ma za co. Mogę umyć ręce?

Umyć ręce, umyć twarz po dotknięciu ciotki.

Znała drogę do łazienki. Szła ostrożnie, nie chciała wdepnąć w nieumyślnie, przypadkiem nie zauważoną i nie sprzątniętą przez ciotkę kupę Kryski. Kryska potrafiła ściągać z siebie ubrania, tetrowe pieluchy, wywalać spod siebie odchody, potrafiła biegać po zimowym ogrodzie z gołą dupą i wykrzykiwać:

Odwagi! Nie bójcie się! Przychodzi Boża odpląta!

Albo wtedy, kiedy zaginął wuj Olen, kiedy wyjechał bez pożegnania, bez sakramentalnego jedź z Bogiem i bez sakramentalnej odpowiedzi zostańcie z Bogiem; więc wtedy, kiedy tak wyjechał, pewnie się nawet nie przeżegnał, wsiadając do pociągu, a to już był grzech śmiertelny, grzech wołający o pomstę do nieba, bo wyjazd każdy należało napiętnować obecnością wimieojcaisynaiduchaświątego, więc taki biedny, bez bagażu (Aniela znacznie później dowiedziała się, że wziął tylko skarpety na zmianę i przybory do golenia), bez pozostawienia listu pożegnalnego, bez zwykłego wytłumaczenia, że do jasnej cholery w domu śmierdzi, dziecko jest nienormalne, żona stała mi się siostrą, która co wieczór na mszę przenaświętszą prowadzi się razem z córką, wtedy właśnie cała rodzina biadoliła nad losem ciotki. Matka wpadła w swoje jęklive pomożemy, Doruniu, w miarę się pomożemy, a ojciec nic nie mówił, palił tylko sporty, jeden za drugim, za trzecim i za czwartym, i dostawał ataku kaszlu, i też współczuł swojej siostrze, bo jakieś tam uczucia w końcu miał, niskie, bo niskie, ale miał.

Wtedy więc, kiedy wszyscy trwali w żalu, między zapewnieniami o trosce i siarczystymi przekleństwami sypiącymi się jak wielkośrodkowy popiół na głowę wuja Olena, Kryska, siedząca pod oknem, bez spodni, bez spódnicy, w samej pieluszcze, zaczęła śpiewać: Pan jest wielki, radujmy się, bracia, w Panu. I zaczęła się śmiać. Śmiechem, w którym mieszkał albo zdeflorowany anioł, albo ochrzczony diabeł.

Wciąż prorokowała. Nawet po śmierci ciotki Dory, całkiem niedawno, ale któż wie, kiedy było dawno, a kiedy niedawno, któż wie, według jakich cezur należałoby dzielić upływ lat, miesięcy, dni, jakimi wydarzeniami trzeba by oddzielać wczoraj od dzisiaj i od jutra, któż wie, gdzie warto byłoby postawić chroniące przed paranoją pamięci zasieki albo w jakim miejscu świadomości zaorać pasma ziemi granicznej, na którą parchate wspomnienia nigdy nie miałyby wstępu, zatem całkiem niedawno, kiedy umarła Dora i Kryska została sama, bo ani matka nie mogła zaopiekować się krewną ojca, bo praca, bo wnuczka, bo ciszy potrzeba, a w ciszy - lektury świętej potrzeba; i Aniela także nie mogła wziąć Kryski do siebie, bo Marysia, bo mąż, bo praca, bo obowiązki, a Aniela nie miała dodatkowej pary oczu jak ciotka Dora, wtedy Kryska też prorokowała. Śpiewała cicho, zmęczonym starym głosem: Żaden prorok nie jest mile widziany między swymi.

Aniela spojrzała na kuzynkę. I powiedziała matce: żadna z nas nie ma zapasowego spojrzenia, które strzegłoby Kryskę przed nią samą. Wtedy matka postanowiła oddać Kryskę na przechowanie. Do małej wioski pod B. Do domu opieki społecznej. Zakonnego.

Aniela wiozła w aucie Totalnego (pamiętaj, kupiłem je przed naszym ślubem, jest moje) matkę, która tępo patrzyła w okno, obserwując przesuwające się obrazy, wiosenne lasy, łąki kwitnące sielsko-anielsko.

Prawie jak w kinie. W dodatku niemym. A chociaż jej spojrzenie było tępe, myśl matki pozostawała ostra jak ostatnia zima. Bo dziś rano, jak codziennie, jak każdego dnia przed połknięciem tabletek na nadciśnienie i przed pierwszą słabą kawą, jak każdego dnia otworzyła Pismo Święte. Na chybił trafił. Czasem trafił, a czasem nie trafił. Bóg. Dziś trafił. I sieknął matkę mieczem obosiecznym swoich słów. I powiedział jej, że religijność czysta i bez skazy wobec Boga i Ojca wyraża się w opiece nad sierotami i wdowami.

Trach, matka zamknęła list św. Jakuba. Z trzaskiem.

Kawy nie wypila. Cały ranek chodziła z kąta w kąt, a może kąty i brud piąty łączyły za matką, szorującą ze zdenerwowania wszystkie podłogi. A teraz matka miała w sobie apostołskie przesłanie, bo wyrzucić go z głowy nie mogła, bo już się pojawiło i sączyło szklaną pipetą w matczyne serce poczucie winy.

- Przecież nie mogę - powiedziała cicho do Anieli.

- Przecież wiem.

- A może powinnam? Powinnam zostawić Krysię u siebie?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Marta by tak nie postąpiła.

- Nie postąpiłaby - zamknęła rozmowę Aniela, chociaż chciała powiedzieć, mamo, tak trzeba, w końcu Kryska nie ma innej rodziny, a ta, którą ma, czyli ty i ja, mamo, to rodzina o lasce chodząca, chroma, a w końcu dom pomocy to też jakaś forma opieki i obowiązku względem Krysinego nieszczęścia. Ale wyjęzyczyć tego nie umiała.

Szklana pipeta wsączyła do serca matki kilka kropel niechęci. Do córki.

W trakcie krótkiej podróży matka czasem odwracała się i spoglądała to na uwięzioną w foteliku Marysię, to na zaślinioną, śpiącą Kryskę, którą przytulały do tylnego siedzenia pasy samochodowe.

Kryska postarzała się. Miała siwe włosy, które od pogrzebu swojej matki ciągle nawijała na wskazujący palec prawej dłoni. Najczęściej pejsy przyuszne, długie, jasnoszare pasma cienkich włosów nawijała na palec jak watę cukrową na patyk.

Kryska obudziła się. Marysia powiedziała do niej, jedziemy na wycieckę, wieś, mama powiedziała, że jedziemy na wycieckę? Z ciągle otwartych ust Kryski wyturlały się niezrozumiałe słowa. A później jakieś śpiewy. Marysia zamilkła.

Kiedy dojechały na miejsce, Aniela pomogła matce wprowadzić Kryskę do środka. Tam czekały na nią zakonnice, jasny pokój z Jezusem ogrójeckim, trzy posiłki dziennie i deser, spacer raz dziennie, msza święta raz w tygodniu i samotność bez jakichkolwiek limitów. Aniela zostawiła matkę z Kryską. Poszła z Marysią do lasu, wróć za godzinę, mamo.

- Nie chce, zęby Klysia tu została - powiedziała Marysia, topiąc drobne dłonie w powodzi koniczyn. Siedziały na małej polanie otoczonej młodymi brzożami.

- Skąd wiesz, że tu zostanie?

- Powiedziała mi.

- Przecież ona prawie nie mówi. A jak mówi, to nie wiadomo co. Wiadomo, kiedy prorokuje.

- Lozumiem ją. Wsystko lozumiem. Pławie wsystko.

- I co ci powiedziała?

- Ze nie chce być w domu dla gupich. W tym piśtalu nie chce być. I ze ciocia Dola jej nie zostawi.

- W szpitalu. Ciocia Dora?

- No. Mama Klysi.

- Wiem, kim jest... była ciocia Dora - Aniela zdenerwowała się. - Marysia, rozmawialiśmy o tym.

Ona umarła. Poszła do nieba.

- Kłysia mówi, że ona nigdzie nie posła. Ze wiecolem lazem się modlą, a lano idą do ściokoła.

- Do kościoła. Marysia, poszukajmy czterolistnej.

Spójrz, raz, dwa, trzy, wszystkie mają po trzy liście, a teraz spróbujmy znaleźć czterolistną - powiedziała do córki. Marysia zatopiła się w koniczynach. Zapomniała o Krysi. Aniela patrzyła na swoje dziecko.

I wiedziała, że nie kłamie, bo dobrze pamiętała, co widziała Kryska, kiedy Marta sobie poszła. Daleko.

Później wróciła z Marysią po matkę, która czekała na nie zdenerwowana.

Zaferowana, zaniepokojona, zatroskana, że oto Krysia, w jednoosobowym pokoju umieszczona, siadła na jego środku, i uczepiwszy się spódnicy matki Anieli, niewyraźnie, choć zrozumiale (zawsze kiedy prorokowała, mówiła lepiej), wyśpiewała: Oto ginie! Jesteśmy zgubieni, wszyscy jesteśmy straceni! Czyż wyginie doszczętnie? Giń, zarazo. Matka przełękła się, a zakonnica, młoda zakonnica, powiedziała bez strachu, to z Księgi Liczb, skąd ona to zna? Matka wzruszyła ramionami, skąd mam wiedzieć.

Wracały do B. w ciszy. Matka ocierała łzy. Marysia zasnęła. Aniela chciała zapalić, jak ojciec. Ale nie paliła, inaczej niż ojciec. Raczej nie paliła.

Później sama jeździła do Kryski.

Niczego jej nie przywoziła.

Siedziała przy niej, czasem głaskała po dłoni, czasem po włosach. Już od dawna nie zauważała brzydoty kuzynki, jej łysiny, jej zdeformowanej twarzy jej garbu, jej krzywych palców u rąk, dłoni wygiętych i poskręcanych jak ścieżki wiodące do Pana. Ciało Krysi istniało poza tym, co widzialne, namacalne, prawdziwe.

- Pani jest dobra - powiedziała podczas którejś z wizyt ta sama młoda zakonnica, która Krysię w domu pomocy społecznej przyjmowała. Zmieniała pościel, w beczasie, podczas którego Krysia wyszła na krótką przechadzkę z innymi. Z potłuczonymi przez Boga, los i ludzi poszła Krysia. I z niepotłuczoną skorupą samotności za pazuchą poszła Krysia. I z tylnymi oczami ciotki Dory poszła Krysia. Na spacer.

Aniela przed wyjściem Krysi zakryła jej otwarte, piekielne usta jedwabną chustą po ciotce Dorze, tą samą chustą, którą ciotka kupiła sobie w dniu habemus papam, specjalnie z tej okazji kupiła malowane na jedwabnej materii wzory. Było chłodno. Wiał wiatr.

Krysia mogła zachorować.

- Nie jestem.

- Tu rzadko odwiedzają naszych podopiecznych.

Pozbywają się ich. A później zapominają. Wszyscy, prawie wszyscy zapominają. Ci, którzy ich tu zostawiają, zapominają - siostra ubiła rękoma poduchę.

- My z matką też to zrobiłyśmy. Pozbyłyśmy się Krysi.

- Czasem nie można inaczej, czasem trzeba się pozbyć. Ale pani nie zapomniała.

- Nawet siostra nie wie, ile razy chciałam zapomnieć.

- Ile razy?

- Wiele razy.

- Ale nie zapomniała pani.

- Nie zapomniałam.

- Dlaczego?

- Bo tak - odpowiedziała Aniela.

Zakonnica skończyła z łóżkiem Krysi utarczkę, zafoliowała nieprzemakalnym prześcieradłem materac, na warstwę nieprzemakalną położyła warstwę zwykłą, bawełnianą, poprawiła raz jeszcze kołdrę, całość oblekła całunem miękkiego koca. Wyprostowała się, poprawiła krótki, błękitny welon na głowie, otarła czoło dłonią, spojrzała na Anielę. Piękna kobieta, przemknęło przez myśl Anieli, przemknęło i pobiegło dalej, bo Marcie żadna zakonnica nie dorównywała.

- Dlaczego siostra wybrała takie życie? Z nimi.

Tutaj - zapytała Aniela.

- Dlaczego pani wybrała życie żony i matki? Z nimi. Tam - zakonnica spojrzała na palec Anieli, który podduszała za ciasną obrączka.

Aniela wzruszyła ramionami.

- Sama pani widzi. Każda odpowiedź jest banalna. A każdy wybór zawsze niedoskonały - powiedziała zakonnica, wychodząc. W drzwiach odwróciła się jeszcze na chwilę, jakby coś sobie przypominała, jakby coś chciała dodać do postrzępionej rozmowy, do niepełnych dialogów.

- Ona wciąż prorokuje - powiedziała.

- A siostra ma włosy?

- Mam. Bo co?

- Bo nic. Czysto jest - odrzekła Aniela, rozglądając się po pokoju, a siostra, z pochwalonym Bogiem na kształtnych ustach, wyniosła się.

Tamtego dnia, kiedy Aniela przyszła do ciotki Dory z koszykiem od matki, też było czysto. W domu ciotki było czysto. Wyjątkowo czysto. Po drewnianych deskach ślizgały się pojedyncze strzępy odłupującej się kakaowej farby, a dywaniki plecione ze starych, nie nadających się do repasacji pończoch zakrywały miejsca z nieuleczalną łuszczycą podłogi.

W łazience Aniela z obrzydzeniem patrzyła na strugi wody spływające po nie szorowanych od dawna zaciekach umywalki. Ciotka nie sprzątnęła zlewu.

Obok, na sznurach, wisiały bawełniane gacie - właściwie nie wiadomo czyje. Z jeszcze większym obrzydzeniem Aniela wytarła ręce w ręcznik. Wzdrygnęła się. Jeszcze raz włożyła dłonie pod wodę. Chciała obmyć kleiste dotknięcie flanelowej szmatki. Stała później dłuższą chwilę na środku łazienki, wymachując rękami, góra-dół, schnijcie, byle szybciej stąd wyjść.

- Dlaczego w kiblu stoi wiadro? To blaszane wiadro z blaszaną pokrywką - zapytała Aniela blaszanym głosem, wchodząc do kuchni po sweter.

- Kochanie, my nie mamy kibla.

- W łazience. Lepiej?

- Lepiej. Wiadro jest umyślnie.

- Umyślni są na pocztę. Przynoszą do taty listy ekspresowe i a wiza. Jak trzeba pójść na pocztę, bo będzie telefon z innego miasta.

- My wiadro mamy umyślnie.

- Po co?

- Krysia się do niego... wypróżnia.

- Przecież ona robi pod siebie.

- Kochanie!

- Załatwia się pod siebie.

- Nie zawsze. Czasem prosi. Ale wtedy potrzebuje zrobić swoje do wiadra.

- Przecież macie... sedes.

- Krysia boi się.

- Sedesu?

-Tak.

- Że co? Że się utopi?

- Nie wiem, może. Jutro idziemy razem do kościoła, pamiętasz, kochanie?

- Wujek Olen napisał do cioci? List może napisał, co?

- Le-on. Jaki psalm zaśpiewasz?

- Ciekawe, kiedy wróci...

Ciotka zamilkła. Opuściła głowę. Kryska bełkotała po drugiej stronie okna. Siedziała pod oknem na kocu w ogrodzie i bawiła się z małymi kotami. Kici, kici, wołała. Rzuciła kotom kłębek wełny, rzuciła w koty kłębkami wełny, rzuciła kotami w wełnę.

- Pięknie wyglądasz. Tak jak w niedzielę - powiedziała ciotka następnego dnia, w

białą środę, kiedy we trzy maszerowały do Białego Kościoła. Zabrudzona na Wielkiej Kładce rękawiczka była już czysta. Aniela sama ją wyszorowała zaraz po przyjściu z pierwszokomunijnej mszy. Stała w łazience, stała nad umywalką i próbowała wywabić z bieli podrabianego atlasu brud. Udało się. Chwalcie łąki umajone! Teraz rękawice harmonijnie, bliźniaczo, nieskazitelnie lśniły beczelną, dziewiczą bielą. Aniela schowała je do torebki obszytej srebrnymi cekinami. Żeby się ta biel najbielsza, chwalcie cieniste gaiki, żeby nie upaśćkała się znowu.

Kryśka szła z przodu, całą drogę pohukując raz, dwa lewa, raz, dwa prawa. Na ramieniu niosła torebkę plastikową, torebkę pasiastą, objającą się o jej prawe, wyższe kilka centymetrów od lewego, biodro. Raz, dwa, lewa, raz, dwa prawa, Aniela ciągnęła się za kuzynką, próbując oswobodzić spoconą dłoń z uścisku ciotki Dory.

- Pięknie wyglądasz. W tej białej sukience, w białej pelerynce, jak nasz papież, papieżyk, w tych bielach, Anielka, piękna jesteś - ciotka chciała jakoś rozwinąć pojęcie piękna pierwszokomunijnego.

Bo papież w życiu ciotki był najważniejszą osobą po Trzech Osobach Boskich, po Paniencie Najświętszej i po Kryśce. To znaczy szósty w kolejce był. Albo czwarty, jeśli Trzy Osoby Boskie liczyć jako jedną. Ale Aniela nigdy nie wiedziała, kiedy Trzy jest Jednością, a kiedy jest wynikającą z Trójcy Osobnością. Tak czy inaczej papież ważny był. A wtedy, kiedy przyjeżdżał z pielgrzymką do B., do miasta na rubieżach, do miasta pod ruską, a później pod białoruską granicą, więc kiedy przybywał, świetlisty, święty, dobry, wtedy właśnie plasował się w rankingu przed Ojcem, Synem, Duchem i Dziewicą. Nigdy przed Kryską. Później musiał czasem dzielić się szóstym albo czwartym miejscem z Ojcem Założycielem, ale nigdy nie spadł niżej.

Aniela pamiętała dzień, kiedy wybrano go na papieża. Siedzieli wszyscy przed granitem, przed telewizorem granit, siedzieli razem z matką i ojcem, i z Martą, i Aniela też siedziała, na podłodze, na starym dywanie, siedziała, dopóki nie przyszła ciotka Dora, koniecznie z ogonem, koniecznie z Kryską.

Po dłuższej chwili w telewizorze pojawiły się dymy na październikowym niebie w Rzymie, chyba ktoś płakał, chyba ktoś pociągał nosem, jakieś chwałyboguojcu wystrzelały w powietrze na zmianę z groźbami pod adresem komuchów. Aniela zerknęła w telewizor raz. No, może dwa. Wyniosła się później z Kryską do drugiego pokoju i próbowała na siłę zamknąć jej wiecznie rozdziawione usta, jakoś je przytwierdzić, przymocować, naprawić. Chciała wykorzystać do tego ukryte w podstolnym banku zapasy gumy do żucia, wuzute ulepki postanowiła zużyć, do starych ulepek dodała nawet trzy zupełnie nowe zzuwki, ale Kryśka wypłuła wszystko i zwymiotowała na sweterek Anieli. Później zjadła papierowe historyjki, przeżuła je, zamykając na chwilę gębę, ale Aniela nie ucieszyła się zamkniętą gębą Kryski, bo jej nie zauważyła, bo celu osiągniętego nie zarejestrowała, gdyż zbierała rzygowiny Kryski ze swojego sweterka, i czuła rosnący w jej ustach popołudniowy obiad i podwieczorkowy biszkopt z jabłkami, na okazję wspólnego oglądania habemus papam upieczony.

A kiedy Kryśka znowu otworzyła buzię i wywaliła język, i kiedy ukazała się oczom Anieli otchłań Kryśkiej gardzieli, bezwarunkowo niezamykalna, Aniela pomyślała z coraz pełniejszymi ustami, że robi to po indiańsku, bo może do matki dotrze takie wyjaśnienie, więc robi to po indiańsku, skoro inaczej nie można. I tak jak Winnetou i Old Shatterhand stali się braćmi przez kropli krwi wymianę, tak Aniela wymiociny Kryski uzupełniła swoimi wymiocinami, popołudniową ogórkową i żeberkami je dopełniła, wyobrażając sobie, że mamie powie, to taki, mamó, pakt przyjaźni, nie martw się, Franka to wypierze.

Ale kiedy Kryśka zobaczyła, że Aniela też się porzygała, otworzyła gębę jeszcze szerzej i chlusnęła raz jeszcze. Aniela poczuła, że tak musi wyglądać piekło, od śmierci nagłej i niespodziewanej wybaw nas, Panie!

A chwilę później Kryśka dostała za swoje. W łeb.

Za wymioty, za nosogardziel bez dna i za to, że chciała wybebeszyć Kulturę z flaków,

że próbowała przegryźć jej plastikowy tułów. No i dostała, szaląc się cholerny, powiedziała Aniela i zdzieliła kuzynkę Klechdami polskimi. Najcięższą książką, jaką miała.

A jak już ta nienormalna się rozbeczała, jak się już piekło w jej gębie zmaterializowało w piekielny krzyk, ciotka Dora z niemym wyrzutem w oczach wyniosła się z mieszkania na Gruntowej, habemus papam. Wybór papieża Aniela uczciła kwadransem marsz do kąta, przemyśl swoje postępowanie.

- Jesteś głupia i podła. W takim dniu doprowadzać do hysterii chore dziecko - zaczęła zrzędzić matka.

- To jej wina.

- Pamiętaj, Kryska nigdy nie jest winna.

I tyle było z tego dnia wielkiego, z habemus papam tyle zostało w Anieli.

I kiedy później, wiele lat później, ten, którego wyboru nie zarejestrowała w swojej ośmioletniej pamięci; ten, którego pielgrzymkowe spotkania omijała, unikała ich, ponieważ kojarzyły jej się z zapachem duszącego potu, z wonią podwawelskiej, z tłumami biwakującymi pod gołym niebem w wyznaczonych sektorach, z wiernymi, z ludźmi, którzy chcieli sfotografować paradne oszklone auto i dlatego taranowali siebie nawzajem, jeden przez drugiego, trzeci na czwartego, piąta przez dziesiątą, z szeptanym przekleństwem na ustach, kurwa, co się tak pcha na innych, a potem przy znaku pokoju, jakby nigdy nic, całowali się po spoconych polikach (bo Papa raczej latem niż zimą do kraju przybywał), podawali sobie mokre, oślizgłe dłonie, przekazacie sobie znak pokoju, przecież to nie wielkiego, przecież to tylko zdjęcie Ojca Świętego, posunie się z tą kolaską trochę, mówili do Anieli, tak, z tą kolaską, irytowali się na inne matki z dziećmi zajmujące za dużo miejsca, nie musiała włączyć tu z dzieckiem, w telewizorze obejrzeć nie mogła, a? Mogła.

Aniela raz tylko poszła na spotkanie z Papą. I wyszła z niego zaraz po mszy rozpoczęciu. Z dzieckiem w wózku, pozostawiając klęczącego na trawie lotniska Totalnego, źle się czuję, bolą mnie jelita, wróć taksówką. Totalny nie zauważył Anielinego odejścia. Pograżony w modlitwie Bóg wie jak głębokiej - milczał.

I kiedy jeszcze później ten, który odchodził w przestrzeń ciemniejszą niż gardziel Kryski, ale też w przestrzeń jaśniejszą niż poranek rezurekcyjny, pewnie w tej przestrzeni od dawna mieszkała też Marta; więc kiedy przekraczał ostatni próg nadziei, by dotknąć Nadziei, Aniela z litościwą niepewnością oglądała w telewizorze wszystkich, którzy uczestniczyli w narodowych rekolekcjach ku czci i ku pamięci. Bo nagle wszyscy odzyskiwali pamięć, a wraz z nią tożsamość, i bez ponagłania wstawali i szli. My ludem Pana i Jego owcami.

I płakali.

I modlili się.

I rozpaczali.

I zapominali, że za jakiś czas znowu zgubią pamięć i stracą tożsamość, w astmatycznej zadyszce dnia codziennego, powszedniego, w półkatolicyzmie tradycyjnym, w półradykałnych postawach, w patosie papierowych obietnic ubieranych w papierowe słowa, po wypowiedzeniu których rzeczy i czyny wracały na swoje miejsce.

Odwieczne i grzeszne miejsce, kyrieielejson.

Aniela przyglądała się w dniach Agonii Totalnemu, który już nie był jej mężem, bo tak orzekł na wniosek Anieli sąd. Mimo wszystko Totalny przychodził do Marysi, bawił się z nią czasem albo zabierał ze sobą, pokazywał wszystkim znajomym - proszę państwa, oto miś, miś jest bardzo grzeczny dziś - pokazywał swoją piękną, dobrze ułożoną przez Anielę córkę, ten, który zjadł zdrowie Anieli jak Kryska historyjki donaldówek w dniu habemus papom, córkę, która kosztowała go trzysta złotych miesięcznie, bo już więcej to nie, bo już więcej to skandal i rozpusta.

Totalny przyszedł do niej wtedy, w czasie między Śmiercią a Pogrzebem Papy. Rozejrzał się po domu, przysiadł na skraju sofy, pogłaskał po włosach dziecko, które uciekło spod jego ręki do sąsiedniego pokoju, w świat stu jeden dalmatynczyków w sześciuset częściach.

- Powinniśmy się pojednać - powiedział. Wąskie usta zacisnął jeszcze mocniej. Jak mogłam całować mosiądz i wierzyć, że miłość jest jak śmierć potężna, a wody wielkie nie zdołają jej ugasić.

- Nie jesteśmy skłóceni - odrzekła Aniela.

- Nie przyjmujesz moich argumentów.

- Nie muszę. Mam własne.

- Proszę, abyś przemyślała to, co się teraz dzieje.

Te rekolekcje. Ten nastrój. Ten święty czas.

- Myślę o tym.

- Pomyśl też o dobru Marysi.

- Myślę o nim bardziej niż kiedykolwiek.

- Moja droga... Chciałem ci powiedzieć, żebyś nie była zaskoczona, skoro nie chcesz się pojednać, skoro upierasz się, to...

- Spierdalaj.

I pognała Totalnego. I nie dowiedziała się, że on właśnie stosowne papiery do sądu biskupiego złożył, wysoki sędzie, co pod natchnieniem Ducha Świętego działasz i sprawy rozważasz, informuję cię, sędzie wysoki jak wieża Babel i mocny jak góra Synaj, że pojąłem za żonę rozstrojoną emocjonalnie niewiastę, której nie można nastroić już od wielu lat, której nerwy jak popękane struny lutni w życiu moim nieporządek wprowadzają; która unisono śpiewać nie chce z innymi katolickimi niewiastami i krzyża swego małżeńskiego unika, ba! nawet nie krzyża, sędzie niezłomny jak prawda, co ją tu przedstawiam, krzyżyka, powiedziałbym, krzyżyczka; która niewierna była; która wprawdzie dziecko urodziła, ale szacunku dla ojca dziecka, czyli mnie, sędzie mądry jak Trzy w Jednym, nie nauczyła, a o wszystkim świadczą czyny jej nieczne i bezecne przedstawione w załączniku do pisma niniejszego, pisma prawie świętego, zamieszczone, sędzie sprawiedliwy jak ja, uwolnij mnie od wariatki!

Tego jednak Aniela od Totalnego nie dowiedziała się.

Kiedy wyszedł, wyłączyła telewizor. Włączyła go dopiero tydzień po Pogrzebie. Żeby uciec od szumu, hałasu, płaczu, słuchała muzyki, słuchała na okrągło Tous les matins du monde, ostatniego zwłaszcza utworu w zapamiętaniu słuchała, szesnastego, siedem minut i pięćdziesiąt trzy sekundy, Sonnerie de Ste Genevieve du Mont-de-Paris, siedem minut i pięćdziesiąt trzy sekundy żałoby zamkniętej w neurastenii skrzypiec i w depresji violi da gamba. Tam był ból i żal Anieli, ale nie nad tym, Który Odszedł, lecz nad nią, która została. I nad smrodem pozostawianym w życiu Anieli przez Totalnego.

Śmierdział bardziej niż zafajdana Kryska. Śmierdział fetorem takim, jaki wydzieliał się z Krysinego wiaderka, spod blaszanej pokrywki. Śmierdział hipokryzją, pod której - twardszą niż blacha wiaderka - świętą pokrywką jednakowo mieściły się modły pod ołtarzem, zawodzenia pod świętymi obrazami, całowanie uszmiokowanych stóp Ukrzyżowanego, z myślami biegającymi wokół wspólnego z panną przysznica, z panną, co przez Anielę pojawiła się w życiu Totalnego (choć nie ma pewności kiedy, czy jeszcze w czasie małżeństwa świętego, czy już po rozwodzie nieświętym, który rozpętał Anielę cywilnie, pęt kościelnych jednak nie rozerwał, na wieki wieków, amen, bo Bóg złączył, a człowiekowi wara od rozłączania). Były to myśli nieodgadnione dla katolickiej ferajny Totalnego, dla wszystkich, którzy przeniknąć go nie mogli, bo gdyby mogli, rzygaliby tak jak Aniela po każdym posiłku.

Wtedy też, w tym czasie Agonii, Pogrzebu, Żałoby, zaraz po rekolekcyjnej wizycie Totalnego, w czasie zupełnie zatrzymanym w codziennym biegu, w czasie kalekim jak twarz i plecy Krysi, Aniela pojechała do kuzynki. Do przechowalni pojechała, by z Kryską побыć. I opowiedzieć jej. Nienormalnej Krysce opowiedzieć o normalnych wydarzeniach, które zdeformowały Anieli życie.

I siedziały tak sobie zdeformowane obie.

Krysia na skraju posłanego łóżka siedziała, Krysia w wieku nieokreślonym, zupełnie innym niż ten w dokumentach, w ciele gdzieś między czterdziestym którymś a pięćdziesiątym



którymś rokiem życia, z intelektem kilkulatki, umyta, ostrzyżona, ale wciąż rozwartogęba, z powiekami półprzymkniętymi, przygarbiona, jakby ją Bóg, miłośnik Quasimodów, wyrzeźbił z gliny bez kategorii, bez klasyfikacji, z gliny słabej jak gleba bielkowa i ze śliny wypływanej niedbale przez lewe ramię, dłońmi bardziej zajętymi kręceniem loków na odwiecznej brodzie niż wygładzaniem Krysinych pleców czy modelowaniem jej ust, oczu i piersi. A kiedy skończył stwarzanie Krysi, tchnął w nią pół Ducha.

Aniela na skraj drewnianego krzesła siedziała, Aniela w wieku lat stu pięćdziesięciu sześciu, choć w dokumentach miała trzydzieści i trochę, córka ludzka, nie królewska, w dziurawych dżinsach i wypłowiałym podkoszulku, w polarze o kolorze przekwitłych wrzosów, w ciemnych skórzanych klapkach z zakrytymi nosami, w klapkach na grubej podszewie, Aniela, co pełne tchnienie Ducha otrzymała, ale tchnienie kaszlące, chrypiące, nieświeże, jakby Bóg zębów nie umył przed Anieli stwarzaniem i oddechem wymiętym ją obdarzył.

- Jak tam, ogonie? - zapytała Aniela Kryskę.

I przytuliła kuzynkę bez zamiaru zamykania na siłę jej gęby, bez zamiaru przytrząskiwania jej głowy leżącym na łóżku obok Pismem Świętym, bez zamiaru wysyłania do Boga reklamacji i próśb o naprawienie Krysi w trybie pilnym, bo przydałoby się, Boże, pogadać z kimś normalnym. A później opowiedziała Krysi wszystko. Jak na spowiedzi, jak na świętej rozmowie wylała swoje biedy i żale, grzechy i przewinienia.

A Krysia zaczęła gibać się, Krysia-w-przód, Krysia-w-tył, Krysia-bliżej, Krysia-dalej.

I Aniela zrozumiała, że Kryska zaraz powie. Po raz kolejny. I powiedziała: ręka Pana nie jest krótka, ocali cię, do Anieli powiedziała. A później zaczęła się śmiać i wznosić długie, tak długie jak Jezusowe, ręce ku górze, jakby chciała chwycić swoją zmarłą matkę.

Za tylne oczy.

A później zaczęło śmierdzieć. I Aniela zrozumiała, że Kryskę przewinąć musi, bo ręka Pana, choć długa i ocalająca, nie zajmowała się zasranymi pieluchami Kryski.

Wtedy jednak, w białą srode, w drodze do Białego Kościoła, Kryska nie śmierdziała.

Szła przed Anielą i przed ciotką Dorą, raz, dwa lewa, raz, dwa prawa, czyściutka, w świeżej pieluszce, w spódniczce do pół łydki, w bawełnianych rajtuzach i z torebką.

W kościele dwie panny chwalebne i błogosławione, jedna z zamkniętymi, druga z rozwartymi ustami, usadowiły się w pierwszej ławce, ksiądz Józef nerwowo dyrygował chórkami drugoklasistów, Aniela stała z boku, czekała na swoją kolej, na swoje: My ludem Pana i Jego owcami. Z opuszczoną głową czekała, z paznokciami schowanymi w rękawiczkach, w pseudoaksamitnych osłonach, które chroniły palce przed ogryzieniem ich do krwi, przed wygryzieniem skórek i paznokci do łożyska samego, do miazgi samej, stała Aniela, nie podnosząc do góry oczu, nie przyznając się wówczas do jakiegokolwiek powinowactwa z rozdziawioną gębą kuzynki.

My ludem Pana i Jego owcami - zaczęła Aniela.

Dalej było o tym, że Pan jest Bogiem i że On sam stworzył każdego, i że z jakiegoś powodu wszyscy są Jego własnością, Jego ludem, owcami Jego pastwiska.

I wtedy Kryska - Boża własność, Boży pustostan z połową mózgu, kawałek Jego ludu i pierwsza spośród ostatnich owiec, też zaczęła. Aniela usłyszała profetyczne mee i bee. Kryska kiwała się w przód i w tył, w tył i w przód, zdrową powiekę opuściła do poziomu chorej, tej półprzymkniętej albo półotwartej, kto to wie, i głaszcząc dłońmi twarz i piersi, poczęła prorokować. Gibała się w pierwszej ławce, w nawie głównej Białego Kościoła, ośliniona, z torebką rzuconą na marmurową podłogę.

Przeklnę cię, zmijo plemienna, mówi Pan, Bóg Twój, powiedziała. Nie - „plemię zmijowe”, ale właśnie „zmijo plemienna”, zawodziła, śpiewała, patrzyła przenikliwie na Anielę swoimi półoczami i wciąż, na okrągło: Przeklnę cię, zmijo plemienna, mówi Pan, Twój Bóg.

Ciotka Dora z kimś jeszcze, z jakimś szerokoplecym Cyrenejczykiem, wyprowadziła Kryskę z kościoła.

Aniela nie skończyła śpiewać psalmu. Przez zakrystię wybiegła ze świątyni, zostawiając chór drugoklasistów i księdza Józefa z rozdziawionymi ustami, który Alleluja sam musiał zaśpiewać. Na skrzypiących zawiasach swoich bioder pocwalała do domu, rozmazując białą rękawiczką łzy i smarki na twarzy.

A w domu padła krzyżem pod krzyżem, bo widziała, że Marta czasem tak się modli, ale tylko wtedy, kiedy matka i ojciec nie widzą, więc padła krzyżem pod krzyżem i zrozpaczona wyjęczała, Boże, co za wstyd, przecież ta durna Pola, ta dziwka niemyta, jutro mnie zniszczy.

Oprócz ciotki Dory cierpliwość do Kryski miała tylko Marta. Przychodziła na róg Promiennej i Asnyka i kiedy mogła, z Kryską siedziała, wełną się z nią bawiła, książki jej czytała. Aniela mówiła, jesteś taka jak durna Kryska, jesteś nienormalna, upośledzona jak ona; śmieją się z ciebie, kiedy ciagniesz ją na spacer przez nasze podwórko; nie możesz chodzić inną drogą? Marta, znajdź sobie inną trasę na z Krysią chodzenie.

Marta nie dbała o to, co mówią o niej inni. Nie była także podobna do Kryski. Nie była taka jak stuknięta Kryska.

Była podobna do matki. Jasnowłosa i jasnooka, gromadziła w sobie cechy, które sprawiały, że wszyscy mówili o niej: dobre dziecko. Dobre dziecko było kilka lat starsze od Anieli i - w przeciwieństwie do innych starszych rodzeństw - nie charakteryzowało się tym szczególnym rodzajem wyższości, z jaką starsi w hierarchii rodzeństwa traktują młodszych i głępszych. Bo Aniela czuła się głupsza.

Kiedy szwendała się w tę i nazad po początkowych klasach podstawówki, Marta była już w liceum.

Czytała grube książki w szarych okładkach, regularnie przystępowała do sakramentów, po pokutę i pojednanie szła do Białego Kościoła co dwa tygodnie, do komunii na każdej mszy świętej. Potem tłumaczyła cierpliwie siostrze, że tylko spowiedź i połknięcie na czczo ciała Jezusa otwierają drzwi do nieba. Na oścież. Nie drzwi, wrota raczej.

- Te drzwi, nie, wrota raczej, to duże są? - zapytała kiedyś Aniela.

- Pewnie. Przecież niebo jest wielkie, a w Królestwie Bożym jest wiele mieszkań.

Wszyscy się zmieszczą - odpowiedziała Marta z uśmiechem.

- To jakiś wieżowiec chyba to niebo jest, co? Ktoś pilnuje tych drzwi? Czy wrót? - Aniela dłubała w nosie i przyglądała się wydłubczynom.

- Aniołowie. Dwaj aniołowie. Nie dłub w nosie.

- A co? To grzech? Nie wierzę w tych twoich aniołów. W dodatku tylko dwóch!

Widziałas, co dzieje się przy dworcu? Milicjanci chodzą po trzech. I zomowcy też. I po Wielkiej Kładce. I pod Kładką. I po pociągach. I w ogóle wszędzie. Po trzech. Raz, dwa, trzy. Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Kapujesz?

Jest ten... stan wojenny. A tu tylko dwóch aniołów?

Na całe niebo? Nie wierzę.

Zimą na początku lat osiemdziesiątych Pola i Aniela omijały Wielką Kładkę. Obie bały się stanu wojennego, obie bały się pluć na pociągi, obie jeździły do kościoła autobusem numer cztery, wysiąść na piątym przystanku, obie szybko wracały do domu, przemykając obok umundurowanych trójc nieświętych, czytelnych znaków tego, że na początku było słowo, które sprawiło, że ferie zimowe zaczęły się już trzynastego grudnia i trwały dłużej niż trzeba; a później stała się światłość, która w ciemnościach lodówki świeciła, na dobre tam zamieszkała, słabą żarówką oświetlała zimne pustki, wypełniane czasem mortadelą i musztardą; a słowa i światłości niektórzy swoi przyjąć nie chcieli, dlatego ich internowano.

Matki nie internowano.

Ojca nie internowano.

Było zimno i biednie.

Potem zrobiło się ciepło, ale ani trochę mniej biednie.

Dwa razy do roku mortadelę w lodówce detronizowała połowa świniaka kupowanego na wsi. Po cichu kupowana. Ojciec wyjeżdżał po trupa wieprza późnym wieczorem. Wykładał

bagażnik folią i starym kocem, którym owijał truchło.

W drodze powrotnej, w drodze ze wsi do miasta, bo z miasta na wieś raczej nie, matka odmawiała po cichu różaniec, zdrowaśmariołaskiśpełnapanastobom, żeby nas patrol jakiś zapyziały nie złapał, święntamariomatko boża, żeby nas nie zatrzymali, bo konfiskata świńskiego mienia na pewno nastąpi, a może i internowanie, cholera wie co, chwała ojcu synowi, to wstyd wylądować w więzieniu jakimś, z bandytami, z politycznie szemranymi typami, z powodu świniaka, wstydu nam, barankubozycyktożygładzisz, oszczędź.

Później, najczęściej tej samej nocy, szybko, żeby trupi jad nie rozlał się po połowie łopatek, karczków, boczków, szynek, matka z ojcem, najczęściej w ciszy, bez słów, bez rozmów nie dokończonych, zaczęli mieć mięso. Jak ono pachniało! Pachniało ciemną krwią, obietnicą świeżynki z cebulką, obietnicą kielbasy, prawdziwej palcówki (Aniela wołała myśleć, że mięso do flaków wpycha jednak matka sterylnym palcem swoim, a nie ojciec), obietnicą wędzonych w starych pończochach szynek, wędzonych nad gałęziami jałowca, w becze, w ogrodzie mieszkającego niedaleko Gruntowej sąsiada. Bóg wiedział, co robi, wywalając na głowy Izraelitów manę. Musiał ten cud powtarzać pewnie co jakiś czas, bo przecież nikt normalny nie włóczyłby się po pustyni kilkadziesiąt lat bez wyraźnej motywacji. Manna była zapowiedzią ziemi obiecanej. Kielbasa była zapowiedzią wyżerki obiecanej. Kiedy już lodówka i zamrażarka były pełne, na długo pełne, matka mogła wymienić kartki mięsne na kartki z innymi dobrami. Z mąką. Z cukrem. Z kaszą manną. Bo w stanie wojennym Bóg nikomu nie sypał jej na głowę.

Albo buty. Totalny nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Aniela ciągle kupuje buty. Kolejną parę i następną, i wciąż następną. W domu Anieline buty już nie mieściły się w szafach, szafkach, szafeczkach. Bo buty w czasie stanu wojennego nie były na kartki, butów w ogóle nie było. I to wtedy, kiedy Aniela tak bardzo ich potrzebowała. Nosiała, donaszała jakieś trepy po Marcie, brzydkie, sznurowane chodaki, im brzydsze, tym lepsze - Marta kupowała okropne buty, ponieważ umartwiała się, mówiła, że Jezusowi nie podoba się Marta w ładnych sandałkach, w eleganckich pantofelkach, w wysokich kozaczkach, bo Jezus żąda od niej skromności i ofiary całopalnej z ładnego wyglądu. Marta, piękna Marta, dobra Marta, jesteś durniejsza od Kryski, mówiła czasem Aniela.

Totalny nie wiedział, że pewnej jesieni, pewnej cieplej jesieni na początku lat osiemdziesiątych, matka kazała założyć Anieli po raz kolejny rozchodzone buty Marty, skórzane juniorki, kiedyś brązowe, teraz obdarte, z puszącymi się nieznośnie nowymi czarnymi sznurówkami. Wtedy Aniela odmówiła, kategorycznie odmówiła, zdecydowanie i bez krzyku, a później zrobiła manifestację i do szkoły, do starej szkoły przy ulicy Promiennej, poszła w domowych kapciach matki na obcasie, w znacznie bardziej eleganckich niż człapy po Marcie, w żółtych kapciach, które sama kupiła matce w szkole właśnie, bo przywieźli takie kapcie i z jakiegoś powodu postanowili sprzedawać je uczniom. Wszystkie kapcie w tym samym rozmiarze trzydzieści sześć, wszystkie kapcie żółte jak cytryny, których nikt od dawna nie smakował, i wysokie jak poziom wkurwienia matki wrzeszczącej na młodszą córkę. Aniela chodziła w tych kapciach do szkoły tak długo, dopóki nie zaczęły się deszcze. Nikomu się nie tłumaczyła, nikomu niczego nie wyjaśniała.

Z wysokości niewygodnych obcasów zlekceważyła niekłamana troskę Poli, oszalałaś, dziwko? Wszyscy śmieją się z ciebie, wytykają palcami, pani pedagog już wie i na pewno na rozmowę cię weźmie, idiotko, szeptała po cichu Pola, ale tak, żeby jej nikt z Anielą nie widział. Aniela zaś odszeptała, będę nosić kapcie matki, dopóki mi nowych butów nie kupi. Matka butów nie kupiła. Aniela zimą chodziła w kozakach po Marcie.

Totalny nie wiedział, że kolejne nowe buty nie są w stanie zatrzeć tamtego wspomnienia.

Zresztą - co on wiedział?

Nic nie wiedział.

Nie wiedział na przykład, że tuż przed ślubem z nim do Anieli przybieżał ojciec Totalnego. Aniela nie sądziła, że Mieczyk, pan Mieczyk, właśnie do niej przyszedł, że z nią

rozmawiać chciał, a nie z matką Anieli. Bo Aniela wiedziała, że rodzice jej bliższych i dalszych koleżanek oraz kolegów lubią znajomość z Aniela. Łatwiej było lekojadom, powołując się na z Aniela koleżeństwo, dotrzeć do jej matki po receptę poza kolejnością wypisaną, po środki od bólu pierwszorzędne, rozluźniające mięśnie, napięcia mięśniowe, dolegliwości głowy, jelit, trzustki, serca. I innych organów. Nikt nie chciał cierpieć, na krzyżu wisieć, ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił, więc do matki szur, szur, pani doktor, moja córka chodziła z pani córką do podstawówki, nie, nie do tej samej klasy, właściwie była dwa lata starsza, ale na podwórku szkolnym razem w klasy grały, ach, no tak, mefacit, potrzebuję mefacit. I matka wypisywała.

Aniela była już po zaręczynach z Totalnym, po obiedzie zaręczynowym, na którym matka Totalnego, a żona Mieczyka, męża swego poślubionego w pochwie gadulstwa zamknęła i nie dopuściła go do głosu, nikogo do głosu, nawet syna swego drugorodnego, Totalnego swego, co go po Tadeuszu pierworodnym porodziła, do głosu nie dopuściła.

Kiedy pan Mieczyk przypętał się w progi Anieline, Aniela była także po rozmowie z Połą.

- Może on jest taki, jak mówisz, ten twój Totalny, może on piękny i dobry, może wierzący i obdarzony darami, może ci się oświadczył i nawet pierścionek kupił, ale ja mu, Aniela, nie ufam, nie ufam - powiedziała Pola i pogłaskała się po brzuchu, pełnym trzeciego syna, Łukasza. Aniela właśnie objawiła jej plany zamążpójściowe: ślub jest za trzy miesiące.

Pola dodała jeszcze:

- Za długo ich wszystkich znam, tych z wysoko podniesionymi rękami. Jak wysoko ręce podnoszą, tak wysoko głowę noszą. A Totalnego znam i pamiętam z rekolekcji, na które z Jerzykiem jeździliśmy.

Kilka razy. Później przestaliśmy. Z jego powodu. Jerzy nie mógł patrzeć na tego twojego...Totalnego...

Aniela wzruszyła ramionami.

- I co z tego? - zapytała.

I wtedy Pola, jak to Pola, wprost, bez owijania słów w bawełniane onuce, znieczulające ich znaczenie, wyjaśniła:

- Ślinotok waginalny.

- Co ty pieprzysz, Pola?

- One wszystkie dostają ślinotoku waginalnego.

Te wszystkie niedodymane, wspólnotowe charyzmatyczki, które zaczynają dzień od jutrzni, a kończą na modlitwie wieczornej z liturgii godzin, w ręce Pana powierzają ducha swego, a chwilę po zamknięciu brewiarza ciało swoje chciałyby powierzyć dłoniom Totalnego. Ma piękne dłonie.

- Wiem.

- One też to wiedzą, te wszystkie rozmarzone i rozmazane tęsknotami za legalnym rżnięciem panny, które dostają na jego widok ślinotoku waginalnego, też to wiedzą. Widziałam. Łażą za nim, w spoconych pragnieniach majtkach, wpatrują się w niego, w jego oczy, w jego usta, i uwierz mi, wcale nie czekają na to, co powie przez Totalnego Pan. A na co czekają? Na „zostań moją żoną” czekają.

- Mam nadzieję, że on jest uczciwy.

- Nadzieję? Od kiedy wierzysz w uczciwość ślinotokogeneratorów waginalnych?

-Co?

- Gównno. Nie pamiętasz, co robił twój...? A zresztą, co mnie to obchodzi. Możesz za niego wyjść. Proszę bardzo. Możesz wyjść za Totalnego, za egotyka zapatrzonego w swoje autodemonstracyjne występy chwalcące Ducha Świętego, występy pełne tchnienia nie Ducha, a tego durnia - twojego przyszłego męża.

Tylko czym?

- Co czym?

- Czym on cię tak ujął, zauroczył?

- Nie wiem. Chyba niczym.

- A może tym, że siedział rok w nowicjacie. Tym, że przez rok był blisko tego życia, które zabrało ci na kilka lat siostrę. To pokuta? A może zemsta? Na kim, Aniela, na kim? Na sobie? Na Marcie? Na Bogu?

- Chyba nie.

- Kochasz go?

- Nie wiem. Jestem z nim w ciąży. To chyba dobry powód, żeby wyjść za mąż?

- Kurwa! Dopiero teraz mi mówisz?

- A kiedy miałam powiedzieć?

- Ty też dostałaś ślinotoku, Aniela?

- Tak. Ale nie waginalnego. Miłosierdzie moje zaśliniło się.

- Miłosierdzie? Co ty gadasz?

- Nieważne.

- Ważne! Ważne, bo będziesz mieć charyzmatyczny survival w domu. Aniela, obudź się, otrząśnij się, wróć do siebie, znajdź w sobie tę twardą dziwkę, którą pamiętam. Nie musisz wychodzić za mąż.

- Chcę, żeby dziecko miało ojca. Poza tym nie ma żadnego powodu, żebym użerała się z bachorem Totalnego sama. Dobrze wiesz, że nie chciałam mieć dzieci. A jeśli muszę je mieć, bo Bóg nieoczekiwanie obdarzył mnie darem płodności, to pamiętaj - nie tylko ja ten dar otrzymałam. Totalny również.

- Odpierdoliło ci, Aniela.

Aniela znowu wzruszyła ramionami.

- Nie chce mi się z tobą gadać - powiedziała cicho do Poli. Obgryzała paznokiec przy kciuku lewej dłoni. Do krwi.

- Zostaw - odezwała się Pola. - Jak chcesz, ogryź to - podsunęła Anieli szyjkę z kurczaka, wyłowioną chwilę wcześniej z rosołu.

Aniela poczuła odruch wymiotny. Opanowała się.

A później przyszedł do domu Jerzyk. I wtedy synowie Poli, Mateusz (starszy) i Marek (młodszy), rzucili się na niego, na kolana, na ręce, i brodę przystrzyżoną szarpali, w zakolach łysiny macili spokojny nurt myśli Jerzyka. Pola przysiadła z trudem na kuchennym taborecie i pogłaskała duży, falujący brzuch, bo od podszewki kopał ją Łukasz, który też chciał do taty na ręce, ale musiał poczekać jeszcze dwa miesiące. A może dwa i pół.

- Wszystko można, co nie można, byle z cicha i z ostrożna. To życiowa idea takich jak Totalny. Jezus jest jego Panem, o tyle, o ile może udowodnić pańskość twojego narzeczonego - powiedziała jeszcze Pola, żegnając Anielę w drzwiach.

- Ślub jest za trzy miesiące. Mam nadzieję, że uwiniesz się z porodem - powtórzyła Aniela frazę, którą rozmowę z Połą rozpoczęła.

Pola zatrasnęła drzwi.

Aniela zatrasnęła w sobie Połę.

Kilka dni później, kiedy w pewien pusty narzeczeński wieczór czytała Pieśń Salomonową, czytała w samotności, albowiem Anieliny Salomon-Totalny rozwiązywał wewnętrzne problemy wspólnoty i nie mógł być przy narzeczonej, zadzwonił dzwonek.

Aniela otworzyła drzwi, cholera, kto i czego chce.

Daleko za dźwiękiem dzwonka, a tuż przed progiem stał pan Mieczyk.

Gość w dom, Bóg nie wiadomo gdzie.

- Pan pewnie do matki po receptę - przywitała Aniela pana Mieczyka bezceremonialnie, bo szybko chciała wrócić w świat powieści. - Będzie dopiero jutro rano.

- Do ciebie. Nie do matki.

- Do mnie? - zdziwiła się Aniela. - Proszę wejść. Zamknę okno w pokoju. Pada coraz mocniej - powiedziała. I pomyślała, zamykając uchylony lufcik, że zatrzymałaby się przy otwartym oknie na zawsze, zastygłaby w retardacji bez końca, która opóźniłaby akcję i konflikt o kolejne dwa wieki. Wszystko, byle nie rozmawiać z Mieczykiem.

- Coś nie w porządku? - pan Mieczyk wlaź do pokoju Anieli.

Aniela odkleiła czoło od szyby.

- Napije się pan herbaty?

Szły diabły przez piekło, o holender, jak tu ciepło, wszystkie diabły wyzdychały, został tylko jeden mały, a ten mały, co pozostał, ten cebulą w mordę dostał, szły diabły przez... Koniec wyliczanki, rozmowa bez cacanki, cukier w filiżanki. Aniela wzięła tacę z herbatą, siebie z tacą wzięła w garść i przed panem Mieczykiem wreszcie stanęła.

- Możesz usiąść?

- Już siedzę.

- Nie wiem, jak zacząć.

- Po prostu.

- Chcesz za niego wyjść?

- Owszem.

- Dlaczego?

- Jest pan kolejną osobą, która zadaje mi to pytanie. Syn panu nie powiedział?

- Nie. Jakiej odpowiedzi na tak banalne pytanie udzielasz?

- Wzruszam ramionami. Panie Mietku, czego pan chce?

- Jesteś inna.

- Inna niż kto?

- Niż reszta. On spotykał się z innymi dziewczynami.

- Jakimi?

- Długie spódnice, długie rozmyślania nad Biblią, długie włosy, długie wywody metafizyczne.

Aniela pomyślała, że pan Mieczyk ma ładne buty.

Z bordowej, gładkiej, błyszczącej skóry, nakrapiane błotem i wieczornym deszczem.

- Ma pan ładne buty.

- One wszystkie były z kręgów.

- Skórzane.

- Okołokościelnych.

- Na ładnym obcasie.

- Ty jesteś dalej.

- Jak pan sądzi, w dobrych butach można zbliżyć się do okołokościelnych kręgów?

- Jeszcze lepszych będziesz potrzebowała, żeby się od nich oddalić.

- A pan?

- Jestem bosy.

- Jestem samotna.

- Dziecko...

- Nie jestem jeszcze pana synową.

- Lepiej, żebyś nie była.

- Dlaczego?

- Bo kiedy będzie po wszystkim, twoich ran nie wylizają nawet języki Ducha Świętego.

- Po co pan tu przyszedł?

- Nie wiem. Lubię cię. Żal mi ciebie.

- Herbata stygnie.

- Trochę - powiedział i oblizał brzeg filiżanki.

Bo więcej nie mógł powiedzieć.

Bo gdyby mógł, powiedziałby, uciekaj, dziecko, od syna mojego drugorodnego dalej niż Tadeusz. Bo Tadeusz, choć nie wyjechał na koniec świata, był dostatecznie daleko, by leczyć swoją pamięć zesmaconą. Do Norwegii wybył i tam, gdzieś za Narwikiem, ożenił się z luteranką, tam innowierną poślubił na sposób reformowany, niekatolicki, i ja mu się nie dziwię, dziecko, powiedziałyby pan Mieczyk, gdyby mógł obnażyć się werbalnie.

Powiedziałyby też, że Tadeusz uszedł przed matką swoją Barbarą i przed bratem swoim

Totalnym, przed nieustannym jego truciem, że grzeszne i brudne są Tadeusza czyny, skoro spotyka się z rozwódką, cudzołoży z żoną bliźniego swego, i zupełnie nie słucha oniemiałego katolickiego sumienia swego. Syn wyrodny, syn odrodny, jęczała z kolei matka Barbara, co ja wspólnocie powiem, jak ja się przed wszystkimi pokażę, jakie świadectwo złożę sioström w Duchu Świętym, Tadzio, łotrze, nawróć się, zawodziła, bo imię dobre rodziny kalasz, w gniazdo swoje plujesz.

Patrz, synuś, zwracała się do Totalnego, patrz i przykładu nie bierz z tego rozpustnika bezkarnego, żeby mu Matka Boska rozum wróciła, synuś, na kolana, modlić się będziemy o nawrócenie jednego i drugiego. Drugiego, mamó? Tak, ojca twego, synuś, pijaka tego, Paniencie Jasnogórskiej powierzać też będziemy, tylko niech najpierw wypłatę zostawi, wszystkie pieniądze, buch, schowamy tutaj, w tej drewnianej babie jodze, co na jednej stoi nodze!

Tadzio - mimo napomnień matki, mimo jej modlitw zjednoczonych z modlitwami brata - pozostawał kaleką, inwalidą bez grupy, bez renty, poza wszelką klasyfikacją. Głuchy, kiedy matka zrzędziła, ślepy, kiedy Totalny klękał i modlił się o jego nawrócenie, niemy, kiedy i matka, i Totalny czekali na postanowienie poprawy z jego strony. I pewnie wciąż spotykałby się z rozwódką, gdyby rozwódka nie doniosła, że postanowiła zostać znowu żoną. Ale nie Tadeusza. Tadeusz porzucił kobietę.

Powiedziałby też pan Mieczyk, gdyby mógł, że syn starszy był od urodzenia gorszy i marnotrawniejszy niż Totalny, gorzej od niego mówił, dłużej sikał w majtki, wagarował już w przedszkolu. Matce zmarnotrawił mnóstwo cennego czasu, który mogła poświęcić młodszemu synowi, czasu, kiedy po szpitalach ciągać się z Tadzim musiała z jego wiecznie chorymi uszami. Gdy miał sześć lat, zachorował na zapalenie opon mózgowych. Matka odmówiła opieki nad Tadzim. Dwa tygodnie wcześniej bawiła się z jego chorymi płucami. Niech się dzieje wola Boża, szepnęła i wzięła Totalnego na ręce. Poszła z młodszym do kościoła pomodlić się o zdrowie Tadzia.

Mietek zawiózł przerażonego dzieciaka na oddział zakaźny, badania, płyn z żył, płyn z kręgosłupa, dobra, mały, powiedział gruby, wąsaty lekarz, chłopaki nie płaczą. I wsadził Tadziovi w usta jego małą pięść, gryź, ale się nie drzyj, dodał.

Darł się strasznie, darł się wniebogłosy, później, kiedy po punkcji wylądował na wielkiej sali z piątką innych, obszczanych dzieciaków z zapalonymi mózganmi. Tadzio darł się dzień i noc. Uciekał z łóżka, z oddziału, ze szpitala. Do mamy. Pielęgniarki przywiązały wreszcie jego ręce do kratki łóżka bandażem elastycznym, a gdyby mogły, zabandażowałyby mu również usta, ale nie mogły. Dlatego dostawał czopek luminalu w tyłek i z przetrzepanym chorobą, lekarstwami i samotnością mózgiem spał. Nigdy więcej nie krzyczał tak dużo i nie spał tak wiele. Nie zapamiętał swoich snów. Na Mieczyka, który czasem go odwiedzał, nie patrzył. Nie spoglądał w parterowe okno pełne ojca. Bo sala Tadzia znajdowała się na parterze.

Czasem jednak ukradkiem zerkał na tatę, co u okna czekał na zmiłowanie Tadzia. Widział, że Mietek krzyczał coś do niego przez szybę, że stukał w nią, że gestykułował. Tadzio bawił się w dubbing. Wtedy nieme usta Mieczyka zaczynały mówić głosem Tadzia, twój brat wpadł pod ciężarówkę, cierpiał długo, bolało go bardzo, umarł wczoraj, matka czeka na ciebie w domu, zrobiła ci sweter na drutach. I jabłecznik.

Okno pełne ojca śniło mu się od tej pory zawsze, kiedy miał zachorować.

I jeszcze Mieczyk, gdyby mógł, powiedziałby, strzeż się Totalnego, bo inni przez niego cierpią.

Tak jak Tadzio, który w szkole bił i kopał, uczył się tak sobie, czwartą klasę powtarzał, więc w kolejnej, nadprogramowej, wylądował z młodszym bratem.

W pokoju nauczycielskim zaczęły się szумы, szmery, szepty, ten młodszы taki zdolny, miły i ułożony, a ten starszy, słów brakuje, co to będzie, co to będzie, martwiła się polonistka, ale jej zazwyczaj słów brakowało, bo kto nie osiągnął języka biedy ni razu, ten do ludzi niech nie gada, lecz do obrazu. I dziwili się inni już bez шумów, szmerów i szeptów, przy

wszystkich, przy całej klasie nauczyciele mówili, że bracia, a tacy inni, jeden lepszy (Totalny uśmiechał się), drugi gorszy (Tadzio pamiętał - chłopaki nie płaczą).

Totalny w drodze powrotnej ze szkoły czasem doganiał swojego brata, który nigdy na niego nie czekał, żeby nie patrzeć na jego starannie wiązane sznurówki, na jego kurtkę zapinaną pod samą szyję, na jego czapkę naciągniętą na zdrowe uszy i dobrze napompowane opony mózgowie, ani na jego wykrochmaloną chusteczkę mieszkającą w lewej kieszeni nylonowego fartucha też nie czekał i szedł sam, przodem. Wtedy czasem go Totalny doganiał, pytał, kto jest lepszy, Tadeuszu-Pizdeuszu?

Nikt tego nie widział, nikt nie słyszał. Nawet Bóg.

Akurat czyścił sobie uszy z pszczelego wosku, z którego ugniatał przyszłość ludzi.

Kiedy młodszy zadał to pytanie po raz trzeci albo czwarty, Tadek wybił Totalnemu zęba. Przedniego. Korzeń ocalał. Matka sprząła Tadka. Ojciec upił się. Totalny dostał od stomatologa połówkę (a może trzy czwarte) nowej górnej jedyńki. Ciemniejszej niż reszta białego uzębienia. A później stał się nietykalny. Z powodu tramwajowego cudu. I Tadek - choć chciał - nigdy więcej nie sprzął brata.

Po podstawówce każdy poszedł swoją drogą.

Tadek skończył technikum mechaniczne, Totalny klasę matematyczną w najlepszym liceum w mieście. Tadek w czasie wakacji sam uciekał w Tatry, nie chcę, tato, pieniędzy, zarobię sam, będę pieliał w ogrodach, trawę kosił będę, sam zadbam o wyjazd, Totalny dostawał pieniądze na oazę w górach, na formację w Krościenku, na rekolekcje dla animatorów, tak, mam, oczywiście, że podpiszę krucjatę wyzwolenia człowieka, nie będę pił. Całe życie? Całe życie.

I już tak zostało. Tadzio zawsze źle czyniący, Totalny zawsze cud chodzący, więc chodź, synuś, mówiła czasem Barbara do Totalnego, wyjdźmy już z domu a pójdźmy, Tadzia, tego głąba, tego nieuka, tego chłystka, co na wagary chodzi, co papierosy pali, co prześcieradeł zaplamionych przede mną nie ukrywa, z tatusiem pijakiem (tu Mieczyk wysoko brwi unosił), do którego jest podobny (a tu jeszcze wyżej), zostawimy, a my na katechezę dla ministrantów udamy się, na nauczanie dla chłopców ołtarzowych, synuś, matka Barbara do młodszego mówiła. Bo Tadzia ze spotkań dla ministrantów wyrzucili już po drugim spotkaniu, zaraz po tym, kiedy zapytał, dlaczego ksiądz na mszy do kielicha z winem wody dolewa. Ksiądz zamilkł, a Tadzio myśl dopowiedział, że skoro dolewa, to chyba wino nie w Krew, ale w półkrew zamienia. Krew w krewkim księdzu zawrzała i zanim się zwarzyła, Tadzia wśród ministrantów już nie było.

Bo gdyby mógł, pan Mieczyk powiedziałby również, że Tadeusz tuż po wstąpieniu Totalnego do nowicjatu wyjechał, patrzeć na ten spektakl nie będę, wynoszę się stąd, rzekł cicho do ojca w sierpniowy, duszny jak perfumy rozwódki wieczór, jeszcze ciepły choć po świętej Annie już było. Siedzieli na działce, na której trzy lata wcześniej zbudowali razem altankę, Arkadię Mieczyka, krainę szczęśliwą. Przybywał do niej Mieczyk na tratwie z kilku butelek piwa, na tratwie bez masztu, bez ożaglowania, aby w ciepłe dni schłodzić się piwem, a w chłodne - ogrzać.

Mieczyk spojrział na Tadka. Nie wyjeżdżaj, powiedział, zostań. Cicho, ciszej niż brzęczenie komara nad jego lewym uchem, nad zdeformowaną, elfią małżowiną, dodał, studia skończ, mechanikę swoją skończ.

Nie chcę, Tadek odrzekł, a wtedy Mieczyk słowem o krótkiej rękowości uciał, jedź. I powiedział jeszcze Tadeuszowi, Jak To Było Naprawdę. Dopiero wtedy.

Dwa tygodnie później Tadzio, jedenaście miesięcy starszy od brata, uciekł na północ, której chłód nie był tak chłodny jak popękane, spracowane, żeliwne dłonie zmory Barbary. Z nikim nie pożegnał się, wyjechał cicho, kilka dni przed oblóczynami Totalnego.

Spakował swój plecak, kilka książek, kilka fotografii i odszedł.

Bez słowa.

Bez kartki na stole.

Bez listu z podróży.



Bez pocztówki z przystanku w podróży.

Zmora Barbara wzruszyła ramionami, złego licha nie weźmie, a jak weźmie, to wcale nie znaczy, że był dobry.

I powiedziałby pan Mieczyk jeszcze, uważaj, Aniela, bo do takiego ideału, jakim jest Totalny, nigdy nie dorosisz, nigdy mu nie dorównasz, nigdy go nie zaspokoisz, zawsze będziesz byle jaką, świętą od bylejakości zostaniesz, od tymczasowości, od powszedniości, i chlać będziesz jak ja albo oszalejesz, jeśli chlać się szybko nie nauczysz, bo syna mego drugorodnego żona moja Barbara do celów wyższych narodziła, anioł pasterzom mówił, ale mnie nie powiedział, że znaczył mniej będę niż bydłatka przy Panajezusowym żłobie, marsz do łózka, pijany żłobie, tyle tylko dostałem od żony mojej, od Barbary, zmory, mary, niech ją piekło pochłonie.

I powiedziałby pan Mieczyk jeszcze, gdyby mógł powiedzieć, że ileż to razy do Tadeusza wybierał się, by z luteranką zgrzeszyć, by reformowanym szlakiem Tadeusza ruszyć, szlakiem przez niego utartym, i ślub po porzuceniu zmory Barbary w luterzańskim kościele wziąć z gorącą jak zorza, z talią jak fiordy, z cerą jak wiatr Północy, z innowierną ślub wziąć.

Takie miał Mieczyk marzenie.

I dodałby na zakończenie, przesrane będziesz mieć, dziecko, jako i ja mam przesrane już prawie czterdzieści lat sakramentalnego życia mego.

- On jest dla ciebie za stary - powiedział tylko pan Mieczyk.

- Jest w wieku mojej siostry. Trochę starszy. Ładne buty - powtórzyła raz jeszcze Aniela.

- Od Tadeusza. Z paczki. Pójdę już.

I poszedł.

A Aniela wróciła do Pieśni Salomonowej.

Narzuciła na siebie jeszcze sweter po Marcie. Ten sam, który Marta nosiła, kiedy było zimno i biednie.

Totalnemu nigdy nie powiedziała o tej rozmowie.

A zimno i biednie było wtedy, kiedy Aniela do szkoły w kapciach matki na szagę chodziła. Wiele lat temu.

- Przestań już - powiedziała Marta. - Zdejmij te czoboty i włóż normalne buty. Do nieba w kaczeńcach na obcasie nie dojdiesz.

- Nie ma nieba.

- Jest. Otoczone pięknym żywopłotem. Zielonym. A może niebieskim. Nie wiem.

- A co z dziurami w płocie, murze, czy co tam otacza niebo? - pytała dalej Aniela.

- Nie ma dziur.

- Zawsze są jakieś dziury. Jak nie ma dziur w płocie, nie dostanę się tam.

- Zapukamy razem. Chcesz?

- Nie wiem. Po co komu niebo?

- Kiedyś sama się przekonasz.

Marta uśmiechała się i wtykała nos z powrotem w swoje książki. W swoje ewangeliarze. W swoje czytania na każdy dzień, niedziele i święta. I na każdą okoliczność. I na własną oraz nie własną śmierć, kyrjeelejson.

Aniela zapamiętywała siostrę. Od tamtych chwil, w których kadrowała ją nieważnie i niezobowiązująco oczami, kadrowała trochę lepiej niż zorka pięć, wierzyła w przeczucia uprzedzające przyszłe wydarzenia, piętnujące świadomość nieokreślonym lękiem i trochę bardziej określonym, ale nie wypowiedzianym na głos strachem.

Aniela bała się.

Dlatego... zapamiętywała szczupłe palce Marty, ślinione przez nią przed przewróceniem kolejnej karty, skarbnico mądrości, módl się za nami.....zapamiętywała jej lekko zaokrąglone plecy i wystające łopatki, wtedy kiedy w skupieniu pochylała się nad biurkiem, przybytku wiedzy, módl się za nami.....zapamiętywała sposób, w jaki przygryzała

ołówki-podkreślacz ważnych zdań, słowa wcielone, módlcie się za nami.....zapamiętywała jej długie, falujące włosy, splatane najczęściej w dwa proste warkocze, podzielone równym przedziałkiem, zwierciadło skromności, módl się za nami.....zapamiętywała spokój i równowagę Marty, których tak bardzo brakowało jej, Anieli, w rozgrywkach z Totalnym, baranku nieboży, nie módl się za nami...

Kiedy Aniela wreszcie zaczęła swoje dorosłe porachunki z życiem, doprowadzające ją do utraty sił i rozumu, zawsze kazała pamięci wkładać mocne okulary i robić w tył zwrot; kazała jej spoglądać na czytającą Martę; kazała jej nasycać się spokojem, który starsza siostra zabrała ze sobą do swojego nieba-wieżowca, z murem bez dziur.

Marta była dobra. Duchowy sanepid Anieli. Tępiła szczepionkami dobroci, miłości i cierpliwości oznaki wszelkich antykatolickich infekcji. Ona wybiłaby Mieczykowi luterzańskie ciągoty z głowy.

Aniela nie wiedziała, skąd Marta miała w sobie tyle ciepła. W domu nikt nie ogrzewał ich czułością i zrozumieniem. Miłością.

Aniela nie była dobra dla Marty. Podczas niedzielnych pieszych ekskursji do kościoła (samotnych, bo matka często brała w święta dyżury w szpitalu, a zmęczony ojciec, kiedy matki nie było w domu, wolał zostawać przed telewizorem) uciekała Marcie i biegła koślavo na kościelne wzgórze drogą przez mężczyznę, z nadzieją, że spotka Czarnego Mariana. Po pierwszej - i na długo ostatniej - spowiedzi świętej Marian zniknął, a Aniela nie mogła pozbyć się poczucia winy, że to przez nią Mariana nie ma, że to przez nią Marian ma kłopoty z rozładowaniem napięcia (tak kiedyś powiedział: rozładuję teraz napięcie, a ty tylko patrz), że to przez nią skończyły się przedstawienia lepsze niż te w miejscowym teatrze lalek. Aniela to sprawdziła - żadna z kukiełek nie dorównywała sprawności milczącego aktora z Teatru Długiego Płaszcz.

Marta goniła Anielę, doganiała ją i prowadziła drogą wzdłuż Bohaterów Monte Cassino, obiecując, że zatrzymają się przy wystawie sklepu zoologicznego. Ale po mszy.

W trakcie eucharystii Marta cała nieobecniała.

Aniela kuciała przy jej nogach i cicho przyglądała się kościelnym marmurom. Próbowwała odkryć logikę kierującą układaczem mozaiki.

Mozaikarzem.

Mozaikologiem.

Mozaikologikiem.

W bocznych nawach na podłodze rozkwitały figury, które kusily, aby zagrać na nich w klasy, aby zgwałcić ich marmurowe granice pudełkiem po paście do butów, wypełnionym mokrym piachem. Pudełko trzeba było przesuwac skocznym ruchoślizgiem jednej nogi. Tej, która akurat mniej bolała, bo ciało w postawie oczekującego na nie wiadomo co bociana - bolało. Taka dysplazyjna skucha.

W trakcie kazania, które ksiądz głosił z wysokości majestatycznej, dębowej jak konfesjonały ambony, Aniela zastanawiała się, w jaki sposób kapłan dostawał się w nieosiągalne przestrzenie między niebem a ziemią, w przestrzeń demonów, w przestrzeń Judasza, a później wypluwał zupełnie niezrozumiałe słowa w czulszy niż serca wiernych mikrofon. Wydawało jej się, że sutannik musi tam mieszkać. Urządzała mu w myślach przestrzeń. Ustawiała fotele dla lalek tak, żeby wystarczyło jeszcze miejsca na niedużą kuchnię i szafkę z filizankami. Znajdowała miejsce na łóżeczko, które kaznodzieja otrzymywał razem z pościelą w darze od Kultury i śpiącej z nią na zmianę Kulawej Róży.

Jakiś czas później odkryła, że księża wchodzą na ambonę schodami ukrytymi za potężnym filarem. Tajemnice to nie rozpustnice. Strzegą filarów, za którymi się ukrywają.

Na przykład Totalny. Też miał tajemnicę. Aniela tak naprawdę nigdy nie dowiedziała się, dlaczego wybrał ją, właśnie ją, spośród rzeszy ślinotokowaginalnie zainteresowanych nim dziewcząt charyzmatycznych. Właśnie Anielę, która w kościele znalazła się zupełnie przypadkiem na spotkaniu przez niego prowadzonym, no, może nie przypadkiem.

Aniela przylazła na spotkanie kościelne raczej dlatego, żeby gruba Marianka dała jej

spokój. A Totalny na Anielę zwrócił uwagę, chociaż nie nosiła długiej spódnicy, bo raczej spodnie wolała, a jeśli spódnice, to tylko krótkie, nie żadne do pół łydki, tylko przed kolano. Zwrócił na nią uwagę, chociaż nie rozważała Pisma Świętego, choć czasem zaglądała do słów nawiedzonych, zaprawdę powiadam wam, ale tylko czasem, bo bardziej interesowała ją składnia zdania wielokrotnie złożonego, jednak nie tak bardzo złożonego jak Totalny. Zwrócił na nią uwagę, chociaż włosów długich nie miała, proszę, Anieli, zapuść je, jak kobieta wyglądać będziesz. A Anieli odpowiadała, proszę, brodę zapuść, jak mężczyzna wyglądać będziesz.

I nigdy nie powiedział Anieli, dlaczego właśnie ją najpierw wypatrzył, później krótko a cierpliwie tropił, a na koniec ustrzelił. Że była inna? Cóż to za tłumaczenie?

- Dlaczego właśnie mnie? - zapytała go wtedy, kiedy w szmacianym chlebaku między Lordem Jimem a Dziadami nosiła już od kilku tygodni pozew o rozwód. Znowu obcięła włosy na męsko, przestała malować rzęsy, wkładała stare dżinsy i wciąż te same klapki na grubych podszwach.

- Co ciebie?

- Wybrałeś.

- Teraz to nieważne. Ale gdybym mógł...

- ...gdybyś mógł?

- ...gdybym mógł, zmieniłbym twoją pozycję na szachownicy mojego życia, moich wyborów.

- To znaczy?

- Marysia, dom, samochód, wspólnota. Wszystko zostawiłbym, jak jest. Ciebie bym tylko wymienił, podmienił, na inną, na uległą, na normalną.

Anieli spojrzała na jego zaciśnięte, stalowe usta.

Nie wiedziała, co w nim zobaczyła i dlaczego zgodziła się na wystąpienie w roli jego żony.

Następnego dnia poszła do sądu. I zostawiła pismo, wysoki sędzie, proszę o uwolnienie mnie od męża mojego, cywilnie poślubionego dnia tego i tego, ze związku z którym mam małoletnie dziecko, córkę mam, wysoki sędzie, i kilkoro innych dzieci też mam, ale tym alimenty nie przysługują, bo w niebie fruwały, skrzydła anielskie mają, wysoki sędzie, ratuj, ratuj, bo koniem na szachownicy męża mojego już być nie chcę, a królową nigdy nie zostanę; kobietą koniem byłam, wysoki sędzie, ale moje siły już się skończyły, już furmanki nie pociągnę, zaprzęgu całego nieznośnego, proszę więc, uzdę z wędzidłem poluźnij, a najlepiej z całej uprzęży uwolnij, bo dyszel taki niewygodny, bo wóz taki załadowany, nie mam siły, wysoki sędzie, dowód: przesłuchanie szkapy i woźnicy.

A kiedy później do domu wróciła, na Totalnego obojętnie spojrzała, szepnęła, no to będzie wio. On zapytał, co? A ona, psińco.

Na Martę patrzyła inaczej. Marta była piękna. W kościele podczas mszy rzadko oczy otwierała, klęczała dłużej niż wszyscy. Marta przypominała wtedy świętą Teresę od Dzieciątka Jezus, której kilkanaście podobizn ukrywała w okładkach swojego modlitewnika. Kiedy czasem Anieli przeglądała papierową kolekcję sklonowanych, identycznych albo bardzo podobnych do siebie świętych Teres, zastanawiało ją najbardziej to, jaki kolor włosów miała bosa karmelitanka. Jeśli w ogóle miała włosy. I jeśli rzeczywiście chodziła boso.

Kiedy po księdzu Józefie religii zaczęła uczyć siostra Anna, Anieli chciała się dowiedzieć, co zakonnica ukrywa pod czarnym welonem, pod świętą zasłoną, pod ciemną płachtą tajemnicy.

Siostra Anna była piękna, była efemeryczna, z łagodnymi oczami, jak ta łania, co wody ze strumienia pragnęła, była istotą o łagodnych oczach, w których z pewnością mieszkał Duch Święty Anieli pamiętała dobrze, że całe ciało człowieka jest świątynią Ducha Świętego. Jednak ciało siostry Anny zupełnie nie interesowało Anieli. Ukryte w czarnych otchłaniach habitu, odbierającego kobiecość najbardziej kobiecym taliom, piersiom i nogom - nie istniało. Oczy zaś, które patrzyły na dwadzieścioro pięcioro już w pełni uczestniczących w

Ofierze Mszy Świętej dzieciaków, miała siostra Anna piękne, dobre.

Pola upierała się, że zakonnica jest łysa.

- Skąd wiesz? - zapytała Aniela.

- Mniszki prawosławne golą łby, kiedy idą do monasteru.

- Kto ci to powiedział?

- Babka Natasza, dziwko.

- Sama jesteś dziwka, dziwko. I twoja babka też jest dziwka. I twój kacapski ojciec.

Pola nie odzywała się do Anieli cały miesiąc.

W międzyczasie Aniela zdobyła wiedzę. Wiedza dawała jej władzę nad Polą, która wiedziała, że Aniela wie.

Aby zdobyć wiedzę, Aniela zacisnęła zęby i zaczęła chodzić na kółko różańcowe.

Marta była szczęśliwa, bo wyobraziła sobie, że spełnią się wreszcie wymodlone, wyproszone nadzieje na wspólne odmawianie różańca, na wspólne odrąbywanie z pięćdziesięciu drewnianych koralików tajemnic radosnych, bolesnych i chwalebnych. Razem z matką. Razem z siostrą. Z tą, która pod paznokciami i między liniami papilarnymi dłoni ukrywała demona.

Bo z Anielą łatwo nie było. Bo Aniela tylko czasami i tylko w październiku dawała się namówić na krótką dziesiątkę. Klęcząc pod obrazkiem Paniienki Częstochowskiej, od niechcenia przesuwiała wagony różańcowego pociągu. Uff, jak gorąco! Buch, jak gorąco! Z dłoni Anieli spływał pot jak oliwa.

Zdrowaśmariołaskiśpełnapaństwo. I ani paciorka więcej. Co z tego, że Marta każdy rano i wieczór szatkowała kolejnymi modlitwami? To nie była sprawa Anieli. Nie wtrącała się w życie siostry. Marta do różańca, Aniela do telewizora. I oglądała bajki w czarno-białym granicie, kolebiącym się na kulawych nogach w rogu dużego pokoju.

Ale oto Aniela na kółko różańcowe szła, sama, nie proszona, nie błagana przez Martę na kolanach, więc Marta z radości wielkiej wyremontowała podarty różaniec Anieli. Pierwszokomunijny. Ze sztucznych pereł. Rozerwany w „Kolorach dnia”, zaraz po zrobieniu fotografii, niech dziewczynka trzyma tę świecę równo i obrazeczek z Panem Jezusem, co już się zbliża, niech trzyma, a teraz uśmiech, co to pani dziecko takie markotne, roweru w prezencie nie dostało, no, dziewczynko-reglamentowana-mandarynko, usmieeee. Siku mi się chce, powiedziała Aniela i obrazek odłożyła, i świecę obok obrazka położyła, i w kiblu rozbeczała się dopiero. Żeby matka nie widziała, że ją ten policzek łomotnięty na Wielkiej Kładce boli. I to, że nie zaprzeczyła, że Anieli nie urodziła.

W kiblu Aniela płakała i ze złości różaniec rozerwała.

Koraliki pobierała, bo pomyślała, szkoda ich, może z nich naszyjnik Kulturze nawłokę.

Ale Marta różaniec naprawiła.

Po niedzielnej mszy świętej dla małych, po kazaniu o prawdzie, która kogoś miała wyzwolić, o prawdzie dzielnej i mężnej, mieczem obosiecznym przecinającej więzy kłamstwa i nie wiadomo co jeszcze, po słowach, że Jezus nas kocha, a jeśli kłamiemy, to Jego serce krwawi, poszła Aniela na kółko różańcowe. Z polatany różańcem w kieszeni i bez szczegółowego planu zdobycia wiedzy. Zdała się na okoliczności. Na swobodny rozwój wypadków. Na szczęście albo na pecha. Na łut albo na prześladowanie. Kiedy inne dziewczynki, ustawione w kształt nieforemnej elipsy, nabożnie klepały - wznosząc oczy swe ku górze, gdzie pomocna i niespocona dłoń czekała, aby poklepać nabożne główki - zdrowaśmariołaskiśpełnapaństwo - Aniela usadowiła się obok siostry Anny Chciała pod jej welon dostać się dyskretnie, niepostrzeżenie, palcem lekko unieść, jednym tylko palcem unieść tkaninę i poznać prawdę. Nie udało się. Ani podczas Modlitwy Pana Jezusa w Ogrójcu, ani podczas Biczowania. Dopiero w Cierniem ukoronowaniu Aniela zajrzała pod welon. A pod nim - pola czarnego materiału. Żadnych oznak włosów, żadnych martwych, sypiących się na kołnierze, rękawy, mankiety martwych resztek owłosienia. Śladu łupieżu.

Nic. W trakcie Pan Jezus niesie krzyż ponowiła próbę.

Znowu nic. Łany smolistej szaty. Siostra Anna rzuciła Anieli ostrzegawcze spojrzenie. Rzuciła i zabrała swoje spojrzenie, bo spojrzeń nie zwykła rzucać między małe wieprze. Wreszcie podczas Pan Jezus umiera na krzyżu Aniela podniosła welon i zapytała wprost:

- Czy siostra ma włosy?
- ...świętamariomatkożo... Co?
- Pola mówi, że siostra jest łysa.

W oczach zakonnicy zagrzmiały głuche strzały.

Trzyście par pozostałych oczu, które na chwilę przestały szybować ku górze, gdzie pomocna dłoń zawisała w bezruchu i czekała na rozwój wypadków, zbudowało okopy, zasieki, barykady i czekało na odpowiedź Bożej karabinierki w czarnej szacie. Anieli oczy nie budowały zasieków. Jej ręce miętoszyły sztuczne perły różańca. Piękną i zamieszkiwaną do tej pory przez Ducha Świętego albo innego świętego twarz siostry Anny wykrzywił grymas. Brzydki grymas. Krzywy grymas. Grymaśny grymas.

- Nie jestem łysa - odpowiedziała.
- Pola nie wierzy.
- Może sama mnie o to zapyta?
- Ta dziwka wstydzi się pytać o takie rzeczy.

W ogóle wstydzi się. I boi się. Nawet Czarnego Mariana boi się - Aniela mściła się na Poli za wszystkie dziwki, które od niej usłyszała.

- Dziwka? - powtórzyła siostra Anna.

Wycedziła „dziwkę” z namaszczeniem, przecedziła ją przez sito swoich dziewiczych zębów i nieskalanych ust, które wcześniej przesiewały zdrowaśmarioświeńtamario. Wycedziła „dziwkę” być może po raz pierwszy w życiu. Karabiny w jej oczach wydawały ostatnie strzały. Trzyście par pozostałych oczu wychodziło na barykady z białymi flagami.

- Nie jestem łysa - powtórzyła siostra Anna.

Patrzyła bezmyślnie na krucyfiks. Jej szczupła dłoń uniosła welon, a ponad wysmukłą, gotycką szyją ukazał się czternastu parom oczu krótki, spięty czarną gumką wykrojoną ze starej dętki rowerowej, jasny, bardzo krótki kucyk.

- Nie jestem łysa - powtórzyła po raz ostatni.
- Część trzecia chwalebna. Zmartwychwstanie Pana Jezusa.

Ojczenaszktóryśjestwniebie...

Wtedy wyremontowany różaniec Anieli podarł się po raz kolejny, w tym samym miejscu, w którym rozdarła go w kiblu „Kolorów dnia”. Cicho pozbierała sztuczne perły, sztuczne paciorki, sztuczne zdrowaśmariołaskiśpełnapaństwo bom, i równie cicho wyniosła się z sali katechetycznej. Na dziedzińcu między wałem a Białym Kościołem wyrzuciła resztki różańca, celując w grzebiące się w piachu gołębie. Nigdy więcej nie poszła na kółko różańcowe.

Tego samego niedzielnego popołudnia, po świątecznym obiedzie poprzedzonym modlitwą, po deserze drożdżowym nadziewanym wyrobem dzemopodobnym, Pola podeszła do Anieli łącej po

drabinkach. Bo Aniela popołudnia spędzała na podwórku skrojonym w ósemkę.

- Wiesz już? - zapytała Pola.
- Wiem.
- Powiedz.
- Poproś.
- Odwal się.

Aniela uśmiechnęła się szeroko.

- Poproś - powtórzyła twardo.
- Powiedziałam, odwal się, dziwko.
- Powiedziałam siostrze Annie, że jesteś dziwką, która musi wiedzieć, czy ona jest

łysa.

- Sama chciałaś to wiedzieć - odrzekła Pola.

I czuła, że Aniela nie żartuje. I czuła, że naprawdę nazwała ją w obecności trzynastu par oczu plus oczu naładowanych karabinowymi pociskami, oczu, z których na chwilę uleciał Duch Święty, że nazwała ją „dziwką”.

- Jasne, że chciałam to wiedzieć. I wiem. Ale to ty upierałaś się, że siostra jest łysa.

- A jest?

- Poproś.

- Proszę - Pola prawie płakała.

- Nie jest łysa - Aniela wolno zeszła z drabinek.

Na huśtawkach było ciekawiej. Płacząca-Pola-bliżej.

Płacząca-Pola-dalej.

Dlatego tak bardzo interesowało Anielę, wpatrzoną w rozmodloną Martę, to, czy święta Teresa od Dzieciątka Jezus jest łysa. Może nie była. Tak jak siostra Anna. Tak jak Marta, która w czasie eucharystii wyglądała jak święta Teresa. A może była. Cholera wie.

Wiele lat później, kiedy Aniela urodziła Marysię, kiedy większość czasu spędzała na karmieniu dziecka tracącymi bezpowrotnie jędrność piersiami, dopiero wtedy, kiedy jedynym towarzyszem codzienności Anieli stał się kolorowy telewizor sony, sterowany pilotem z licencją, telewizor nowoczesny, bez nóg, ustawiony na szlachetnym, jesionowym stoliku, dopiero wtedy Aniela zupełnie przypadkiem, przekładając niemowlę od piersi wyssanej do piersi pęczniejącej, obejrzała przypadkiem film o małej Teresie, ze sceną jak ze snów Anieli, ze sceną postrzyżyn, ze sceną przyjęcia Teresy do Karmelu, ze sceną ogolenia głowy świętej. Ofiara z loków dla Oblubieńca.

Aniela pogłaskała główkę córki. Obiecała sobie i Bogu, że głowy swojego dziecka nigdy nikomu ogolić nie pozwoli.

- Chodźmy już - kręciła się niecierpliwie Aniela pod koniec każdej mszy.

- Za chwilę.

Marta jeszcze klęczała. Jeszcze dogadywała się z Bogiem i ze świętymi w swoich i w nie swoich sprawach.

- Ale patrz, wszyscy już idą, no idą sobie. No chodź, miałyśmy iść pod sklep zoologiczny, pamiętasz? No chodź, Marta, chodź, bo się zsikam. Popatrz, już mam spocone dłonie. I zaraz się zsikam.

Marta czyniła ostatni znak krzyża. Potem w krzakach, za barierkami schodów krótszych o dłuższych stopniach, Aniela sikała. Albo udawała, że sika. Marta i tak zawsze jej wierzyła. Przez szybę sklepu zoologicznego, drewnianej budy, której wejściowe drzwi w niedzielę ryglowano na dwie kłódki i na ciężki, przymocowany w poprzek, jak sztaba na ruskim krzyżu, mosiądz, przyglądały się uwięzionym w klatkach papużkom falistym.

- Patrz, ta niebieska wciąż tu jest - mówiła zazwyczaj Aniela.

- Kiedyś ci ją kupię - odpowiadała zazwyczaj Marta.

Marta nie kupiła Anieli niebieskiej papużki.

Jakiś czas później, już po maturalnych emocjach Marty, po planach ojca, jakie studia ma wybrać jego starsza córka, bo miała wybrać studia z pomocą Boga Ojca i ojca-ojca (medycyna czy psychologia?), po milczących komentarzach matki, zbywającej ciszą koncepcje męża, Marta powiedziała, że idzie do klasztoru.

Aniela siedziała wtedy w pokoju zwanym dużym i czytała po raz drugi Tomka na wojennej ścieżce. Na zmianę z Do przerwy 0:1. Bardziej niż narada w kuchni, bardziej niż podniesiony głos ojca i ciche szlochy matki, bardziej niż łagodne najpierw tłumaczenia Marty, a potem mniej łagodne, kategoryczne stwierdzenia, to moje życie i mam powołanie, interesowały Anielę smaki. Na przykład smak pasków suszonej wołowiny, którą Indianie karmili Wilmowskiego. Próbowiła wyobrazić sobie ten smak. Wyobraźnia jednak zawodziła. Pewnego więc razu, tak żeby nikt nie słyszał, nikt nie widział, z cicha pęk przeszperała lodówkę, aby znaleźć kawałek wołowiny. Bez powodzenia. Wreszcie odkryła polec boczk. Ukroiła kilka kawałków i włożyła pod telewizor, który ojciec wykastrował parę miesięcy wcześniej z czterech nóg, stawiając go na stoliku, na zdiśku paździerzaku go stawiając.

Anieli wydawało się, że pod telewizorem jest najcieplej. Ale zanim boczek podsuszył się - zzieleniał i zaczął śmierdzieć. Ojciec chciał znaleźć źródło smrodu, tak jak Aniela kilka dni wcześniej wołowinę, ale nie znalazł go, choć obwąchał ręce swoje, stopy swoje, a kiedy nikt nie widział, nawet rozporek.

Później szukał na podłodze pod stołem i pod wersalką okrytą bordowym pledem. Nie znalazł. Aniela po cichu, kiedy ojciec nie widział, wywaliła rozpadający się, śmierdzący boczek, który nie transmutował w suszoną wołowinę. Posprzątała pod telewizorem, przetarła zdiśka paździerzaka ściereczką i położyła na miejsce, pod telewizor, pod czarno-biały granit, cepeliowską serwetkę.

Albo smak gruszki, soczystej gruszki, w którą wbijał się zębami Paragon. Aniela wyobrażała sobie słodką strużkę, spływającą po jej brodzie, po szyi, aż na to, co miało kiedyś urosnąć na krzywej klatce piersiowej.

Pragnęła czuć te smaki, smakować, dotykać wargami, językiem, zębami. I to się liczyło. A nie krzyki dobiegające z kuchni.

Tymczasem między pyknięciem fajki pokoju a kolejną bramką, między książkowym kęsem suszonej wołowiny a łykiem soku z gruszki w kuchni rozgrywało się piekło. Drogi do piekła strzegły zamknięte, białe, brudne u dołu drzwi, z dużą przezroczystą szybą o nierównej fakturze. Przy drzwiach stały dwa diabły.

Kiedy drzwi wreszcie otworzyły się, Aniela zobaczyła zapłakaną matkę, ojca palącego papierosa i Martę patrzącą przez zasłony w oknie na wybetonowany plac zabaw.

- Są gruszki? - zapytała Aniela.

- Nie, jeszcze nie. Przecież jeszcze za wcześnie na gruszki - odpowiedziała matka, wydmuchując nos.

- A suszona wołowina może jest?

Matka spojrzała zdziwiona na swoją młodszą córkę. A starsze, dobre dziecko przytuliło Anielę, mocno wgarniając ją w swoje świeże, młode i twarde kształty.

- Puść. Boli - wyrwała się Aniela.

Wieczorem, po swoich modlitwach, różańcach, koronkach i litaniach, Marta zapadła w milczenie.

- Wyjeżdżam - powiedziała cicho.

- Wiem. Słyszałam. Kiedy wrócisz?

- Nie wrócę. Chodzi właśnie o to, że nie wrócę.

- Dlaczego?

- To miejsce, z którego nie wraca się do świata.

- Jakie to miejsce?

- Klasztor.

- Przyjedziesz na święta? Na wakacje?

- Nie przyjadę.

- Zostań.

- Nie mogę.

- Ogotą ci głowę?

- Nie wiem. Chyba tak. Tak.

- Będziesz łysa?

- Zakryję głowę welonem.

- Będziesz łysa.

Aniela głaskała włosy jedynej Barbie (tej gołej), jaką kiedykolwiek w życiu miała. Peweksowskiej Barbie. Dewizowej. Mniej wartościowej, od kiedy zgubiła jej czarne kozaczki i obcisłe spodnie, a sztuczne jak perły różańca futerko wymieniła na zgrzewkę gum donaldówek. Balonowych. Z historyjkami.

- Będziesz modlić się za mnie? - zapytała Marta.

- Jasne. Żebyś wróciła.

- Chcę tam zostać, chcę wytrwać.

- Durna jesteś.

Od chwili wyjazdu Marty, Aniela codziennie modliła się o powrót siostry.

\*

Marta wróciła do domu później. W tym czasie Aniela urządziła dla siebie wspólny do niedawna pokój. Nie ulegała jednak, starała się nie ulec bezwstydnemu panoszącej się myśli, że jej siostra zostanie w klasztorze. Ustawiła książki Marty na dolnych półkach regału. Ubrania Marty, których nie było wiele, Aniela spakowała i wsunęła do szuflady w najmniejszym pokoju, zwanym balkonowym.

Później zabrała się za papiery, za zeszyty Marty, przyglądała się czasem jej maturalnym notatkom posegregowanym w sztywnych, tekturowych teczkach.

Kartki zapisane równym charakterem pisma, z patologicznie zaokrąglanym „a” i „o”. Z krótkimi ogonkami „ą” i „ę”. Z fantazyjnie zawijanymi kulaskami „j” i „g”. Pod pracami domowymi rozkwitały dobre noty. Nieczytelne recenzje i uzasadnienia ocen.

Ze snami Aniela przeniosła się na rozkładany każdego wieczoru półko-tapczan Marty - cudowne jak rozstąpienie się Morza Czerwonego urządzenie pokoju trzy na trzy i pół metra. Ze ściany mebla wyjmowała spanie, opierała je na dwóch metalowych nogach, rozsypywała troczki przytrzymujące koldrę i poduszkę, a kiedy wreszcie leżała w wykrochmalonej - sztywnej jak Czarnomarianny aktor - pościeli, po lewej stronie, na wyciągnięcie bolącej nogi miała ruską tapetę w kwiatuszki. Kiedyś dorysowała między raznocwietnymi cwieterkami krowy.

- Co to jest? - zapytała zdumiona matka, która po wstąpieniu Marty do klasztoru przestała się dziwić. Raczej.

- Krowy.

- A te czarne, wielkie plamy wokół?

- Placki. Krowie placki.

- A te czarne buty ze skrzydłami? Dlaczego fruują nad krowami?

- Walonki.

- Walonki ze skrzydłami?

-No.

Matka nie chciała wiedzieć więcej.

Po prawej stronie w pościeli leżącej Anieli świeciła zazwyczaj biel wewnętrznej strony posłania, bebechy rozłożonego półko-tapczanu. Marta miała tam swoje muzeum, swój świętoniedzielny Luwr, z Tereskami od Dzieciątek i z Avila, z Franciszkami, Klarami i Janami od Krzyżów. Muzeum zlikwidowała przed wstąpieniem do klasztoru. Metodycznie, kuchennym nożem, odklejała powoli kolekcję. Ślady po kleju biurowym zmywała gąbką nurzaną w wodzie z szamponem. Pokrzywowym.

Po przeprowadzce na posłanie Marty Anieli przestał śnić się Czarny Marian. Po raz pierwszy od kilku lat. Tęskniła za nim, za jego ciepłym głosem i aksamitnym poleceniem, rozładując teraz napięcie, a ty tylko patrz. Tęskniła za Marianem pojawiającym się w sennych przestrzeniach, w swobodnym, onirycznym, nieokiełznanym, ale miarowym, wciąż powtarzającym się, uporczywym i tępym ostinato mięśni, patrzyła, przyglądała się, obserwowała, jak skurczona twarz Czarnego Mariana wygładza się, rozluźnia się wraz z rozluźniającym się uściskiem pięści, dochodzi do rozkosznego błogostanu, tego samego błogostanu, który wygładzał i rozluźniał podbrzusze Anieli.

A kiedy tęsknoty Anieli stawały się nie do zniesienia, wynosiła się z półko-tapczanu na stare posłanie, na amerykańkę - wąską, niewygodną, za krótką.

Wtedy Marian czasem wracał, ale rzadko, niechętnie, bo nie lubił mocować się z poczuciem winy Anieli, z jej nadąsanym kilkunastoletnim sumieniem, szepczącym czystym, chociaż jeszcze cichym i słabym głosem, to grzech.

To grzech.

Fraza krótsza od Aktu strzelistego, ale dłuższa od ostatniego tchnienia, pojawiała się w świadomości Anieli coraz częściej.



- Nie kłam - mówiła matka do małej Anieli. -

Nie kłam, bo Bóg widzi twoje kłamliwe serce. Wszystko widzi. Nie ukryjesz się przed nim, nie uciekniesz, więc lepiej nie kłam. Bóg ukarze cię, jeśli będziesz kłamać, zobaczysz! - i groziła palcem.

Palec-matki-blizej. Palec-Boga-dalej.

Aniela bała się. Kiedy więc oszukała Połę, kiedy ją okłamała, posyłając do wszystkich diabłów albo jeszcze dalej, Połę przypinającą się zawsze do kieszeni Anieli jak szczenię do pełnych mleka sutków suki, choć raczej do sutków pełnych donaldówek, Połę zawsze łąsą i nigdy nie nazartą, kiedy powiedziała jej, że nie ma więcej gum do żucia, a przecież miała w kieszeni jeszcze dwie, a może trzy, więc kiedy odesłała Połę, przegoniła, kiedy wreszcie to zrobiła, czekała za jedną z ławek na placu zabaw. Schowała się za nią, schowała się za ławką, w krzakach, i czekała. Czekala na kopa od Boga. Bo teraz powinien wkroczyć Bóg.

W butach. W skórzanych, ciemnobrązowych juniorkach na porządnym, lekko żłobionych podeszwach, i powinien dać Anieli kopa. Już widziała, jak anty-kłam-kop wynosi ją ponad drabinki, a ona ląduje za piaskownicą. Swoją kłamliwą, brzydką gębą, pełną krzywo wyrastających zębów, prosto w piachu ląduje. Czekala, cicho przyczajona. Bóg nie nadchodził.

I nie nadszedł.

Rozczarowanie było większe niż ciężar kłamstwa.

Bóg nie zdał egzaminu na sędziego. Matka zaliczyła test na kłamczuchę.

Albo ojciec.

- Trzeba żyć uczciwie, jak w dekalogu napisane.

Już ty wiesz, jak jest napisane! - mawiał, wyłaniając się spoza języków papierosowego dymu i spoza płacht swoich gazet. Aniela stała przed nim jak Mojżesz przed krzakiem gorejącym, jak Mojżesz lizany oparami Jahwe. Stała więc Aniela przed ojcem i słuchała jego umoralniających, śliskich i duszących pouczeń, już ja wiem, odpowiadała w myślach, a ojciec, mały bóg, połączony z Jahwe wonnymi dymami, wątku łamania przykazań nie rozwijał. I nie przenikał myśli Anieli.

Już ja wiem, odpowiadała w duchu, i wiedziała.

Wiedziała, że dwa razy do roku, a może częściej, w końcu Aniela nie pilnowała ojca, nie czuwała nad jego duszą, dwa razy do roku ojciec ładował się do dębowego brzucha konfesjonau i przed nadejściem Syna w stajence, a kilkanaście tygodni później tuż przed losem Syna Na Krzyżu, oczyszczał się, obmywał się, korzystał z nadarzących się win odpuszczeń i odpustów częściowych lub zupełnych. Korzystał zawsze i ze wszystkiego.

Wiedziała, że oprócz tego chodził do kościoła.

Czasami. Jeśli akurat nie było jakiegoś gówna w telewizorze. Jeśli nie miał ochoty na kościół, na zaprawdę godne to i sprawiedliwe, powiadam wam, wymyślał preteksty. Nie kłamstwa - preteksty. Wzdęcie, czkawka, głowobóle. Z pretekstów nie do obalenia, nie do odrzucenia: wypadający płatek sercowy, skręt jelit, bóle fantomowe wyciętej w dzieciństwie ślepej - jak matka Anieli - kiszki.

Pewnego razu Aniela zapomniała książeczki do nabożeństwa. Matka, kiedy skręcały na Promienną, zapytała: masz książeczkę? Aniela nie miała. No to jak będziesz się modlić po komunii? Za siebie, rodziców, za ojczyznę, jak będziesz modlić się, jak będziesz Bogu za dar życia dziękować, życia wiecznego, bo - tego już nie powiedziała - to obecne życie, bez względu na to, jak modlić się będziesz, jak długo kolanami ziemię ugniatać będziesz, jakkolwiek bandażami różańców i litanii owijać doczesność, zawsze stygmaty bylejakości nosić będzie, na wieki wieków, amen. A może jeszcze dłużej. Marsz więc do domu po książeczkę, poczekam tu na ciebie, zawarczała dość łagodnie matka, bo już święciła niedzielę, dzień święty obchodziła. W tę i z powrotem. Do kościoła i z kościoła.

Wróciła więc do domu Aniela, szybciotko, cichutko wśliznęła się, tylko po książeczkę, leżącą w małym, trzy na trzy i pół metra pokoju, na małym biurku, na jego blacie, małą książeczkę.

Kiedy wychodziły z matką z mieszkania w upalny lipcowy niedzielny poranek, poranek po lipcowemu słoneczny, jasny, duszny, ojciec leżał krowim plackiem w pokoju, zwanym dużym, na szerokiej wersalce, z herbacianymi okładami na oczach. Światłowstręt, wystękał i został. Ojciec cierpiał. Stąd wślizgiwanie się Anieli wężowo bezgłośnie. Już na półpiętrze dobiegło ją głośnie sapanie, stękanie dobywające się zza drzwi.

Ojciec leżał w pokoju zwanym dużym, na drewnianej ławeczce skleconej w garażu sąsiada z trzech desek, w samych gaciach, w luźnych, szaroburych, spranych gaciach leżał. Rozłożony na ławeczce jak Jezus na krzyżu, rozłożony tak samo jak Jezus, ale z rękami zwisającymi, nie znajdującymi oparcia na poprzecznej desce, na której solidne, przygwożdżone oparcie znalazły ręce Jezusa. Ojciec ćwiczył. Bo jego ręce nie zwisały bezładnie, beczynninie, bezprzyczynowo. Nie czekały na gwoździe. Nie czekały na od wieków przewidziany przez Boga ból. Ćwiczył.

W każdej dłoni trzymał pięciokilowy ciężarek, słodkie brzemie, cenne brzemie, kształtujące, rzeźbiące jego mocny, twardy biceps. Jezus nie miał bicepsów.

Na zdiśku paździerzaku leżały brudne farfocle waty nasączonej herbatą uzdrawiającą, granulowaną madras. Esencją herbaty.

- Czego chcesz? - zapytał ojciec, z którego bicepsów w jednej chwili zeszło powietrze, a oczy zaszkliły się lipcowym światłowstrętem.

- Idziesz na noc do pracy?

- Wynocha.

Czasami jednak szedł do kościoła. Razem z matką. Wtedy od rana golił się, oblewał się wodą święconą Kultury, dewizowym hugo bossem, wkładał ładne ubranko, koszulę wyprasowaną, pachnącą, trzymał matkę pod rękę na Wielkiej Kładce, ale częściej szedł sam, przodem, Aniela z matką z tyłu, pięć kroków za ojcem, a on, jak pasterz swoje stado po zielonych łąkach, prowadził swoje kobiety. Później, już w kościele, rzucał na tacę wyprasowany sztywnością pugilaresu banknot, łaskawie przyglądał się przystępującej do komunii matce, wznosił oczy swe ku górze i z Pomocną Dłonią witał się swoją wyćwiczoną prawicą, hm, puśćmy w niepamięć czyny, o których wiem ja, o których wiesz Ty, ale oprócz czynów znasz także ich przyczyny, więc na przyczyny spoglądaj w łaskawości swojej, bo wiesz, że inaczej nie mogę, mruzczał pod nosem swoje modlitwy.

Tato.

A po niedzieli następowały dni powszednie.

Kiedy ranne wstawały zorze, pytał Anielę:

- Odmówiłaś pacierz?

-Nie.

- To grzech.

Kiedy dzień nachylał się ku zachodowi, pytał Anielę:

- Odmówiłaś pacierz?

-Tak.

- Nie kłam. To grzech.

Grzech panoszył się wszędzie. Nawet w bańkach ciszy. Wyglądał zza każdego wypowiedzianego i nie wypowiedzianego słowa, z każdej myśli; drwił z Anieli, straszył, mościł się w niej, gościł w niej, wlaził bez pytania, zawsze w parze, nigdy sam. Zawsze z poczuciem winy.

Grzechem było kłamstwo i mówienie prawdy.

Jedno i drugie obrażało ojca i matkę.

Kłamstwo, ze swej natury złe, podłe i nikczemne, budziło głęboki sprzeciw rodziców. Zwłaszcza ojca, ojca przyczajonego za pretekstami, ukrytego za upośledzonymi, niedorozwiniętymi półprawdami, które nie usprawiedliwiały jego niedorozwiniętej moralności. Czasem, kiedy Aniela mówiła, że to nie tak, tato, tak nie można, że nie może być pół prawdy, a kłamstwo zawsze jest całe i nie ma mniejszego czy też większego zła, bo zło jest zawsze złem, nawet zło karłowate, nawet mikrozło, wtedy słyszała nieśmiertelne: co

wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie.

I tyle. Wojewoda kłamał. Smród też. Bo skoro wolno wojewodzie, to smrodowi również.

I choć Aniela wiedziała, że kłamstwo jest złe, kłamała.

Kłamała z litości dla matki, oszczędzała jej prawd o ojcu i o sobie. O ojcu i o jego dupie-bliżej, dupie-dalej. O swoim ciele też nie mówiła prawdy. O tym, że dostała pierwszy okres. O tym, że zapaliła pierwszego papierosa. O tym, że po raz pierwszy całowała się. Z Połą. Bo obie musiały poćwiczyć, udoskonalić sztukę, jak mówił Cezary, wymieniania oddechów, sztukę, która nie była ani łatwa, ani prosta, a wtedy również nie była przyjemna. Ale co matka mogła wiedzieć, co mogła rozumieć. Jej usta od dawna były martwe. Tak jak ciało i serce.

Aniela, ponieważ nie było w niej strachu ani przed rodzicami, ani przed Bogiem, który nie kopał wtedy, kiedy powinien, kłamała.

A kiedy nie kłamała, milczała.

A kiedy nie milczała, znowu kłamała. Do czasu.

Na długo kłamać przestała. A później znowu zaczęła.

To było wtedy, kiedy zmora Barbara zachorowała.

Wylewu dostała. Do mózgu krew się jej przedostała, troszkę sobie pokapała, szare komórki zmory Barbary ubarwiła, świat jej pomalowała, nie na żółto, nie na niebiesko, ale na drżąco i na sepleniące. A wszystko stało się wtedy, kiedy schab na kotlety tłukła zmora, w swojej kuchni tłukła, we wczesne niedzielne południe tłukła, już po mszy świętej nadziewiątą-trzydzieści i po Aniele Pańskim z Ojcem Świętym, a jeszcze przed wrzuceniem kury do garnka, przed ugotowaniem rosółu.

A była to akurat niedziela wspólnego obiadu u zmory Barbary. Bo w każdą niedzielę Totalny do matki chodził stołować się. Dwa razy w miesiącu sam chodził. Wtedy Aniela z Marysią szła na Gruntową do swojej matki. Albo zostawała z dzieckiem w domu, z własnym obiadem, z własnymi talerzami, we własnej kuchni.

Pozostałe dwa razy Aniela wędrowała razem z Totalnym do jego rodziców. Kiedy przychodził czas, Aniela mówiła, idziemy do dziadków na obiad. Marysia powtarzała, do Baśmietków na obiad.

Podczas niedzielnych wyżerek zmora Barbara zazwyczaj zaczynała koncert, stawiała przed Marysią, mówiła do niej Tadek niejadek, ale po chwili spluwała przez lewe ramię, bo przywodziła na myśl i na usta syna swego przekłętogo, z innowierną poślubionego: kosi, kosi łapci, za tatusia, za mamusię, no, jak nie chcesz za mamusię, to nie trzeba, to za babcię zjedz, i za dziadka pijaka, nie chcesz za dziadka Mietka? No i dobrze. Zjesz za niego kęsa, kiedy pić przestanie, moja ty dziewczynko-malinko, wnuczko jedyna, bo dzieci z wujka Tadeusza i z jego heretyczki nie liczą się, nie przyjeżdżają do babci, za dziadka też zjesz?

Otwierasz bużkę? No, teraz na pewno wódki do ust nie weźmie.

Tak szemrała zazwyczaj zmora Barbara, tak sobie z dzieckiem szeptała w niedzielne południa. Kobieta już stara, a jeszcze żywa, z żeliwnymi dłońmi, odlanymi w formach na łopatę, z sercem jak piec, który rozpałało bezwzględne uwielbienie dla Totalnego.

Totalny cicho siedział, łyżką wiosłował, na ojca w milczeniu spoglądał, na ojca, który nos chował w zupie, który nosa znad tafla rosółu nie wysuwał, który nurkował między rafami marchewkowo-selerowymi, między planktonem przyprawy kucharek a glonami zielonej pietruszki. Bez butli z tlenem nurkował.

- Co to za mięso jest? - pytała czasem Marysia.

- Z kurczaczka. Rosółek z kurczaczka. A tu nóżki pieczone. Widzisz? Aż dwanaście!

- Wystalcyłaby jedna.

- Jak to jedna, na Boga, Maryniu, mama robi obiady z jednej drobiowej nóżki?

- Z dinozała.

- Mama robi obiady z dinozaura?

- Wystalcyłaby nozka z dinozała. Jedna. Duża.

Kulek skoda, co nie? Ile ich, babcia, zabiłaś, zęby tyle nozek mieć?

- Jakiś mały by wystalcył. Mama mi o nich czytała.

O dinozaurach w sensie.

- Zjemy, na Boga, Maryniu, obiadek i poczytamy legendy o świętych. Mama czyta ci o świętych?

- Nie. Długa babcia lacej.

- Tatuś na pewno czyta.

- Casem.

Tej niedzieli jednak, już po mszy na-dziewiątą-trzydzieści, już po Aniele Pańskim z papieżem, kiedy Totalny zaczął zyletką gładką jak śmierć twarz, kiedy Marysia próbowała samodzielnie włożyć kremowe jak spojrzenie śmierci rajstopki, kiedy Aniela rzucała śmiertelne spojrzenia w stronę zegara, dwunasta dwadzieścia osiem, zadzwonił Mieczyk.

- Niech pan się uspokoi - powiedziała Aniela.

Nigdy nie zaczęła mówić do teściów: mamó, tato.

- W którym szpitalu leży? Zaraz tam będziemy.

- Twoja matka miała wylew - rzuciła w stronę Totalnego.

A ten gwałtownie przejechał się nożykiem po grdyce.

Pół godziny później byli w szpitalu.

Mieczyk nie płakał, ale też nie rozpaczał. Powiedział, trzeba czekać. Później przyszedł lekarz i powiedział, trzeba czekać. Aniela po dwóch godzinach czekania przeprosiła Mieczyka i Totalnego, nie będą czekać, powiedziała, bo dziecko czeka na mnie.

Mieczyk obojętnie wruszył ramionami. Totalny nie zwrócił uwagi na obojętność Anieli. Schował głowę w ramionach.

- Może z tego wyjdzie. A może nie - stwierdziła matka Anieli.

- Może zajrzysz do niej jutro?

- Może - odpowiedziała matka.

Totalny po powrocie do domu przyniósł wieści:

matka nie obudziła się, jest w sypialni. Czy się obudzi, nie wiadomo, on ma nadzieję, że tak, dlatego od teraz, od tej chwili, od natychmiast, w intencji przez matkę przytomnego uniesienia powiek post ogłasza, seksualną wstrzeźliwość narzuca sobie, więc niech go Aniela nie zachęca i nie prowokuje, niech pamięta, że on na takie prowokacje jest bardzo wrażliwy i z trudem się powstrzymuje.

- Jak chcesz - mruknęła półgębkiem Aniela.

- Tak chcę - powtórzył całym gębkiem Totalny.

Zmora Barbara po tygodniu wciąż spała.

Aniela pewnego wieczoru przedfilowała przed Totalnym naga. Ze sterczącymi strzałami sutków, z płaską, choć nie tak jędrną jak przed porodem tarczą brzucha, bez pancerza pizamy. Totalny opuścił wzrok. Spodni nie opuścił.

Matka spała.

Po dziesięciu dniach wciąż się nie obudziła.

Aniela odwiedziła ją po jedenastu. Jak mucha uwięziona przez krzyżaka, Barbara leżała w pajęczynie rurek, przewodów, kroplówek.

Zmora jednak nie była sama.

- Kim pan jest? - zapytała Aniela mężczyznę stojącego przy jej łóżku.

- Tadeusz.

- Pan jest...

- ...jej starszym synem.

- Zadzwonił do pana...

- Ojciec. Mój brat nie ma mojego adresu. A pani to...

- ... żona pana brata. Jeszcze żona.

- Dlaczego jeszcze?

- Bo skutkiem jeszcze jest już nie.

- Czy to oznacza...?
- To nic nie oznacza. Taka żonglerka. Słowna.
- Pracuje pani w cyrku?
- Tak. Jestem nauczycielką. Żongluję słowami. Ocenami. Zdaniem.
- Jest pani piękną kobietą.
- A pan błaznuje, jeżdżąc na bicyklu komplementów.
- To pani przeszkadza?

Aniela przygryzła kciuk prawej dłoni.

- Byłam kobietą. Teraz jestem koniem.
- Kim?

- Nieważne.
- Sądziłem, że w szpitalach wiążą ręce.
- Słucham?
- Nieważne. Ma pani coś na policzku.

Aniela przetarła twarz. Pylek pozostał na miejscu.

Po chwili poczuła miękkie dotknięcie dłoni Tadeusza.

Strąciła ją.

- Przepraszam, mam ręce... - chciał wytłumaczyć się prędko, ponieważ sądził, że niezgrabnie i nieuważnie zaczął liniami papilarnymi o rzęsy Anieli, liniami papilarnymi zdartymi nieustannym szorowaniem, likwidowaniem wgryzających się w skórę smarów samochodowych, olejów silnikowych, zapachów jego niedużego, lecz dochodowego zakładu mechanicznego.

- ... jak Bóg - dokończyła Aniela.

Uśmiechnął się.

Uśmiechnęła się.

Po chwili znowu położyła jego dłoń na swojej twarzy. Po raz pierwszy w życiu pragnęła dotyku.

Zmora Barbara spod półprzymkniętych powiek obserwowała zakurzony sufit.

Aniela zapytała, dlaczego wyjechał. Odpowiedział.

Zapytał, dlaczego wyszła za mąż za Totalnego.

Odpowiedziała.

- To wystarczyło? - zapytał kilka dni później, kiedy leżała w jego hotelowej pościeli, pod jego spoconym brzuchem, pod jego zapachem innym niż old spice w sztyfcie, pod jego twardymi mięśniami, leżała w tym samym hotelu, w którym wiele lat temu pracował jej ojciec. Bo Tadeusz nie chciał być w domu, nie chciał zamieszkać na kilka dni z ojcem, nie chciał spać na wersalce w pokoju gościnnym pod Matką Boską Nieustającej Pomocy.

- Wtedy wystarczyło - odpowiedziała.
- To żaden powód.
- Teraz wiem. Chciałam, żeby dziecko miało rodzinę.
- Jest taka ważna?
- Była. Nigdy nie miałam normalnej rodziny.
- Ja też.
- Wciąż nie mam.
- Ja już mam - odrzekł Tadeusz.

Pogłaskał włosy Anieli. Trochę dłuższe niż na maturalnym zdjęciu (miały wtedy pięć milimetrów).

Trochę dłużej niż Totalny.

- Jak to możliwe, że jesteście tak... - zaczęła Aniela.
- ...inni?

Pokiwała głową.

Tadeusz był wyższy od Totalnego. Miał ciemniejsze oczy, cerę. Miał inaczej

wykrojoną twarz, łagodniejszą, bez spiczastego kantu brody, bez wystających kości policzkowych. Nie miał takiej jak Totalny bruzdy między brwiami, bruzdy wąskiej jak pasek z tylnej części stringów.

Włosy miał wszędzie twarde i gęste, nie takie rachityczne, nie takie ledwie ledwie jak na piersi Totalnego.

Inaczej słuchał, inaczej patrzył, inaczej dotykał, inaczej pragnął. Ciepły jak mleczna zupa babki Jakuby, słodki jak jej serniki, pachnący jak wigilijna jodła.

- Jak to możliwe, że leżysz tu przy mnie? - odrzekł, jakby nie usłyszał pytania Anieli.
- Bo jestem inna niż twoja Margit?
- Jesteś. Ale nie tylko dlatego.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Kochasz ją?
- Kocham.
- Wrócisz do niej?
- Wrócę.
- Obiecuj, że nigdy nie powiesz o tym swojemu bratu.
- To mój półbrat.

Aniela uniosła się.

- Nic nie wiesz?
- Nie wiem.

Tadeusz powiedział wtedy Anieli, Jak To Było Naprawdę.

Powiedział to, co usłyszał od Mieczyka tuż przed swoją ucieczką za daleką granicę.

Barbarę Mieczyk poznał zhańbioną. Nosila w sobie już zawiązki płodu Tadeusza, kiedy Mieczyk pojawił się w jej życiu, kiedy zagubiony jak wczorajszy pijacki oddech postanowił, że ożeni się z nią i sprezentuje bękartowi nazwisko, bękartowi poczętemu z wielkiej, ale krótkiej miłości do Niewiadomokogo.

Mieczyka i tak żadna nie chciała. Wołały za nim panny i dzieciaki, Mieczyk dupek, pijany głupek, całe gówno z Mieczykiem równo, z podchmielonego Mieczyka naśmiewały się dzieciaki, a z jego purpurowego nosa drwili wszyscy. I z tego, że jego matka uciekła od ojca. I z tego, że jego ojciec nie umiał matki dogonić.

I z tego, że Mieczyk mały był i słaby i schodził z drogi tym, co śmiechem pustym nad jego pustym życiem wybuchali.

Barbara jednak wyszła za Mieczyka. Nigdy nie powiedziała, kto był prawdziwym ojcem Tadeusza, nabrała wody w usta, a może nie wody, może roztworu z nienawiści wstydu, niechęci, upokorzenia.

Nienawiści do Tadeusza. Bo był.

Nienawiści do Mieczyka. Bo wiedział.

Sześć miesięcy po ślubie urodził się Tadeusz.

Dwa miesiące po narodzinach pierwszego, zakwitł w niej drugi syn.

A zakwitł tylko dlatego, że Mieczyk powiedział:

odchodzę. Barbara już wiedziała, że hańba smakuje jak napar z piołunu i pokrzywy, po raz drugi kielicha goryczy pić nie zamierzała. I Mieczyka, którego dopuścić do siebie nie chciała i od dnia ślubu w swoim łóżku nie przyjęła, tym razem dopuściła. Żeby nie odszedł.

Później strzepnęła go ze swojego brzucha jak wiszący pod nosem farfocel.

A kiedy okazało się, że jest znowu przy nadziei, Mieczyk najpierw ucieszył się (ojcem będę), a później smutek przy dusił jego piersi, barki i głowę (już mnie nie wpuści w swoje gorące fałdy a odejść nie odejdę, bo ojcem zostanę).

Jego prorocstwo ziściło się kilka tygodni później.

Barbara powiedziała, że dziecko z prawego łoża poczęte kochać będzie. Zamiast Tadeusza. Zamiast Mieczyka. Hańbę swoją zmaże, oczyści się z nieprawości przedmałżeńskiej, z głupoty dziewczęcej, i jak Najświętsza żyć będzie, niech się Mieczyk do

niej nie zbliża, niech nogawki swoich kaprawych spodni, z jedną nogawką podtoczoną i spinaczem do bielizny przypiętą, trzyma z daleka od jej kołdry. Tak daleko jak ukrainę od jej damki, ukrainę, na której jeździł do pracy. Do zakładu. Krawieckiego.

- Masz nadzieję, że kiedy się obudzi, powie ci, kto jest twoim ojcem?

- Mam nadzieję, że się nie obudzi.

- Przecież tu przyjechałeś. Specjalnie do...

- ...ojca. Nie do niej.

- Jesteś inny niż twój brat.

- Jesteś inna niż twój mąż.

Wtedy Aniela znowu zaczęła kłamać.

Bo czas miał tylko dwa tygodnie, miał twarz Margit czekającej na Tadeusza, cztery ręce jego dwóch córek, kredyt w norweskim banku zaciągnięty na nowy dom na skale.

Codziennie, prawie codziennie, wychodziła z domu. Wracała późno. Matce i Totalnemu powiedziała, że ma pilne zlecenie, zastępstwo za chorą koleżankę na kursie dla maturzystów albo gimnazjalistów (co za różnica), pieniądze będą, odłożymy, wydamy, zrobimy, co zechcesz, tylko puść mnie już i nie patrz w moje oczy tak pożądliwie, szeptała do Totalnego, a on chciał wiedzieć, dla kogo umalowała rzęsy, bo przecież nigdy ich nie barwiła, nigdy ich nie pokrywała kleistą jak grzechy sodomitów czernią, czy ktoś cię pokrywa, Aniela, powiedz. Aniela ścierała tusz spoconą dłonią, zrzucała z ramion spocone dłonie męża i na koniec pluła mu w twarz krótkim pytaniem, twoja matka wyszła ze śpiączki? Wtedy puszczał puszcżającą się Anielę z domu.

A ta, zbiegając po schodach, zostawiała za drzwiami mieszkania siebie żonę, siebie matkę, siebie konia.

Wbiegając po schodach hotelu, za drzwiami numeru odnajdywała Anielę - Kobietę Do Kochania.

Bo od Tadeusza słyszała to, czego uszy do tej pory nie słyszały.

Bo przy nim zobaczyła to, czego oczy jeszcze nie widziały.

Bo dzięki niemu poczuła to, co wcześniej tylko przeczuwała.

I gdyby wiedziała, że będzie robić to, co robiła, zrozumiałaby ojca.

Ale wtedy, kiedy była dzieckiem i kłamała, nie rozumiała.

To było później, ale jeszcze wtedy, kiedy Marta siedziała w klasztorze. Aniela odkryła wówczas, delikatne jak koronkowe obrusy babci Jakuby, mariaże prawdy i kłamstwa.

Aniela nie powiedziała matce, że widziała ojca.

W parku. Kiedy jeździła na rowerze, kiedy robiła coraz to nowe okrążenia, okrągłe jak koła ratunkowe okrążenia.

Jazda na rowerze.

Uwielbiała ją nie tylko dlatego, że wiatr przeczesywał krótką Anieliną fryzurę, zatykał nos i wydymał policzki zatrzymanym na bardzo krótką chwilę oddechem wolności. Błękitny jubilat, jasny składak, mój orzeł, moja łabędzica przepiękna, mówiła Aniela i robiła kolejne okrążenie, i jeszcze następne.

Jeździła nie tylko dla przyjemności. Pedałowanie pięknie rzeźbiło mięśnie Anieli, te przy kolanach, a może nad kolanami, co za różnica. Chodziło przecież o to, żeby nogi zbrzydły, zgrubiały, i dlatego właśnie, mam, nie mogę dziś włożyć spódnicy. Mam tłuste nogi, tłusty brzuch, tłuste uszy, krzywe zęby, daj mi spokój, mam, ze spódnicą. Aniela, jest niedziela, ucinała matka dyskusję, i Aniela wiedziała, że nawet Pomocna Dłoń nie udzieli jej pomocy. Do kościoła Aniela musiała wkładać kiecki. Z długością do pół łydki.

- Spodnie? Wykluczone - czasem dodawała matka.

I nawet zimą, w siarczyste mrozy, kiedy Aniela marzła straszliwie, musiała wkładać spódnice. A pod spódnicę dwie pary ciepłych, ruskich majtek, do pół uda, majtek o za luźnych gumkach, o za szerokich nogawkach, majtek, które grzały pęcherz, ale nie zakrywały strzykających, marznących kolan.

Później matka wymyśliła drugą parę rajstop, wierzchnią parę rajstop, nakładanych na

warstwę gruntową, przycielesną, pierwszą.

Spodnie żadną miarą nie wchodziły w rachubę.

- Dlaczego? - zapytała pewnego razu Aniela, która na pierwsze szare i na drugie kremowe rajtuzy wkładała podwójne ciepłe gacie. Za oknami hulał styczeń.

- Czy ty widziałaś, żeby Matka Boża chodziła w spodniach? - odpowiedziała matka.

- A czy ty widziałaś, żeby Matka Boża w ogóle chodziła? - odrzekła Aniela i zastygła w naciąganiu radzieckiej bawełny na tyłek. - Widziałaś ją tylko na świętych obrazkach.

- A na świętych obrazkach jest tylko w sukniach.

Nosić spodnie w niedzielę to grzech! Pośpiesz się!

Aniela bezradnie machała głową i zniechęcona zawsze myślała o wuju Bobiku.

Zawsze w niedzielę.

Zawsze wkładając spódnice.

Wuj Bobik był przyszywanym wujem Anieli, przyszywanym różowym kordonkiem katolickiej ortodoksji. Matka poznała go w szpitalu. A może znała go od zawsze, bo od kiedy Aniela pamięta, matka i wuj pracowali w tym samym miejscu. I znali się.

I chociaż Bobik miał naprawdę na imię Robert, to wszyscy wołali na niego Bobik. Wolne chwile, wszystkie wolne chwile spędzał w kościele. Przez pięć pierwszych lat swojego małżeństwa warował przed ołtarzem i prosił o dziecko. Bóg nie dał mu dziecka. Ani jego żonie. Ale Bobik nie przestał warować. Ktoś go wreszcie nazwał Bożym pieskiem, Bożym Bobikiem, i już tak zostało. Bobik nie obraził się na Pana Boga, nie obraził się za nieobdarowanie go potomstwem, choć przecież każdy inny człowiek zrobiłby to, no, może nie każdy, ale wielu odwróciłoby się od ołtarza, otrzepałoby zmarznięte kolana i poszłoby sobie. Szukać. I pewnie znalazłoby. Nie tu, to tam. Nie tak, to inaczej. Metodę taką albo inną wypróbowałoby. Niech ręka Pańska broni cię, Emilko, żebyś myślała o takich sposobach niebożych, ostrzegał Bobik swoją żonę.

I dziękował Bogu za wszystko, za wszystko, co miał, i za wszystko, czego nie miał. A nie miał ani dziecka, ani własnego mieszkania, ani samochodu, ani rodziny w Ameryce, alleluja, chwalmy Pana, bo jest wielki, a Jego miłosierdzie trwa na wieki.

Wuj Bobik był pulmonologiem. Lekarzem od oddechów. Badał jednak nie tylko ludzkie wnętrza.

W pewnym momencie, Aniela nie pamięta, w którym, bo może tak było od zawsze, a przecież jej pamięć była krotkonoga i krotkoreka, stał się specjalistą od tchnień Ducha Świętego. I nie mówił inaczej, jak:

poczułem w sobie Bożą łaskę, oddech Ducha Świętego w sobie poczułem, i już wiedziałem, Emilko, że musisz nosić spódnice, wyłącznie spódnice, ale tylko długie, bo mam, Emilko, dar rozeznania, dar poznania i dar proroctwa, i miałem wizję, i widziałem Matkę Bożą, piękna była i szeptała, skromność, Bobiku, skromność. I zrozumiałem, że masz ubierać się tylko w spódnice, ale długie. I masz nosić włosy, ale tylko długie. Masz stać się skromna jak Matka naszego Pana, alleluja, bo Jego imię jest ponad wszelkie imię.

Ciotka Emilka wiedziała, że z Duchem Świętym nie ma dyskusji. Spuszczała głowę z ciągle za krótkimi włosami i przyjmowała wszystkie objawienia Bobika. A było tych widzeń, proroctw, tajemniczych, niezrozumiałych słów, pełnych charczących albo zgrzytających dźwięków lub fraz, całe mnóstwo. Wuj rozmawiał z Duchem Świętym częściej niż z Emilką.

Porozumiewał się z Nim po swojemu, w anielskim idiolekcie zrozumiałym tylko dla Trzeciego z Tercetu Osób Boskich.

Matka Anieli zachwycała się Bobikiem nieustannie. Lecz ojcem chrzestnym młodszej zrobiła go, zanim stał się przybocznym Ducha Świętego. Wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, zachwycał ją tym, że w spoconych dłoniach ukrytych w kieszeniach lekarskiego fartucha zawsze nosił różaniec. I to było według niej bardzo odważne, bardzo głębokie świadectwo wiary, bo ty też mógłbyś czasem wziąć różaniec do pracy, zamiast robić nie wiadomo co, nie wiadomo z kim, mówiła matka ze świszczącą pretensją do ojca.

Później, kiedy uścisk wuja Bobika na różańcu rozluźnił się tak, jak rozluźniła się



polityczna rzeczywistość, która pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła nabierać demokratycznych rumieńców, rumieńców niepokojąco gruźliczych, wuj Bobik otworzył się. Boże mój, jak mocno otworzyłem się na działanie Ducha Świętego, na Ducha Świętego się otworzyłem, mówił kątnie i pokątnie. W pracy, właśnie w pracy opowiadał - ale tylko niektórym, tylko wybranym - o przeżyciach, o dotknięciach, o Duchu Świętym, co wuja za pomocą metafizycznej pulmonologii poruszał. A matka otwierała swoje martwe usta i przy zdrowąmariołaskiśpełnapanastobom wszystkie słowa Bobika przyjmowała za prawdę, słuszną, niepodważalną, jedyną.

Aniela unikała Bobika. Zwłaszcza później. Po tym, jak Marta odeszła, jak ojciec odszedł, a ona sama z matką wyszywała krzyżkowe hafty codzienności.

Odmawiała wizyt w domu chrzestnego. Bo nie miała siły słuchać o wzruszeniach, poruszeniach, uzdrowieniach. Kiedy jednak matce udało się czasem Anielę zmusić do oglądania spódnic ciotki Emilii i opętanych wiarą oczu Bobika, Aniela, siedząc przy stole, dłubiąc w babeczkach z bitą śmietaną, jak Tadeusz emigrację wybierała. Wewnętrzna. Bobik jednak nie zrażał się ani obojętnym duchem Anieli, ani jej bezduszną dla spraw charyzmatyków obojętnością. Przychodził do Anieli uparcie. Raz do roku. Nie w wigilię Wigilii, nie w wieczór przedrezurekcyjny, nie w urodziny Anieli, ani nawet w dzień świętej Anieli nie przychodził. Bobik celebrował wyłącznie Anieliną rocznicę chrztu.

Zaraz po maturze, w czerwcu, bo Anielę w czerwcu do Królestwa przyjmowano, znowu przyszedł.

I było tak, jak zawsze. Najpierw przyniósł chrześniaczcze medalik, na jej czole uczynił znak krzyża, później miejsce krzyża przypieczętował pocałunkiem ojcowskim, matkę poprosił o herbatę, do herbaty dostał ciasto.

Aniela siedziała przed Bobikiem. Ten zaś po kurtuazyjnych pytaniach, jak matura, jakie studia, może teologia na KUL-u (nie chcę bardziej zwątpić, myślała Aniela), choć nie, dodawał po chwili, pewnie języki obce (wynieś się po angielsku, myślała Aniela), a może nauki ścisłe (tylko siła grawitacji sprawia, że siedzę przed tobą, myślała Aniela), zmieniał temat i opowiadał o tym, co w jego wspólnocie, świadectwa innych powtarzał, że znaleźli Jezusa, że On żyje, że zwyciężył. Aniela, podnosząc z trudem oczy znad herbaty, rzucała w stronę Bobika, kogo lub co zwyciężył Jezus, pytała, nie patrząc na matkę, karcącą ją wzrokiem jak Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba niewiernych.

Ale Bobik głupi nie był, już nie kontynuował, już nie ciągnął opowieści z życia charyzmatyków wziętych, odkładał rozmowę z Anielą na następny raz, przestawał rzucać perliste historie przed Anielę, której po kilkunastu minutach rozmowy świński ryj wyrastał. Wspominał tylko jeszcze, cierpliwie, choć z fanatyczną iskrą w oku, że może Aniela na rekolekcje by pojechała. Bo on widzi, już nie tylko jako lekarz, ale też jako przyjaciel rodziny, a co najważniejsze - jako ojciec chrzestny Anieli, że ćwiczeń jej brakuje, duchowego fitnessu, nacierania duszy balsamem Pana Boga, maseczek regenerujących Ducha Świętego, bakteriobójczych kąpielii w zawieszynie glosolalii, biczów wodnych z różańców.

Matka w tym momencie wychodziła z pokoju, do kuchni uciekała, nie wiadomo, czy ze wstydu, czy z niecierpliwości. A Bobik szybko dodawał, matka się martwi, z domu wychodzisz, dokąd, Aniela (do dekaefu), czego tam szukasz, Aniela (pereł dla wieprzy). Mówił też, matka się skarży, że nie rozmawiasz z nią, że się zamykasz, że głowy spoza okładek książek nie wyjmujesz, Aniela, mówił wuj Bobik, źle szukasz życia, upił łyk herbaty, zamyślił się, mamrocząc pod nosem coś niezrozumiale, a później poszedł z Anielą na mszę w jej intencji, na mszę do Białego Kościoła.

- Dlaczego przynosisz mi ciągle medaliki? Wciąż takie same - zapytała Aniela, kiedy stali na wale po eucharystii. Aniela patrzyła na miasto. A później na dziedziniec. A później na sam wał. W tym miejscu wiele lat temu biegała razem z Połą. Ale Poła umknęła w inną stronę...

-A co?

- Nic. W mojej szufladzie wala się już trzynaście takich samych medalików.

- Chciałabyś inny?  
- Nie. Proszę cię, nie.  
- Matka powiedziała mi kiedyś, że nie wierzysz, że jesteś ochrzczona. Bo nie masz medalika. Bo nie znalazłaś fotografii z chrztu. Nie mam takiej fotografii. Ale mam medaliki.  
- Mnożą się w twojej kieszeni, wujku?  
- To cudowny medalik św. Katarzyny Laboure.

- I?  
- Od trzynastu lat przynoszę ci takie same medaliki, a od wielu lat na twojej szyi widzę wciąż te same wytarte rzemyki.

- Nie przynoś mi ich więcej. Nigdy więcej.

Bobik spojrział na skrzyżowanie.

- Czy ty jeszcze wierzysz? - zapytał.

Aniela spojrzała na jego twarz. Postarzał się, pomyślała. Wpatrzony w hałaśliwą miejską przestrzeń, wpatrzony bezmyślnie, a może myślnie, wyglądał bardziej jak zatroskany ojciec niż wuj charyzmatyk.

- Od trzynastu lat, tak długo, jak przychodzimy razem do tego kościoła, nigdy nie widziałem...

- ...żebym była u spowiedzi i u komunii?

- Właśnie.

Aniela dotknęła jego dłoni. Czule.

- Popatrz - kiwnęła głową w stronę sygnalizacji świetlnej. - Wciąż czekam. Stoję na czerwonym świetle.

- Kiedy ruszysz?

- Pozdrów ciotkę Emilię.

Aniela ruszyła w stronę domu. Drogą przez mężczyznę. Kiedy mijała Spodki, jakaś para, ona i on, całowała się, tak po prostu, może z miłości, może z pożądliwości, a może z nudów.

Wtedy jednak, któregoś wczesnojesiennego popołudnia, przed nadchodzącym sezonem zmultiplikowanych rajstop i barchanów pod spódnicami do pół łydki, w parku, kiedy Aniela, siedząc na trawie, masowała bolące, rozrastające się mięśnie kolan, mała Aniela też widziała parę, zobaczyła swojego ojca całującego inną, ujrzała jego ręce biegające po plecach i po szerokich biodrach kobiety, niespokojne ręce, te same ręce, które przed każdym posiłkiem czyniły znak krzyża.

Znowu, pomyślała Aniela, spokojnie przyglądając się ojcu. Bo już nic nie mogło wyprowadzić jej z równowagi, nic nie mogło jej zaskoczyć tak jak to, co widziała niedawno, całkiem niedawno. Było rano, całkiem rano, matka wybierała się na dyżur, pakowała swoją torbę, jakieś kanapki pakowała, jakieś kanapki Anieli robiła, tylko po co, mamo, i tak ich nie zjem.

Matka jednak nie słuchała i wpychała plastry sklepowej padliny między kawałki chleba, później zawijała je w papier śniadaniowy, którego Aniela nie miała prawa wyrzucić przed upływem tygodnia. Kiedy tak krzątała się po kuchni, popychając zaspaną Anielę, poszturchując ją, pohukując na nią, zmywając szklanki, sprzątajac ze stołu, nagle pośród bałaganu porannego, pośród porannej krzątaniny znalazła klucze ojca. Od domu. I padł szybki rozkaz, zanieś je ojcu do hotelu, ja już nie zdążę, więc ty przed szkołą pójdziesz do niego, nie wymiguj się, to nie jest daleko, no, marsz! Masz tu wszystko, idź, dziecko, cholera, idź szybciej, bo zanim dojdiesz do hotelu, on wróci do domu i klamkę pocałuje, już, już. Matka wypchnęła Anielę z domu, zamknęła drzwi i pobiegła w stronę przystanku, na autobus, co ją do szpitala zawoził.

Aniela powoli szła w stronę hotelu.

Lewa-noga-powoli, prawa-noga-powoli.

Tornister objął chude plecy Anieli.

Przeszła przez skrzyżowanie, przelazła na światłach przez ulicę i chodnikiem z

płytami ułożonymi tak krzywo jak zęby w jej gębie zmierzała do hotelu „Promenada”. Kiedy zatrzasnęły się za nią szklane drzwi, stanęła w pustym holu. Rozglądała się. Nikogo nie było. Ojciec powinien siedzieć w recepcji. Jak zwykle. Zawsze w niej siedział, bo znał języki obce i z gośćmi how are you, wie gehfs Ihnen i zdrowstwujiie druzja, priglaszajem dalsze gaworzył, trutututu majtki z drutu.

Powinien być w recepcji.

Tato, zawołała Aniela, gdzie jesteś? Najprzystojniejszy ojciec świata, tak mówiły wszystkie koleżanki, co powtarzały słowa swoich matek, powinien być właśnie, kurwa, tutaj, pomyślała Aniela.

Ale ojca nie było. Jego klucze od domu cicho siedziały w saunie z dłoni Anieli.

Nie zatrzymywana przez nikogo, weszła schodami ubranymi w bordowy chodnik na pierwsze piętro.

Sto jeden, sto dwa, sto trzynaście. Wszystkie numery puste. Wszystkie zamknięte. Zatrzymała się dopiero przy sto czternaście, z którego dobiegało znajome stękanie, podobne do tego, które dobywało się z piersi ojca, kiedy swoje ciężarki podrzucał. Więc Aniela pomyślała, że on siłownię ma nawet w hotelu, o rany, nacisnęła klamkę, żeby mu klucze oddać i iść do szkoły, bo za pół godziny lekcje miały się zacząć.

Aniela stanęła w drzwiach.

Znieruchomiała.

Ojciec ćwiczył na jakiejś kobiecie.

Jego nagie plecy i pośladki podskakiwały na żeńskim odwłoku. Góra-dół. Góra-dół. Ojciec-bliżej. Ojciec-dalej. Dupa-ojca-niżej. Dupa-ojca-wyżej.

I sapanie, i stękanie. Jak przy zatwardzeniu.

- Klucze przyniosłam - powiedziała. - Żebyś klamki nie pocałował - dodała.

Rzuciła pękiem otwórzdrzwijów w stronę ojca i tej drugiej, rzuciła, nie celując, nie patrząc, ale chyba kogoś uderzyła, komuś przywaliła, ktoś dostał, może panna, a może ojciec. Trzasnęła drzwiami numer sto czternaście i pobiegła w stronę szkoły. Nie dobiegła.

Zatrzymała się przy garażach. Usiadła na kamieniu.

Za garażami przeczekała lekcje. Przerzycała. Ulepiła z gum do żucia łeb ojca, napluła w niego, utopiła w błocie.

Matce nic nie powiedziała, bo i po co, bo i kogo to obchodzi.

Dziwka była sprawą Anieli i ojca.

W domu ojciec długo unikał młodszej córki. Albo zamykał się w pokoju balkonowym, albo chował głowę z raną na skroni w telewizorze. Albo wychodził do sąsiada.

Po tygodniu podwyższył Anieli kieszonkowe. Kiedyś zrozumiesz, dodał cicho, wypłacając jej jakieś pieniądze, zrozumiesz, kiedy sama zrobisz to samo, dodał i pogłaskał ją po głowie. Chwilę później zamknęła się w łazience, żeby wyszorować włosy szamponem pokrzywowym, nigdy nie zrobię tego samego, nigdy nie zrobię tego samego.

Po Tadeuszu nie myła ani rąk, ani włosów. Choć wiedziała, że powinna, bo jej grzeszna (była pewna, że grzeszna) miłość (nie była pewna, czy miłość) śmierdziała jak poranny oddech Totalnego.

- Dlaczego go zdradzasz? - zapytał któregoś popołudnia po raz kolejny Tadeusz.

- Już pytałeś.

- Nie odpowiadałaś.

- To proste - Aniela włożyła podkoszulek. - Pasujemy do siebie jak alleluja do kolędy.

A ty... Uwiodłeś mnie, a ja pozwoliłam się uwieść.

- To fragment psalmu, katoliczko - uśmiechnął się Tadeusz.

- To fragment życia, heretyku - odpowiedziała Aniela. Znowu zaczęła wygryzać skórki. Na jej palcach, przy paznokciach, pełno było ran, zadr, drobnych strupów.

- On cię nie uwodził?

- Zwodził.

- Zostaw palce.

- Nie zostawię. To pomaga.
- W czym?
- Nie zrozumiesz.

Bo Tadeusz nie pojąłby, że Aniela spod palców, spod paznokci, razem z paznokciami wygryzała odrastające nerwowo skórki poczucia winy, a kiedy czasem niechcący, nieopatrznie wżarła się za głęboko, wysysała z siebie smakujący krwią strach.

- Nie powiesz mu, prawda? - zapytała, wychodząc w ciemność.
- Nie powiem.

- Właściwie - zatrzymała się jeszcze na chwilę w progu, już nie łaknąca dotyku, już nie pragnąca spojrzenia, już zaspokojona - właściwie dlaczego zmieniłeś wyznanie?

- Zerwałem się z łańcucha. Wierzę, że Wielki Hycel nie jest katolikiem.
- W co jeszcze wierzysz?
- W nikogo i nic nie wierzę. Jestem kundlem.

Mieszkam na wysypisku. Unikam spotkań z Wielkim Hyclem. On mnie nie zauważa, ja nie drażnię go swoją obecnością. Od lat obwąchuję różne doktryny i systemy wierzeń, sikam z podniesioną nogą na te gorsze. Na katolicyzm leję od bardzo dawna...

- uśmiechnął się. - Jutro wyjeżdżam. Z matką chyba już nie będzie lepiej. Ojciec radzi sobie jakoś. Mój brat nie znalazł dla mnie wiele czasu.

- Widzieliście się?

- Dwa razy. Próbował mnie nawrócić. Zaproponowałem mu wódkę. Nie chciał ze mną więcej rozmawiać.

- A my? Zobaczymy się jeszcze?
- Nie.

Aniela wyszła z hotelu.

Twarz-Tadeusza-bliżej. Twarz-Tadeusza-dalej.

Rozplakała się dopiero u Poli. Powiedziała jej wszystko. Pola nie powiedziała nic.

Aniela mówiła.

Pola patrzyła. Aniela wreszcie skończyła.

- Odezwij się - poprosiła, ale Pola siedziała oniemiała.

Jerzyk zajrzał do kuchni, na chwilę pokazał kolce krótkich włosów, wszystko w porządku, mam nadzieję, wyszeptał, pomodliliśmy się bez ciebie, dodał do Poli, wyjdę jeszcze z Kretą, osmyczył dobermankę i wyniósł się z domu. Trzech synów już spało.

Pola pogłaskała się po brzuchu.

- Znowu? - Aniela zapytała krótko.

- To jelita, nie jestem w ciąży - Pola zaprzeczyła.

- Zresztą to nie byłaby tragedia.

- Nie szukam usprawiedliwienia - wyjaśniła Aniela, nie słuchając Poli.

- Nie mogłabym cię usprawiedliwić. Mogłabym - dodała, podchodząc do Anieli i głaszcząc jej krótkie jak Jerza włosy - nieważne...

- Ważne. Powiedz.

- Poproś - uśmiechnęła się Pola.

- Proszę.

- Czekałam.

- Na co?

- Kiedy to zrobisz.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz. Twoje małżeństwo nie jest normalne.

- A moja ślepotą jest normalna? Oślepiam, Pola.

Wdałam się w romans z bratem męża - rozplakała się Aniela.

- To kurza ślepotą. Za chwilę przejrzysz. I zrobisz swoje.

- Co?

- Nie powiem ci.

Wrócił Jerzyk, dobermanka otrzepywała się gruntownie w przedpokoju. Aniela usiadła obok psa, spróbuj tak się otrzepać, suko, szepnęła cicho do siebie.

Ale tylko siedziała i patrzyła na Krete, jak to możliwe, że Poli udało się, a mnie nie, o co chodzi, co straciłam, co przegapiłam, czego nie zrobiłam, do spowiedzi nie chodziłam, za mało się za męża modliłam, źle mu gotowałam, za rzadko dupy dawałam, spotkania święte jego, kyrieielejson, olewałam, z Ducha Świętego drwiłam, glosolalii nie rozumiałam, języka aniołów się nie nauczyłam, a powinnam, bo ludzka mowa do męża mego nie dociera; teściowej nie lubiłam, zmoreę Barbarę „panią” nazywałam, dziecku memu przykładu dać nie umiałam, zdradzałam, bo chciałam, ale bądź miłościw mnie grzesznej, bo winy wielkiej nie czuję.

Siedziała tak Aniela na podłodze w Poli przedpokoju, jak prądem rażona, jak poparzona, bez mocy, bez siły, no spróbuj, powtórzyła, może ci przejdzie, otrzep się, dodała.

Otrzepała się. Nie przeszło.

Próbowała zawiązać oliwkowe martensy bez cholewek, ale sznurówki plątały się między jej poranionymi palcami. Smarki zalepiały nos Anieli, łzy jej ciekły, nie chciała jednak wracać do domu, choć w domu czekała na nią Marysia. Ale w domu był też on, był Totalny z różańcami pretensji, z litaniami wymówek, z suplikacjami podejrzeń.

- Aniela - powiedział Jerzyk.

- Tak?

- Wszystko w porządku? Trafisz do domu?

- Lepiej iść do domu żałoby niż do domu, w którym uczują - odrzekła Aniela, bezmyślnie powtarzając ostatnie z usłyszanych prorocत्व Krysi.

- Odwiozę cię.

Ale Anieli już nie było.

Schodziła z trzeciego piętra ze sznurówkami, które ciągnęły się za nią jak mieszkańcy Jerozolimy i Judejczycy za Nauczycielem.

Totalnego nie było. Marysia spała, matka Anieli, wbita w fotel, drzemała z jakąś książką pod pachą.

Aniela przyjrzała się obwolucie. Brandstaetter, Jezus z Nazarethu, tom drugi: Jezus. Obudzona szelestami, szybko wyjaśniła, że Totalny zadzwonił do niej dwie godziny temu, powiedział, że matka się obudziła, więc on, syn drugorodny, Jakub umiłowany, z Tadeuszem, wrażliwym Ezawem, do szpitala musi jechać.

- Płakałaś - zauważyła matka.

- Chcę odpocząć. Zamknę drzwi - odpowiedziała Aniela, bo nie chciała matce wyjaśniać ani przyczyn, ani skutków. Tego - Co Się Stało.

A kiedy przekręcała zamek w dźwiękoszczelnych drzwiach, szepnęła, proszę Cię, spraw, żeby tylko nie kołatał w moje drzwi zbyt głośno, a chociaż nie chcę mu otwierać, i tak będę musiała, i głos jego usłyszę.

Przyszedł przed północą. Aniela w tym samym fotelu co matka siedziała, bez Jezusa pod pachą, w sznurówkach rozwiązanych siedziała, w butach siedziała, na męża czekała. I tylko przeczuwała, że będzie gorzej niż wtedy, kiedy gwałcił ją tylko słowami.

- Matka obudziła się - szepnął Totalny, a później zdarł z Anieli ciężkie martensy i trochę lżejszą resztę, bo nie lubił żony odzianej, a ona mu pozwoliła, jak na rzeź prowadzona. A później nie wysłał jej do łóżka, bo zazwyczaj wysłał (wchodziła pod kołdrę krętymi jak jelita drogami, byle dłużej, byle dalej, byle nie dojść), tylko wziął Anielę jak kozę, od tyłu, na podłodze, nie dotykając jej, nie oplatając jej talii kleszczowym uściskiem, i wykołatał ją, a kołacząc, mówił cicho (bo pamiętał, że dziecko śpi, lulajże, dziecino), że matka jego otworzyła oczy i usta też otworzyła, i lewą rękę trochę, troszeczkę podniosła, i Totalnego pobłogosławiła, a na Tadeusza tylko patrzyła, patrzyła, a później ręką machnęła, więc Totalny z Tadeuszem odeszli.

A kiedy wracali, schodami schodzili (jakie to dziwne - padła dygresja - że nie ma wchodów, co? do wchodzenia też służą schody), Tadeusz zatrzymał Totalnego między

onkologią a gastrologią i powiedział wprost, bez ogródek, teraz sobie zasłużyłem. Totalny nie wiedział, na co mógłby zasłużyć Tadeusz, więc zapytał, bo kto pyta, nie błądzi, sama wiesz, kochana, znasz to przysłowie, bo dużo wiesz, książek - teraz będzie głębiej, czujesz, jak głęboko? - dużo przeczytałaś. A Tadeusz odpowiedział Totalnemu, że na miano Pizdeusza po wielu, wielu latach wreszcie zasłużył. Totalny uniósł brwi, znasz to moje brwi uniesienie, zamknij się (pouczył Anielę, dysząc), a on powiedział, żonę twoją, z uśmiechem to mówił, w ostatnim czasie jak świeży boczek rznąłem, chcesz wiedzieć, ile razy? Totalny chciał, a kiedy dowiedział się, Pizdeusz dodał jeszcze, że było Anieli z nim bardzo dobrze, a kiedy ci dobrze, kiedy masz dreszcze orgazmu (dowiedziałem się, że miewasz czasem orgazmy), podobno, sztuko mięsa wędzonego, płaczesz z rozkoszy. Co, dziwko, płaczesz? Dobrze ci? To już?

Tak wygląda twój orgazm, przymknij się, bo moje dziecko wystraszysz. Wołałaś protestanckiego chuja od własnego, osobistego, katolickiego, wciąż cię pragnącego? Wystarczy, klepnął Anielę po plecach.

Zostawił żonę na oścież otwartą i won, szepnął, i spuścił się na jej sznurówki.

A później powiedział, posprzątaj, i wyniósł się do najmniejszego pokoju.

Nastala długa cisza. Mijanie się w drzwiach. Na „dzień dobry” nieodpowiadanie.

Wspólnych posiłków unikanie. Zostało tylko oględne komunikowanie się w sprawach Marysi.

Właśnie wtedy, w czasie postpizdeuszowej ciszy, Aniela dłużej musiała zostać w szkole. Wtedy poprosiła Totalnego, by Marysię z przedszkola odebrał.

Odebrał i przy dziecku próbował zrobić pogrom złych duchów siedzących w Anieli. A Aniela rozgromiła święte zgromadzenie. I do szeptuchy pojechała.

Totalny nie chciał jej ciała przez sześć miesięcy.

W ciągu sześciu miesięcy Aniela ani razu nie była w kościele.

Później cisza się skończyła.

- Wybaczyłem ci wszystko. Przeszedłem uzdrowienie wspomnień.

I pocałował Anielę w czoło.

Ojciec całował parkową pannę nie tylko w czoło.

A później robił z nią to, co Aniela z Pizdeuszem.

Tamtego wieczoru, kiedy widziała ojca z panną w parku, przy kolacji patrzyła na rodziców z wyższością. Znowu miała wiedzę, tę samą wiedzę, która pozwoliła jej poniżyć Połę zimnym „poproś”. Patrzyła na matkę zbierającą talerze po kartoflanej zapiekance z burakami i skrawkami boczku. Patrzyła na ojca czytającego gazetę.

- Gdzie byłaś tak długo? - zapytała matka.

- W parku. Jeździłam na rowerze.

- Zmęczyłaś się? Pewnie biodra cię rozboleły?

- Jeźdź, bo nie mogę biegać, przecież wiesz.

Oczy ojca zaczęły biegać szybciej niż nogi Anieli.

Schował je za szybkami okularów i za okiennicami gazet.

- Spotkałaś kogoś? - matka przerzucała resztki na brudny talerz.

- Spotkałam.

- Kogo?

Aniela spojrzała na ojca.

- Połę tylko widziałam. Ale to przecież żadne wydarzenie, co nie?

- Co u niej? - brzęk, brzęk, matka talerzami, szur, szur, matka do kuchni.

- W porządku.

- Ten jej nowy ojciec...

- ... ojczym, mamó, ojczym...

- ...no mówię, ojczym, co niedziela w kościele, na sumie, zawsze na sumie, zajmuje miejsce w pierwszej ławce, a śpiewa - mój Boże, jak anioł. Jak zagrzmie U drzwi Twoich stoję, Panie, to - no mówię - aż się chce te drzwi, pod którymi stoi, otworzyć! Gdzie ona, znaczy matka Poli, takiego znalazła?

- Na pielgrzymce.

- Żartujesz?

- Nie - Aniela dłubała w półmisku z zapiekanką. Spoglądała na ojca. Wybierała buraczki.

- Na jakiej pielgrzymce? Słyszysz? Na pielgrzymce! - zwróciła się do ojca.

- Słyszę - mruknął, nie podnosząc głowy.

- Na zwykłej. Do Częstochowy. W dodatku autokarowej. Ten nowy jechał w intencji dobrej, pobożnej żony, żeby ją w końcu znalazł i w ogóle. Bo to stary kawaler był. A matka Poli, Pola tak mówi, pojechała podziękować Panience, że jej starego zatłukło i że ma spokój. I się spotkali - sok z zapiekanych buraków kapnął z brody Anieli na sprany obrus.

- Aniela!

- Co?

Ale matka już nie słyszała. Już zmywała. Zmywała w kuchni.

- Widziałam cię - powiedziała cicho Aniela.

- Gdzie? - ojciec uniósł wysoko brwi. Z trudem wychodził z bagna informacji, które wysyłało go każdego popołudnia, każdego wolnego wieczoru.

- Dziś. W parku. Widziałam cię. I ją.

- Naprawdę? - zapytał, rozciągając chwilę tak, jak Aniela rozciągała paluchami wyjmowane z buzi, zżute i szare od brudu donaldówki. Długo przeciągał nadejście kolejnej chwili, kolejnego momentu, w którym musiał coś odpowiedzieć. Jakoś zachować się.

- Naprawdę.

- I co widziałaś? - padło kolejne pytanie, kolejna retardaqa konfrontująca wiedzę Anieli z wiedzą i czynami ojca.

- Wszystko.

- Co to jest wszystko?

- To, co robięś.

- A co robiłem?

- To, co wtedy. Albo prawie to, co wtedy. Albo chciałeś tego, co wtedy. Tego, czego nie robisz z matką.

- Co ty wiesz! - odpowiedział z pogardą, wydymając usta. Mięsiste wydmuszki obleczone spierzchniętą skórą. Aniela brzydziła się samą myślą o tym, że kogoś mógłby całować.

- Wiem. Ale wiedza to nie grzech. A to, co robisz, to grzech.

- Siedź cicho.

- Jeśli zechcę.

- Zechcesz.

- Skąd wiesz?

- Kieszonkowe. Potrzebujesz?

- A jak sądzisz?

- Ile?

- Więcej.

- Nie masz żadnych uczuć. Dla mnie nie masz żadnych.

- Mam. Córewskie. Tato.

Matka przyniosła herbatę i dzemoladowy placek.

Ojca znowu wessały gazety. Aniela zaczęła oszczędzać na nowy rower. W SKO. Składki oddawała wychowawczyni w każdą środę.

Totalny też oszczędzał. W pierwszym tygodniu każdego miesiąca Totalny zabierał Anieli całą pensję.

Bo oszczędzał.

Zabierał jej wszystkie pieniądze, bo mówił, jestem głową rodziny, powinienem mieć kontrolę nad naszymi finansami, nad naszymi wydatkami, bo jestem głową rodziny, powtarzał, zapamiętaj to sobie dobrze, jak u Pawła, jak u świętego Pawła, jak w liście do Efezjan, żony niech będą poddane swoim mężom, jak Panu, bo mąż jest głową żony.

Pieniądze zabierał za pomocą Metody. Założył w banku wspólne, czyli swoje konto. I wszystkie pieniądze Anieli, według pisemnych dyspozycji, wędrowały właśnie na Jego Wspólne Konto.

- To najlepsza Metoda, żeby oduczyć cię rozrzutności - wyjaśnił.
- A jestem rozrzutna?
- Zawsze możesz stać się.

Później Aniela wydała swoje dyspozycje. W pracy pozostawiła pismo, w którym zdecydowanie rezygnowała z przesyłania pieniędzy na konto bankowe. Będę odbierać je osobiście, chować w najgłębszej kieszeni, aby nie skamlać, aby nie prosić, aby zachować resztki godności; że się obrazi, trudno, przejdzie mu, chciała w piśmie dopisać, ale nie dopisała.

Oskarżył ją, że nie chce budować z nim katolickiej wspólnoty.

- Nie muszę budować z tobą wspólnoty - powiedziała po drugiej utracie ciąży Aniela, zrzucając futro emocjonalnej obojętności.

- Musisz.

- Nie muszę, bo nie chcę.

- Nawet nie wiesz, że chcesz.

- Wiem, że mnie nie kochasz. Posiadasz. Eksploatujesz, ale nie kochasz.

- Ty także mnie nie kochasz. Miłość to nie wszystko. Są zobowiązania. Czuję się za ciebie odpowiedzialny. Od pierwszej twojej ciąży czuję się za ciebie odpowiedzialny. Poza tym nie możesz narobić mi wstydu. Wiesz, co pomyślałby Andrzej i reszta?

- Nie obchodzi mnie to, co pomyślałby twój przyjaciel. Za moje pieniądze także czuleś się odpowiedzialny?

- Chciałem nauczyć cię finansowego rozsądku.

Nie udało się.

- A teraz czego chcesz mnie nauczyć?

- Teraz czekam, kiedy się przełamiesz.

- Od dawna jestem przełamana. Na pół.

- Kiedy religijnie się przełamiesz. Czekam.

- Nie doczekasz się.

- Poczekam.

- Dlaczego?

- Bo to ciekawe - Marta zakonnica, Aniela sekutnica. Myślę, że zmienisz się. I to niedługo. Chciałbym być wtedy blisko.

- Mogę odejść.

- Dokąd?

- Do matki.

- Utrzymuję cię.

- Siebie utrzymujesz. I swoje mieszkanie.

- To prawda. Ale chciałaś tego, chciałaś mieć oddzielne pieniądze? Masz. Kosztem wspólnoty małżeńskiej, ale masz. Na co je wydajesz? Na książki.

A poza tym daję ci dużo, bardzo dużo spokoju. Inne skaczą wokół swoich mężów, żony poddane im, posłuszne. Ale tego cię nie nauczyłem. Ani poddaństwa, ani posłuszeństwa. Choć próbowałem. Nie łączy nas miłość, lecz wygodny układ. A ponieważ jest to obustronny układ, Aniela, nigdzie nie pójdziesz.

- Pójdę.

- Zostaniesz. Zapłacę ci.

- Chcesz mnie kupić?

- Potrzebujesz pieniędzy.

- Nie jestem tania.

- Stać mnie na ciebie.

- A warunki?



- Obiecay, że nie odejdziesz. I że będziesz sypiać ze mną.
- Znowu mnie zapłodnisz.
- Zaczynj łykać tabletki.
- Łykałam. Nie mogę.
- Łykałaś? I nic mi nie powiedziałaś?
- Nie powiedziałam.
- Trudno. To ja w takim razie będę uważał. Zgadzasz się?
- Kim mam być w tym, jak mówisz, układzie?  
Marią Magdaleną nienawracalną czy Judaszem niezdradliwym?
- Kim chcesz.

Od tej rozmowy Totalny wpłacał na Anieline konto dodatkowe pieniądze.

I zrobiło się między nimi obco. Jeszcze bardziej obco. Im bardziej obco, tym lepiej, im dalej od siebie, tym bezpieczniej, im bardziej milcząco, tym spokojniej.

Kulturalnie i zimno. Bardzo zimno.

A kulturalnie było do momentu, w którym Marysia pojawiła się na świecie. Bo kiedy pojawiła się (a przecież nie powinna), Aniela straciła spokój, wygodę, pieniądze i całą resztę.

Wtedy Anielina pensja nauczycielska i to, co dostawała od męża, szybko zaczęło się kurczyć, boleśnie, jak zmęczona porodem macica.

- Brakuje - mówiła Aniela.
- Masz swoje - odpowiadał Totalny.

Aniela uciszała się.

Totalny uśmiechał się. Gestem dobrodzieja wyjmował drobne sumy, ileż bym zaoszczędził, kyrieelejson, gdyby was nie było, szumiał.

Bo nie obchodziła go Marysia, którą postanowił wychowywać twardo, nie rozpieszczając dobrymi a drogimi pieluchami jednorazowymi.

Wreszcie Aniela wkurwiła się wkurwieniem, nad którym mimo nauk Pawiowych zaszło słońce, że przecież ona już nie ma siły każdej nocy po dwanaście razy wstawać i przewijać obszczanego dzieciaka, wyłuskiwać go z mokrej tetry, i zażądała dodatkowych pieniędzy na pampersy, gwarantujące spokojniejszą noc niż noc z dzieckiem z krocem w bawełnę spowitym.

Ale Totalny nie chciał dać pieniędzy. Pracował coraz więcej, uciekał z domu, wracał bardzo późno, jednak nie na tyle późno, by Aniela w złości nie wykrzyczała, że jeśli tak ma być, to proszę bardzo, niech ci kto inny urodzi kolejne dziecko, bo ja nie zamierzam, bo jeśli tak to wygląda, że ja z dzieciakiem wieczory i ranki, i cały czas pomiędzy rankami i wieczorami, pomiędzy wieczorami i rankami, a ty wciąż w pracy albo w kościele, albo w łóżku oddzielnym, jak najdalej od tego, co jest obowiązkiem, to wara od mojego ciała, won!

I przestała z nim sypiać. I przestała się godzić najpierw na seks wspólny, który i tak zawsze był pojedynczy i dla niego. I wyniosła się do pokoju Marysi.

Miesiąc później Totalny zaczął dawać dodatkowe pieniądze (a przyjdiesz do mojego łóżka? przychodziła) na pieluchy jednorazowe, nie na te najlepsze, bo to przecież nie ma sensu, bo Maryśka i tak je obsra, więc opatentowałem sposób. Sposób na patroszańce, na zużyte pampersy po resekcji obsikanych przez Marysię wnętrzości. Wywalał z nich wszystko - zostawiał tylko zewnętrzną folię, w którą pakował tetkę.

I tak trzymał Maryśkę. I tak ją hodował. Z wierzchu pampersy, śliczne, ładne, z przyklepcami wielokrotnego użytku, a w środku pielucha bawełniana, wielokrotnie prana i prasowana przez Anielę, proszę, nie rób tego, błagała, bo przecież i tak muszę przewijać Marysię co godzinę albo i częściej. A tak bardzo chcę spać, tak bardzo chcę chwilę odpocząć od przysanego do mego ciała dziecka. Ale tego już nie słyszał, już go nie było, choć był, bo zamykał drzwi swojego pokoju i wchodził w świat swojej nauki.

Aniela znowu przestała dawać mu dupy. Na pół roku.

Totalny tęsknił za jej ciałem. Bo jakkolwiek był święty, w kościele ręce wznoszący, przed katoprzyjaciółmi ascetę udający, to skamlał o seks. Aniela odwracała się. Do czasu. Bo

przyszedł czas, że przestała się odwracać, ponieważ zaczęła kręcić karuzelą cielesnego interesu. Otwierała siebie od czasu do czasu i po prostu mówiła, że zrobi to, czego on chce (byle szybko, bo dziecko zaraz się obudzi), za tyle i za tyle. Zresztą taki był układ, pamiętasz, inaczej odejść.

Niczego nie bał się bardziej niż Anielinego odejścia.

I tego, że sprawę o alimenty mu założy, bo byłby to skandal równy jej odejściu.

Oprócz stałej kwoty zatem, którą wpłacał na konto Anieli, kwoty wyższej, bo na okoliczność Marysi trochę podniesionej, zostawiał Totalny Anieli dodatkowe pieniądze za nocne usługi.

Forsa miała leżeć rano na kuchennym stole, przy drewnianym pojemniku na chleb.

Leżała.

Kiedy Marysia robiła pierwsze kroki, Aniela zaczęła urządzać mieszkanie. Odłożyła pieniądze na nową sofę i na spacerówkę dla dziecka. Znosiła dumnie, nieustannie wzdęty rozporek Totalnego. Ale Totalny nieoczekiwanie znalazł przyjemność w takim uprawianiu seksu. Aniela poczuła strach. Zrobił się nieznośny. Z krótkimi przerwami na z Bogiem pojednanie i postanowienie poprawy, alleluja, pilnował, bardzo pilnie pilnował obowiązków Anieli, zapisywał każdy stosunek odbyty, stosunek zainicjowany i nie odbyty, a nawet swoją chęć stosunku notował i niechęć Anieli także. Jak kat buchalter. Bo tylko dzięki temu dostawał to, czego potrzebował. A zdradzać nie chciał. Bo po co, skoro już sobie wybrał, już sobie znalazł lalę do ujeżdżania.

Ustalił cennik.

Za wymianę okien w pokoju Maryski (wieje, prosto na łóżeczko dziecka wieje, nie mam gdzie go przestawić, proszę cię, mówiła Aniela) miesiąc oralnego z aneksem do umowy, będziesz mi to robić dwa razy dziennie, alleluja!

Wszystko jest na swoim miejscu. Jestem głową rodziny, alleluja, uspokajał siebie i żonę Totalny.

A kiedy Marysia skończyła dwanaście miesięcy, Aniela postanowiła wrócić do pracy.

- Powinnaś zajmować się domem i dzieckiem - usłyszała.

- Powinnam znowu zarabiać.

- Chcesz zarabiać w szkole? - roześmiał się.

- Męczy mnie twój oddech.

Aniela znowu zaczęła uczyć. Pokój, szczęśliwość, ale bojowanie byt nasz podniebny.

Wtedy kiedy zaczęła oszczędzać w SKO, nie miała w planach związku z patofilem.

Marzyła o nowym rowerze. O tandemie. Chciała nim pojechać do Marty i wykraść ją z klasztoru.

Bo nadzieję na powrót Marty Aniela straciła po swojej pierwszej i ostatniej wizycie w zakonie.

Z B. wspólnie z rodzicami jechała do Marty długo i powoli. Zima zasypała drogi.

Wiało. Ale mimo ostrej zimy ojciec postanowił wykorzystać przysługujące Marcie raz na jakiś czas widzenie z rodziną - taki był ojciec. Nikomu niczego nie odpuszczał.

Matce kazał zamienić się dyżurem. Była niedziela.

Toczyli się w milczeniu. Aniela siedziała na tylnym siedzeniu syrenki.

- Mamo, dlaczego Marta tam poszła? - zapytała Aniela, patrząc przez zaparowaną szybę na obsypane śniegiem pola.

- Nie wiem.

- A ona wie?

- Nie wiem.

Ojciec zapalił.

- Gdybyś nie popędzała jej do tych pacierzy, do tych koronek, nie poszłaby.

Studiowałaby medycynę albo psychologię. Podejście do ludzi ma po mnie, łagodność ma po mnie, poradziłaby sobie. Ustawiłaby się w życiu, ułożyłaby wszystko. Że katoliczka, to zaraz zakonnica? I jeszcze ta twoja matka. To przez nią - ojciec, kaszląc, wypuścił przez nos dwa

równe kłęby dymu, zawijające się jak schody na strych w domu babki. Matka w milczeniu sięgnęła po papierosa.

Odłożyła go po chwili. Nie umiała palić.

- Do niczego jej nie popędzałam - mruknęła cicho.

Aniela wędziła się w dymie sportów. Przeglądała w pamięci to, co zostało po babce, matce matki.

Babka miała na imię Jakuba. Była szóstą córką swojego ojca, szóstą córką, która miała być pierwszym synem. Swoim pojawieniem się zatrzymała czas. Kiedy jej ojciec, pradziad Grzegorz, zobaczył, że oczekiwany syn jest niechcianą córką - zemdłał.

Właśnie wtedy czas zatrzymał się. Na chwilę.

W tej krótkiej chwili zdążyła umrzeć Serafina, żona Grzegorza, a niechciana szósta córka zaczęła wrzeszczeć co sił w zdrowych, mocnych płucach.

W tej krótkiej chwili Grzegorz miał także widzenie. Ukazał mu się jego nieżyjący od piętnastu lat ojciec, stary Jakub, w prostej lnianej koszuli, z kijem w dłoni i z władzą w oczach. Ukazał mu się i rzekł donośnym, żywym głosem:

- Serafinę zostaw mnie. A imię tego dziecka Jakuba będzie.

Grzegorz ocknął się.

Pogrzebał małżonkę. A potem donośnym głosem i z władzą w oczach oznajmił uczestnikom stypy:

A imię tego dziecka Jakuba będzie. I tyle.

Babka Jakuba musiała uzbroić się w cierpliwość.

Musiała uważać na siebie. Mogły zabić ją biegunka albo zapalenie płuc, albo jakaś przypadkowa infekcja, katar choćby, spływający gęstą strugą po tylnych ścianach gardzieli, a wywołujący śmiertelne wówczas zapalenie oskrzeli lub, nie daj Boże, płuc. Ha! No i duch Serafiny mógł przecież przyjść którejs nocy po córkę, zabrać ją, wziąć do siebie, żeby przytulić i nakarmić niemowlę pełnymi mleka piersiami, które zalewały słodką siarą jej niebiańskie szaty.

Pradziad Grzegorz czekał równo rok z ochrzczeniem Jakuby. Najpierw obchodził (wewnątrz i na zewnątrz siebie) żałobę po żonie. Odbył pielgrzymkę do pobliskiego sanktuarium, w każdy piątek pościł w intencji duszy Serafiny, w każdą środę pościł w intencji swoich czarnych myśli, żeby Bóg je wybielił, wywabił ciemne plamy świętą sodą, żeby pozwolił Grzegorzowi bez niechęci, bez odrazy patrzeć na Jakubę. Od Wielkiego Czwartku do surrexit Christus, alleluja zupełnie nic nie jadł. Pił studzienną wodę. Studził swoją tęsknotę za Serafiną, która - gdyby się postarała, gdyby on, Grzegorz, dopomógł - mogła raz jeszcze zająć w ciąży i obdarować go potomkiem.

Męskim.

Codziennie odmawiał różaniec. W wolnym od pracy czasie, chociaż jego czas rzadko bywał wolny, ponieważ miotał się przy Grzegorzu na krótkiej smyczy wciąż nie wykonanych, wciąż nie dokończonych i pilnych obowiązków, gospodarskich obowiązków, wiadomo jakich; więc kiedy uścisk czasu na smyczy, a może raczej na łańcuchu, trochę się rozluźniał, Grzegorz strugał krzyże i trumienki. Trumienki najpierw były małe, potem coraz większe. Jedna trumienka na miesiąc. Zawsze na miarę Jakuby. Kiedy wreszcie w komórce zaległo dwanaście zbędnych trumienek, a Jakuba zaczynała chodzić, pradziad Grzegorz ochrzcił dziecko i przestał strugać trumny.

A imię tego dziecka Jakuba będzie. I tyle.

Aniela nie bardzo wiedziała, co działo się później.

Był jakiś mąż babki, jakiś dziadek Konstanty, od kiedy Aniela pamięta, martwy. Ojciec jej matki i dwóch siostr matki, pozbawiony męskiego potomka, dokładnie tak jak jego teść, jak Grzegorz, który wychowawszy córki i córki córek, w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia wpadł do podwórkowej studni i nie wiadomo, czy chciał wpaść do niej, czy też zdarzyło się to przypadkiem, ale babka Jakuba mówiła, że on, pradziad Grzegorz, w studziennej wodzie zawsze wyglądał, wypatrywał diabelskich oczu i zabraniał innym patrzeć

na dno. I może wypatrzone wreszcie, odnalezione między kręgami omszałej cembrowiny, śliskiej jak niewieścia pochwa, wciągnęły go te oczy, demoniczne oczy wciągnęły Grzegorza w sam środek wiedzy o tym, co jest, co zdarza się po śmierci. Bo przecież każdemu coś się zdarza. Każdemu względem wiary, mawiała babka Jakuba.

Był też dom babci, ten, w którym mieszkała niedaleko B., dom drewniany, prosty, ze schodami zawijającymi się jak papierosowy dym wypuszczany przez ojca nosem. Schody prowadziły na strych. Schody siwe, długie i zakręcone.

Strych nie był duży - choć w perspektywie XXL przybierał rozmiary zagraconej sali balowej - ale pełny: zastawiony bez logiki i bez porządku rupieciami przynoszonymi z dołu każdej wiosny, rupieciami, które w kibitkach tekturowych pudeł lub plastikowych toreb wędrowały na zesłanie. Mała Aniela często myszkowała między kuframi, zaglądała do ich wnętrza, penetrowała trzewia pudeł i skrzynek, odnajdując czasem zapomniane kosztowności. Foliowym torbom robiła cesarskie cięcia i uwalniała skarby. Później, zahipnotyzowana znaleźskami, wolnym krokiem zaobrączkowanej dzikiej kaczki sunęła w stronę światła rzucanego przez małe, połączone okno albo przez słabą żarówkę. I oglądała. Pocztówki, koperty listów, listy, wycinki z gazet, stare książki. Albo przedmioty. Kiedyś znalazła kołowrotek z wrzecionem, które wcale nie było takie niebezpieczne, głupi bazaru od Śpiącej Królowej. Aniela sprawdziła to na wszystkich palcach lewej dłoni. I od tego momentu postanowiła sprawdzać literaturę. To, co napisali, co wymyślili, co wydrukowali. Stąd pragnienie skrawków suszonej wołowiny i soku z gruszki.

Najbardziej fascynująca była jednak zabawa trumienkami. Bo Jakuba, po poślubieniu Konstantego, dostała od Grzegorza dwanaście trumienek. Następnego dnia po ślubie wezwała proboszcza, który poświęcił wszystkie kąty w ich nowym domu, w końcu ostatnią kroplą wody święconej również brzuch Jakuby, żeby wydał dobre, katolickie owoce. Wydał.

Potrójnie żeńskie.

W trumienkach, których Jakuba nigdy nie spaliła, Aniela urządzała pogrzeby lalkom robionym z mocno ugniatanych starych papierów. W zakurczonym, pokrytym niezakwaterowanymi pajęczynami pudełku po butach znalazła nigdy nie używane kosmetyki ciotki Ewy, najstarszej siostry matki, starej panny.

Matka co roku przywoziła jej na imieniny szminki, pudry, róże, kredki, cienie. Ewa odkładała je do pudła. Przed swoją przedwczesną - tak mówili wszyscy - śmiercią, dość nagłą i zaskakującą; śmiercią, którą trudno jednak nazwać zaskakującą, skoro ciotka przeczuwała jej nadejście, zapowiadane coraz częściej nakładanymi na głowę obręczami bólu, zaciskającymi się wciąż mocniej i mocniej na skroniach, a później już wszędzie, zaciskającymi się tak silnie, tak wulgarnie, że wycisnęły wreszcie rosnący na mózgu ciotki guz, wycisnęły go jak nieważny, mały ropny pryszcz, wycisnęły i sprawiły, że pękł i zabił Ewę, która kilka wieczorów wcześniej wyniosła na strych wszystkie swoje rzeczy, wśród nich nie używane (nie mam dla kogo się malować), nie rozdzwiczone próżnością kosmetyczne skarby.

Aniela malowała kruszącymi się szminkami celii, przeterminowanymi, śmierdzącymi łojem, uśmiechnięte buzie lalek, oczy, łzy, grymasy. Lalki żyły krótko, właściwie pojawiały się tylko po to, żeby za chwilę odejść, żeby znaleźć się w trumnie, żeby czekać na zmartwychwstanie, które następowało wtedy, kiedy Aniela znów przyjeżdżała do babki, kiedy wchodziła po cichu na strych, kiedy opróżniała pełne trumienki z papierowych lalek. Ekshumowała zbiorowe mogiły.

Zwłoki wynosiła co jakiś czas do krematorium pieca kuchennego.

W ten sposób Aniela macała tajemnicę śmierci. Ale wtedy na strychu niewiele wymacała. Śmierć wymykała się dotykowi jej palców. Tak jak Aniela wymykała się dotykiem pana Muchy, sąsiada, który czasem przychodził do ojca na piwo. I kiedy ojciec nie widział, Mucha dotykał Anielę palcem, grubym palcem kreślił na jej szyi podłużne linie, odgarniał jej włosy i czasem zjeżdżał palcem trochę niżej, a czasem jeszcze niżej niż niżej, ale nigdy za nisko. Bo ojciec był w pobliżu, a wszystko trwało tyle, ile trwało wyjęcie butelek piwa z

lodówki i zdjęcie z nich kapsli.

Po tym, jak ciotkę Ewę zabił wyciśnięty przez obręcz bólu guz mózgu oraz po tym, jak ciotka Agata, średnia siostra matki, wyszła za mąż za inżyniera konstruktora z Koszalina i w obręczy obrączki wyprowadziła się na Wybrzeże, postanowiono sprzedać dom babki Jakuby.

I sprzedano.

W pewnym momencie życia Anieli babka Jakuba zamieszkała z nimi, na czterdziestu kilku metrach kwadratowych. Aniela teraz przypominała sobie tylko zapach strychu i opchnięte razem z domem trumienki. Świat drewnianego domu spod B. bezpowrotnie minął.

Babka była zmęczoną życiem starą wdową, noszącą zawsze chustki na głowie. Wiązane pod szyją. Chustki codzienne, niedzielne, te ciepłe, zimowe, wśród nich bożonarodzeniowe, a później coraz lżejsze, coraz to oznajmiające światu, że Wielkanoc tuż-tuż. Nigdy nie wychodziła z domu bez chustki.

Pojawiła się na Gruntowej tak nagle, jak nagle odeszła, ze swoimi chusteczkami, chustkami, chustami.

To Marta, siedem lat starsza, siedem lat mądrzejsza i siedem lat ważniejsza, pamiętała babkę lepiej. Razem odmawiały codziennie różańce. Babka uczyła ją litanii - do Najświętszego Serca Jezusowego, do Imienia Jezus, Loretańskiej do Panienki Najświętszej, do świętego Józefa, do Wszystkich Świętych. Aniela lubiła tę do Wszystkich Świętych. Najbardziej. Kiedy babka i Marta klepały ją, wpatrzone w obraz Jezusa w Ogrójcu, oleodrukowego Jezusa, Aniela, leżąc w łóżku, przysłuchując się monotonnym zaśpiewom babki i siostry, dwupokoleniowemu duetowi wzmacnianemu czasem trzecim głosem, głosem matki, głosem uwolnionym z dyżuru w szpitalu, wtedy Aniela myślała, że jest wiele pięknych imion. Ale najpiękniejsze to Perpetua i Felicjta. P-e-r-p-e-t-u-a i F-e-l-i-c-y-t-a! Wtedy powzięła plan urodzenia bliźniaczek:

Perpetui i Felicjty. Urodziła Marysię. Pojedynczą.

Często babka z Martą szeptały. O czym? Aniela nie dowiedziała się. Chodziły na msze, nieszpory, roraty, gorzkie żale i drogi krzyżowe. Babka w chusteczkach,

Marta z chusteczkami. W kieszeni. Bo na modlitwach często płakała. I smarkała. Rzadko zabierały ze sobą małą Anielę. Płatała się, przeszkadzała, zadawała głupie pytania. Skąd wiadomo, że Bóg jest, skoro Go nie widać? I czy kat myśli, że Bóg wygląda jak kat?

I czy Adam w raju był od razu duży?

I jeszcze jedno Aniela pamiętała. Kiedy pod kuchnią z ohydny burym linoleum podsłuchiwała rozmowę babki i matki.

- On to robi od dawna - mówiła cicho matka.

- Nie możesz. To nie po katolicku.

- Chcę odejść. Albo niech on odejdzie.

- To twój krzyż. Nie możesz - skończyła dialog babka.

Ojciec nie przestał robić tego, co robił. Matka, która dźwigała krzyż, nie zrobiła tego, co zrobić chciała.

Pewnego wiosennego, bardzo wczesnego, niedzielnego poranka, kiedy pijany sąsiad śpiewał i grał cicho na bałajce (dlatego wszyscy mówili na niego Bałajka) Wychadła na bierieg Katusza, na wysoki bierieg, na krutoj, Aniela znalazła leżącą w przedpokoju babkę Jakubę. Miała siedemdziesiąt siedem lat. I dostała wylewu. Coś jej się wylało, rozlało, rozlało w ciele, w zmarszczonym, wysuszonym organizmie. Dwa tygodnie później umarła w szpitalu. Aniela płakała.

Po zmorze nie płakałaby. Ale zhora Barbara nie umarła. Choć powinna. Jakiś czas po wyjeździe Pizdeusza zaczęła z trudem wypowiadać pierwsze słowa. Powiedziała, że śnił jej się starszy syn, tak właśnie powiedziała: syn, bo przed udarem mówiła o nim albo wyrodny, albo heretyk, albo po prostu Tadeusz (najrzadziej). Powiedziała Mieczkowi i Totalnemu, którzy nad jej zmartwychwstałym łóżem zawiśli jak apsik na wargach niemowy, powiedziała, że śniło jej się, że jej starszy syn tu był, że przyjechał, że trzymał ją za rękę i mówił,

nienawidzę cię, powinienem powiedzieć: mamę, ale nie potrafię, nienawidzę cię. Tak stękała Barbara O Porażonych Ustach. Przeżona.

- To sen, mamę. Zły sen - odezwał się Totalny.

Mieczyk stał obok jak ubiczowany.

- Czasem mam prorocze sny - odpowiedziała z trudem.

I poprosiła, aby Tadeusza nie zawiadamiać o wylewie, bo nie ma o czym, bo już najgorsze za nią, za nimi, a ona, Barbara, nie chce, by jej sny materializowały się w ciemną materię synowskiej nienawiści.

- Dobrze - obiecał Totalny. Anieli zakazał mówić o jej z Pizdeuszem romansie, bo wiesz, dziwko, co się stanie, jeśli to zrobisz. To zabije moją matkę.

Tyle powiedział w czasie ciszy.

Później Barbara zaczęła rehabilitację. Uczyła się chodzić i trochę pisać. A kiedy przypomniła sobie, jak wykonuje się najprostsze czynności, zażądała, aby przyniesiono jej blejtramy, zestaw farb olejnych i komplet pędzli.

- To się czasem zdarza - powiedział lekarz prowadzący zmore. - To, co w mózgu całe życie było zamknięte, po wylewie, kiedy chory wraca do zdrowia, czasem otwiera się. Pana matka - zwrócił się do Totalnego - ma, jak widzę, talenty artystyczne.

Totalny, uspokojony, zabrał od doktora dzieła matki. Cztery wówczas obrazy. Wszystkie z obliczem Jezusa z całunu turyńskiego. Barbara namalowała ich dwadzieścia siedem. Później przestała. Znowu zaczęła gotować obiady. Najchętniej te niedzielne. Podśpiewując.

Kiedy umarła babka Jakuba, Bałałajka też śpiewał (Aniela podśpiewywała razem z nim). I grał co wieczór ruskie melodie.

Ciało babki wystawiono w przycementarnej kaplicy Białego Kościoła, chłodnej jak wnętrze studni, w której utopił się pradziad Grzegorz, choć chyba mniej oślizgłej. Aniela miała nie iść na pogrzeb, bo jesteś za mała, powiedział ojciec. Aniela jednak uparła się i poszła. Trzymając Martę za rękę, poszła.

- Kto to jest? - zapytała, patrząc na umarłą, niepodobną do siebie babkę.

- Nie poznajesz? - wyszeptała Marta.

- Nie.

- To nasza babcia, babcia Jakuba.

- Co ona ma na sobie?

- Habit.

- Dlaczego?

- Była zakonnica. Tercjarką.

- Terc co?

- Tercjarką.

Aniela nie mogła dalej pytać, zgromadzeni wyszumieili wiecznyodpoczynekrazjejaćpanie, potem zamknięto trumnę, o wiele większą niż dwanaście trumienek wystruganych przez pradziada Grzegorza, zamknięto ją i spuszczone do grobu, a grób przysypano ziemią. Aniela stała sztywna jak jej zimna babka, stała nad grobem i nie mogła pojąć. Tercjarką.

Nikt jej tego w domu nie wytłumaczył. Nikogo o to nie zapytała.

Właśnie tej zimowej niedzieli, kiedy ich biała syrenka toczyła się do W., do Bardzo Zamkniętego Klasztoru, do zakonu Marty, Aniela przypominała sobie trumnę babki i jej tercjarskie, zakonne przebranie.

Ciekawe, jaki habit ma Marta, pomyślała.

Dojechali wreszcie.

Otoczony grubym murem z solidnej ciemnoczerwonej cegły, klasztor wyglądał jak Boża forteca, jak Boże niebo. Jak Królestwo Niebieskie. Aniela przyjrzała się ogrodzeniom. Żadnej szczeliny, żadnej dziury. Przy wielkiej furcie nie było aniołów. Strzegła jej dziobata furtianka. Ślady ospy na jej twarzy, ptasi wzrok i duży nos, z którego zwisały grube okulary i

krople zimowego kataru, kurwa, co za anioł, pomyślała Aniela.

- Najpierw będzie msza święta - powiedziała Dziobata dziobatym głosem.

Skrzek, skrzek, tu jest kaplica, skrzek, skrzek, proszę zająć miejsca, skrzek, skrzek, spotkam państwa zaraz po eucharystii, skrzek, skrzek, odfrunęła pośpiesznie za zasłony znajdujące się w prezbiterium.

Tam były wszystkie zakonnice, tam była też Marta.

Niewidzialna Marta. Przezroczyta Marta.

Aniela bezmyślnie oglądała zgrzebny wystrój kaplicy. Dużo drewna bez niepotrzebnych ozdób, oprócz tych, które w policzalnej ilości zwisały wokół obrazu Częstochowskiej. Aniela poszła do komunii, za nią szur, szur jej matka, w ciężkich zimowych butach i w starym futrze z królików, poszła do komunii.

Aniela chciała być bliżej Marty, ale ołtarz odgradzał ją od siostry. Zakonnice śpiewały wysoko, za wysoko, nieprawdziwie, bez łamiącego ich soprany silnego altu, bez mocnego altu, który udowodniłby, że gdzieś tam naprawdę jest siostra Anieli, śpiewały: Pan Jezus już się zbliża, ale może zbliżał się tylko do nich, do uświęcających się, do zakratowanych i do odgrodzonych od świata. Od Anieli oddalał się tym bardziej, im bardziej odbierał jej siostrę. Ojciec modlił się z głową ukrytą w dłoniach. Gdyby miał odrobinę wstydu - nie powinien jej w ogóle podnosić.

Marty jednak nie zobaczyła. Zasłony i głębokie wykusze w prezbiterium chroniły ją przed wzrokiem z zewnątrz.

Po mszy Dziobata zaprowadziła Anielę i jej rodziców do rozmównicy. Za zasłonami, za jakimiś kratami Aniela usłyszała szelest.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział cicho głos Marty.

Marta nie była Martą. Marta była głosem i ręką.

W niewielkiej odsłoniętej kratce pojawiła się dłoń Marty, którą matka długo ścisnęła, a ojciec pocałował. Aniela poczuła, że chce wymiotować.

- Na wieki wieków. Amen - odpowiedzieli cicho.

Dziobata stała za nimi. Wpatrując się w wielki krucyfiks, słuchała.

Później zaczęły padać krótkie pytania i okrągłe odpowiedzi. Pracuję, modlę się; modlę się, by wytrwać, i modlę się każdego dnia za was, Bóg jest ze mną, Bóg jest z wami; szczęście znalazłam tutaj, tak, chcę zostać, to moje powołanie, moje życie, życie w prawdziwej radości, życie w prawdzie; co u ciebie, Anielko?

- Dostałam pierwszy okres. Dwa tygodnie temu.

To zawsze tak boli? I śmierdzi?

Matka spojrzała na ojca, ojciec rykoszetem odbił spojrzenie matki, które wbiło się w Dziobatą.

Aniela obgryzała paznokieć wskazującego palca lewej dłoni.

Zapadła cisza.

- Koniec widzenia - padło skrzek, skrzek Dziobatej.

Za kratą ktoś zasłonił brąz ciężkiej materii. Szur, szur z pochwalonymi Chrystusami w powietrzu, za zasłoną, zza zasłony i znowu śnieg, syrenka i milczenie, i dym ze sportów, duszący bardziej niż te znad Birkenau, zasłony oddzielające ją od obrażonych, urażonych rodziców, katolickich rodziców, zasłony oddzielające ją od Marty, katolickie zasłony przed katolicką siostrą.

Aniela schowała się przed wszystkimi za zasłoną snu. Przywoływała w myślach Czarnego Mariana.

\*

Marta wróciła do domu później. Między ostatnim widzeniem w klasztorze a jej powrotem do B. minął jakiś czas. Krótkorekła pamięć Anieli miała wtedy obie dłonie w gipsie, obie dłonie znokautowane, wyboksowane na gumowym łbie ojca, na bezmyślnym łbie ojca, który znalazł sobie akurat nową pannę i co z tego, że córkę mam w klasztorze, kobieto bezpieczna, słyszała czasem Aniela głosy, półgłosy dobiegające z pokoju rodziców.

Balkonowego. Połamaną lewą i prawą dłonią pamięci z trudem drapała się po chudym brzuchu przeszłości.

Pamiętała jednak, że po zimie zrobiła się wiosna, że wiosną wyrzuciła na śmietnik za małe już juniorki po Marcie, że na Asnyka położyli asfalt i już nie trzeba było iść do szkoły przez błoto do kolan, że latem, kiedy skończyło się oszczędzanie w SKO, kupiła nowy rower, może na jakieś kolonie pojechała, może do Doktorców, a może do Augustowa na kolonie zakładowe pojechała dzięki szpitalowi i w jeziorze bosą stopę zamoczyć mogła. I jeszcze pamiętała, że ze szkoły odszedł groźny woźny, ten, który chłopców zawsze przeganiał, ich mecze futbolowe przerywał, piłki konfiskował, i mruczał, wciąż mruczał pod nosem, ja was, kurwów, porządku ponauczęm.

Może minęła kolejna zima. A może nie.

Aniela w ciągu tego czasu, rozpiętego jak Jezus na krzyżu, między Marty odejściem a Marty powrotem do domu, między przejściowymi porami roku, rzezanymi coraz bardziej regularnymi menstruacjami, nie mogła odwiedzić siostry w klasztorze. Nie mogła pojechać do W. Nie wiadomo, czy tak postanowiły władze rodzinne - niższej instancji, czy władze kościelne - wyższej instancji. No bo żeby o miesięczce przy zakonnicach gadać, to trzeba mieć nasrane w głowie, i on, ojciec, wcale się nie dziwi, że Dziobata złożyła doniesienie tam gdzie trzeba.

Listów od Marty Aniela też nie dostawała. Tylko do matki, właśnie do matki raz na jakiś czas przychodziło kaligrafowane okrągłymi literami, z charakterystycznymi kulaskami, dziergane okrągłymi zdaniami pismo. Przychodził starannie ocenzone przez przełożoną list od Marty.

Kiedys jednak pojawiła się w domu cienka koperta nadprogramowa, nieoczekiwana, zaadresowana obcą ręką, nie wiadomo czyją, może na siłę oderwaną od różańca ręką Dziobatej, a może przezystą dłonią obcej, zimnej przełożonej. Równie nadprogramowo rodzice ruszyli z wizytą do klasztoru, do córki starszej swojej ruszyli, treść listu z treścią rzeczywistości skonfrontować ruszyli.

Anieli kazali zostać w domu.

- Ale dlaczego nie mogę? - zapytała matkę wkładającą płytkie, zdeptane półbuty.

- Dziś niedziela. Pamiętasz?

- Pamiętam. Moglibyśmy razem do kaplicy w klasztorze na mszę pójść. Jak wtedy.

Jak ostatnio.

Więc? Dlaczego nie mogę jechać z wami? - Aniela nie przestawała zadawać pytań.

Wyciągnęła donaldówkę, ściśniętą w zębach donaldówkę, wyciągnęła ją na długość prawej ręki, na długość prawicy, i chyba na taką samą długość akurat beczynnie zwisającej, bezmyślnej lewicy.

- Pójdź do kościoła.

- Dobra - bezmyślna lewica przejęła donaldówkę. Prawica zwisała.

- Nie zapomnisz?

- Nie. Ale dlaczego nie mogę? No powiedz.

Mamo.

Aniela stała na jednej nodze, opierając się o framugę drzwi pokoju zwanego dużym.

- Bo tak - odpowiedziała pani matka. Pani doktor obuta w swoje wyjściowe, rozdeptane człapaki, obuta gorzej niż sprzątaczką ich czteropiętrowego, szarego bloku, niż woźna, która po groźnym w podstawówce Anieli nastąpiła, już obuta, wrzuciła jeszcze do zniszczonej torebki imitującej skórę cielęcą, torebki zmęczonej jak skóra pod jej starymi oczami, torebki wymiętej, pomarszczonej, wrzuciła niedbałym, ale tylko pozornie niedbałym ruchem, różaniec z paciorkami wyglądającymi jak bursztyny, z paciorkami imitującymi bursztyny. Legł różaniec obok chleba świętej Agaty, którego okruchy matka miała w każdej torbie. Potem imitacja matki powiedziała jeszcze raz „bo tak” i nastąpił bezwarunkowy koniec dyskusji. Zgrzyt klucza w zamku ukoronował Anielę na królową czterdziestu kilku metrów kwadratowych.



Z przerwą na krótką wizytę roboczą w sąsiedzkim królestwie Panienci i Jej Syna.

Aniela nie miała ochoty ich odwiedzać. Ani Panienci, ani jej Syna. Leżała na wersalce, opierając nogi o zdiśka października. Przebierała palcami u stóp i zastanawiała się, czy można nimi ugniatać zzuwki.

Palcami u stóp.

Żuła gumę.

Obok Anieli leżała książka. Quo vadis? leżało, obiecuj mi, że to przeczytasz, szepnęła Marta przed wyjazdem do klasztoru. Aniela spełniała właśnie tę obietnicę. Każdego mogła oszukać, ale nie Martę.

Patrzyła w sufit. Dzielila go wzrokiem na mniejsze pola, po których jej spojrzenie przesuwało się ruchem konika polnego. Przyciągnęła do siebie nogę i naciągnęła gumę na duży palec lewej stopy, ta zaś - połączona brudną, rozciągającą się pępowiną z ustami - znieruchomiała. Taką samą pępowiną Aniela była kiedyś połączona z matką. Uwolniła paluch od donaldówki. Przeżuła ją jeszcze raz, wyjęła z ust, uniosła wiszący na jej chudym ciele sweterek i zalepiła nią pępek.

Matka była brzydka: niewysoka, zaniedbana, z niedotrwaloną albo zupełnie spaloną ondulacją na krótkich włosach; bez makijażu, odziana jak Panienska Najświętsza, zawsze w spódnice albo w niemodne, za ciasne sukienki, eksponujące pełny, zbyt pełny, zawieszony na rusztowaniu wystających żeber walcowaty brzuch i obwisłe pośladki. Nosila też spódnice zawsze do pół łydki, spódnice ze świętą długością nosila.

Jasne, przezroczyste prawie oczy chowała za bezszelestnymi - ale cięższymi niż te, które oddzielały Martę od świata - zasłonami gniewu. Złościła się często, często bez powodu, a jeśli znajdowała powód, zawsze, no - nie zawsze, ale zazwyczaj, była nim Aniela. Do czasu, kiedy Marta poszła sobie daleko.

Wtedy przestała się złościć.

Uderzyła Anielę tylko raz, wtedy na Wielkiej Kładce, na Wielkiej Kładce, przed pierwszą komunią świętą, fundując dziewczynce siarczysty policzek. Ale daleko bardziej niż tamto uderzenie, niż zetknięcie gładkiej, delikatnej skóry twarzy dziecka ze spierzchniętą, aseptyczną dłonią matki, bolały Anielę klapsy obojętności, róbśobiecochcesz, ale pamiętaj, Bóg widzi wszystko, Bóg słyszy wszystko, Bóg jest wszędzie, nie uciekniesz przed Jego karzącym wzrokiem, karzącym palcem.

Palec-Boga-bliżej. Palec-Boga-dalej.

Matka nie lubila Anieli. Innej, niepodobnej do niej, do ojca ani do Marty.

Bo Aniela znalazła się w brzuchu matki przypadkiem.

Przyplątała się jak półpasiec, którego nikt nie chce, albo jak choroba wrzodowa. Tak. Właśnie jak choroba wrzodowa - bolesna i przewlekła.

Pojawiła się Aniela w brzuchu matki po wymuszonym, choć wówczas nieprzypadkowym, lecz jednak zawsze takim samym albo podobnym zbliżeniu z ojcem. Po zbliżeniu pozbawionym tamtego wieczoru stałej przedmowy, stałego wstępu: nie dzisiaj. Bo zazwyczaj było „nie dzisiaj” i „boli mnie głowa”, i „daj mi spokój”. Tym razem plan był prosty: matka chciała zatrzymać ojca w domu, bo nie mogła znieść, że on z panną Lucynką w hotelu życia sobie zażywa, że wciąga każdej nocy niestaranie odmierzoną kreskę cielesnej rozkoszy, że pieprzy się z dziwką w apartamencie zazwyczaj nie używanym, ale przecież ja mam klucze do wszystkich drzwi hotelowych, mówił ojciec i tajemniczy kluczyk Lucynce pokazywał.

Matka tamtego wieczoru głośno nic nie powiedziała, przed ojcem naga stanęła (Martę wcześniej uspiwszy), jeszcze dwie piersi miała, jeszcze ojca kochała, i cicho sobie powtarzając, zamknij oczy, kobieto, i myśl o świętości małżeństwa swego, męża w domu zatrzymała, męża, który w dwunastu ruchach w tę i z powrotem spełnił święty obowiązek małżeński, a chwilę później zasnął na małżeńskiej wersalce.

Dwanaście ruchów to i tak za dużo, pomyślał chwilę przed skokiem w przepaść snu.

Na tej samej wersalce wylądowała dziewięć miesięcy później matka, wylądowała z

niemowlęciem przy pustej piersi.

Długo nienawidziła być matką Anieli. Chyba do chwili, kiedy Marta odeszła. Wtedy tylko Aniela została jej do kochania. Bo wcześniej - tak mówiła ciotce Emilce - Aniela była taka inna. Inna niż ona, inna niż Marta, inna niż miłość, która Martę siedem lat przed Aniela do życia powołała. Aniela wzięła się z bólu i ze strachu.

Dlatego nienawidziła karmić Anielę swoim ciałem, nienawidziła wkładać w jej wrzeszczące, wciąż nienasycone, okrągłe usta zniekształcone brodawki.

Żeby wycisnąć z siebie marne krople pokarmu, modliła się do Panienki Mlekorodnej, do Panienki Mlekoładnej. Płynął wtedy czasami białą, wąską strugą, sprawiając ból kurczącej się macicy - martwiejącego dla rozkoszy wnętrza. Kurczyła się też dusza matki. Kurczyła się możliwość zbawienia, Królestwa Niebieskiego, szybkiego zakwaterowania w jednej z licznych nieruchomości Wielkiego Obszarnika. Piersi matki były zakazane. Dla dziecka. Dla męża. Dla każdego. Nikt nie mógł ich dotknąć. Ojciec więc rzadko, coraz rzadziej, działał jak pracownik myjni bezdotykowej - szybko, sprawnie, bez pytania dobrzeczbyłokochanie, bo kochanie po kilku minutach (a później krócej, coraz krócej) lędźwiowego zjednoczenia pozostawało i tak niezadowolone. Piersi były źródłem niebezpiecznej rozkoszy, której matka bardzo się bała. Kiedy czasem je masowała, najczęściej podczas kąpieli, podczas kąpieli w wannie, odczuwała grzeszne podniecenie, zakazaną przyjemność omdlewających powiek i szklitych oczu, przyjemność graniczącą z uniesieniami sprzed ołtarza.

Modlitwa zbliżała ją do Boga. Piersi oddalały.

Jeszcze bardziej irytowały ją pragnienia męża. Budziły w niej ukrywane pod kyrieielejsonami i chwałanawysokościbogu żądze. Niegodne żądze. Złe żądze, po których zostawały cierpki wstyd i cierpliwa spowiedź.

W jej głowie brzmiał głos: Nie będziesz mieć bogów cudzych przede mną. Nie będziesz odczuwać przyjemności, która zawładnie tobą i sprawi, że zapomnisz o mnie, Bogu zazdrosnym. Nie będziesz igrać z rozkoszą cielesną i pożądaniem grzesznym, bo Ja, Pan Bóg Twój, przyjdę z mieczem obosiecznym sprawiedliwości i do czystości, córko królewska, nakłonię cię.

Jakiś czas później pamiętliwy, zazdrosny Bóg posłał do matki umyślnego anioła zwiastującego dobrą nowinę: od tej chwili czystą będziesz, córko moja, posłał do niej chirurga ze skalpelem obosiecznym, który wyciął matce rachy ciachu najpierw lewą pierś, a potem rachy ciachu prawą.

Wtedy matka przestała sypiać z ojcem.

Aniela pamięta, że matka zawsze pracowała. Kiedy nie miała dyżuru w szpitalu, zamieniała się w aseptyczną kwokę domową. Zmieniała pościel w każdą sobotę, zmieniała ją na czystą, sztywną, wykrochmaloną i pachnącą. Zmieniała ją na pościel nie skażoną brudnymi snami i budzącymi się pragnieniami Anieli. Skąd wiedziała o nich? Nie wiadomo.

Potem szorowała podłogi, płytki w kuchni, lamperie w łazience. Marta pomagała jej. Aniela nie chciała.

Bo nawet jeśli chciała i zaczynała pomagać, wciąż było źle i nie tak, mały głąbie. Później, kiedy tylko zauważyła, że matka i Marta chwytają za ściery, miednice, pasty SAMA, Aniela zaczynała rysować. Rysowała obojętnie albo znakomicie obojętność udając. Chowała oczy w kratkowanym brulionie makulaturowym, w szarym brulionie z twardymi okładkami, i rysowała pająki. Małe pająki w wielkich sieciach. Pajączki plotące trzy po trzy swoje wielkie na dwie strony brulionu sieci. Pajączki z pazurkami, z długimi pazurkami zakończonymi szczękoczułkami, w których znajdował się jad. I kiedy tak sobie rysowała, grzecznie, nikomu nie przeszkadzając, ani matce myjącej ściany, ani Marcie pastującej stare parkiety, słyszała często jadowite, ale nieśmiertelne jak pragnąca rychłego kwaterunku w niebie dusza matki, węzowe: czcij ojca swego i matkę swoją.

Pająki nie polowały na węże.

I kiedy Aniela słyszała: czcij ojca swego i matkę swoją, jeszcze głębiej ukrywała się w brulionie makulaturowym. Chowała w nim już nie tylko oczy, ale też głowę, głowę po szyję,

bo więcej w zeszycie zmieścić się nie mogło. I tak uciekała od matki, od Marty, od poczucia winy, którego pająki nie chciały zeżreć. Bo nie wiedziała, co to znaczy czcić ojca swego i matkę swoją, bo nie wiedziała, że matka tylko tak mówi, że używa fraz wytrychów, które mają Aniela zmusić do szorowania podłóg, lamperii i tłustych szafek w kuchni, bo nie wiedziała, że matka wypowiada tylko słowa, puste słowa, które znaczą tyle, co ruszdupęibierzsięzarobotę. Chociaż Aniela udawała, że nie słyszy matki, wiedziała, że powinna być tam, kilka metrów dalej, kilkadziesiąt centymetrów niżej, że nie powinna siedzieć na starej amerykance z założonymi nogami, z brulionem na kolanach, z dłonią zaczeponą na szarej jak pajęczyna kredce. Wiedziała, że powinna klęczeć razem z nimi: z matką i z siostrą, powinna jednoczyć się z nimi w niewieścim działaniu, przyzwyczajając się do niego, i nie myśl, że kiedykolwiek będzie inaczej, zawsze na szmacie będziesz jeździć, smarkulo.

Aniela, miętosząc w brudnych paluchach gumę do żucia, przypomniła sobie, że pewnego razu, takiego zwykłego, nieszczególnego, niczym nie różniącego się od razu, który już był i który miał nadejść za tydzień, w pewne sobotnie, pracowite przedpołudnie, matka podniosła się. Otarła dłonie o zaplamiony fartuch i spojrzała na młodszą córkę.

- Jeszcze się przekonasz, bezbożny leniuchu. To grzech nie pomagać matce, to grzech!

Marta, klęcząca na podłodze, pochyliła się jeszcze niżej. Jeszcze szybciej wygarniała ze wszystkich kątów, ze wszystkich zakamarków mieszkania na Gruntowej kudłate, obrzydliwe farfocle zbitego kurzu. Aniela patrzyła na matkę. Nie pojmowała jej gniewu, nie pojmowała roziskrzonych oczu stojącej przed nią kobiety, nie pojmowała tej niechęci, której kielich przepelniał się tak często. Za często. Wtedy jeszcze Aniela nie posiadała subtelnej sztuki interpretowania spojrzeń, uniesionych brwi, roztrzepotanych rzęs i pozornie przypadkowych gestów.

Schowała dłonie pod pośladki. Siedziała na nich, przygniatała je ciałem, wbijała w twardą fakturę obicia rozpadającego się fotela. Czuła ból. Wtedy po raz ostatni chciała prosić matkę, chciała ją prosić o to, co było proste i zwyczajne, ale dla innych matek, co było naturalne i normalne, ale nie dla jej matki, wtedy chciała poprosić, mamó, przestań zrzędzić i przytul mnie, a pomogę ci. Mamó, chciała powiedzieć Aniela.

Ale mamó odwróciło się i poszło do kuchni. Rozległ się dźwięk wielkiego noża ślizgającego się po liściach kapusty. Mamó robiło bigos.

Później, dużo później, bezbożny leniuch przekonywał się, że Totalny, bez względu na to, ile leniuch zrobi, zawsze pozostanie obojętny. Nigdy nie powiedział dziękuję. Nawet wtedy, kiedy Aniela urodziła Marysię.

Zaszła w ciążę jak matka. Przypadkiem. Bo czego chcieć po kilku ciążach bez szczęśliwego zakończenia? Niczego. Nie czekała więc na dziecko. Na nic nie czekała. Najmniej na swojego męża, który ganiał co wieczór do kościoła, do wspólnoty swojej ganiał prowadzić, animować, moderować grupy żeńskie i męskie. Nijaka jednoosobowa grupa zostawała w domu. Aniela nie chciała z nim chodzić do wspólnoty „Chwała Barankowi”. Chała Barankowi, myślała sobie i zostawała w domu. Czytała. Poprawiała klasówki. Wołała Aniela sprawdzać kulawe zdania o tym, że Antek kochał Jagnę, o czym dowiedziała się od kowala, niż śpiewać z uniesionymi rękami: Pan jest mocą swojego ludu. Wołała bzdury, farmazony nienauczalnych licealistów niż: a stopy me postawił na skale i umocnił moje kroki.

Kiedys, na początku małżeństwa, Totalny zapraszał Anielę na modlitwy, na swoje spotkania, mówiąc, że powinno być tak jak przed ślubem, jak wtedy kiedy ją poznał, kiedy ona dzięki niemu i przy nim rekolekcję Odnowy w Duchu Świętym przeszła. I przez pamięć o Marcie powinna mu towarzyszyć w spotkaniach duchowych. Aniela więc czasem laźła w szpony chwały Baranka. Niechętnie i rzadko, bo nie czuła się ani namaszczona, ani wybrana, ani przez Ducha prowadzona i nie lubiła do Boga z podniesionymi rękami, stój, bo strzelam miłością i Słowem, podchodzić. Zresztą Totalny jej to kiedyś powiedział, ciebie, Aniela, w przeciwieństwie do mnie, to demon nieparzystokopyrny prowadzi. Dlaczego, zapytała, dlaczego, bo nie mam skrzydeł gołębic u pęcín i nie latam po kościele z charyzmatycznym

rozwołnieniem; dlatego że w dźwięku tamburynów fletom towarzyszących, co w kościele przygrywiają, słyszę dźwięk klapy, którą Kryska wciąż rzuca na swoje wiaderko ze szczynami?

Nie chodziła więc na z Barankiem spotkania. Nie chodziła z Totalnym do kościoła. Unikała wspólnych mszy świętych razem z nim. Co niedziela jednak z matką w porannej mszy uczestniczyła, chodź ze mną, Anielko, bo wciąż mi słabo i boję się, że zemdleję. I Aniela szła, bo bała się omdleń matki, a jeszcze bardziej tego, co dawno temu zjadło obie piersi matczyne; z troskliwości szła, z tej samej troskliwości, która z obojętności i braku miłości w zainteresowanie i miłość dla Anieli przerodziła się u matki po śmierci Marty. Aniela szła z matką do kościoła, a matka z wdzięczności nie pytała, kiedy do sakramentów przystąpisz. Matka teraz w ogóle mało mówiła.

A w kościele matkę w ławce zostawiała i za filarem, tuż przy drzwiach wyjściowych, chowała się, zmęczona Totalnego opowieściami o sakramentach i o cudach Panajestwielkiego. Stała sobie i czasem dziękowała. Dziękowała za matkę i jej zdrowie.

A później, kiedy pojawiła się Marysia, dziękowała za to, że jej córka jest, i opiece aniołków, które uleciały z Anieli do życia wiecznego, nie posmakowawszy życia doczesnego, tym aniołkom Marysię powierzała.

Bo na Marysię nie liczyła. Nie sądziła, że się pojawi.

A kiedy się pojawiła, nie spodziewała się, że ją urodzi. I do rozwiązania samego czekała na mordercze krwawienie i na słowa ginekologa: spróbuje raz jeszcze, niech nie płacze.

Tak chodziła do kościoła.

Po ostatnim porodzie przedwczesnym, po aniołku, co wyszedł z Anieli w czwartym miesiącu ciąży, powiedziała Totalnemu, to koniec, żadnych dzieci więcej, nie chcę z tobą sypiać ani po katolicku, ani po niekatolicku, nie chcę już cierpieć, nie chcę płakać, zostaw moje piersi i biodra. On zaś zostawił Anielę w spokoju, ale tylko na kilka miesięcy, by po upływie stosownego czasu przypomnieć żonie o układzie.

I o jej obowiązkach. I o tym, że nie żąda od niej wiele, przecież i tak najczęściej nie ma go w domu, ale kiedy jest, chce zaspokajać pragnienia.

Wtedy bowiem, po ostatnim aniołku, zaangażował się, i już nigdy nie było inaczej, w rekolekcje wyjazdowe. Albo praca, albo święty świat go czekał.

Aniela zaglądała w samotne wieczory do modlitewników Marty, może tylko je czytała, a może modliła się, szepcząc: myliłaś się, Marta, myliłaś się, modlitwa nie jednoczy, Marta, coś jest nie tak. Tylko co?

A potem okazało się, że Aniela nosi w sobie dziecko.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Cieszę się - ucałował dłoń Anieli. Aniela spojrzała na niego zdumiona. Skuliła się. - Ale jeszcze bardziej ucieszę się, kiedy urodzisz to dziecko. A kiedy już urodzisz, mam nadzieję, że nie będzie takie jak twoja durnowata kuzynka - dodał. Aniela wyprostowała się. Totalny wrócił do lektury. Pasja C++.

Właśnie tę kurewską książkę czytał, kiedy Aniela ogłosiła brzemiennosc swoją, alleluja.

- A swoją drogą to cud, prawda? Dziś wieczorem będziemy wspólnie w kościele dziękować za ten cud.

I prosić o zdrowie dziecka - dodał jeszcze, unosząc oczy znad książki. - Pójdiesz ze mną?

- Tak, to cud - odpowiedziała Aniela. - Nie pójdę. I tak nie urodzę. Przecież wiesz.

I Aniela chciała go zapytać, jak to się stało, że jest w ciąży, skoro foliował swoją męskość, skoro dla własnego dobra naukę Kościoła naciągał jak truskawkowy kondom? Jak to się stało, skoro po kilkakrotnie utraconej ciąży pozwalała mu na seks tylko po złożeniu obietnicy, że nie zrobi jej dziecka, bo ona nie ma siły i tak dalej, a on Onanem być nie chce i

wszystko jasne.

Bo prezerwatywy to był grzech.

W czasie nauk przedmażeńskich, w trakcie dziewięcioletniego kursu dla narzeczonych, dla wszystkich, co po próchno deski grobowej miłość, wierność i uczciwość małżeńską ślubować sobie chcieli, słyszał wyraźnie, że to grzech, że śmiertelny, że folią prezerwatywy uderza się w twarz samego Pana Boga i akt Jego wolnej kreacji ogranicza.

- A co z moją wolnością? - zapytała kiedyś Aniela. Wtedy kilkadziesiąt par oczu zgromadzonych w sali św. Augustyna spojrzęło na Anielę, a później na księdza, młodego, prężnego, przystojnego.

- Podporządkuj swoją wolę Jego woli, a odnajdziesz prawdziwy spokój i szczęście - odrzekł.

- A jeśli to trudne? - dodała cicho Aniela. Totalny pociągnął ją za rękaw, no ciszej bądź, ciszej.

- A chcesz tego? Chcesz oddać Mu swoją wolę?

Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli czegoś naprawdę pragniesz - zakończył dyskusję ksiądz.

- To nieprawda - szepnęła Aniela. - Co ksiądz wie o Marcie...

I tak sobie dalej w tym kursie uczestniczyli. Już bez zgrzytów.

Choć jeszcze raz, tylko raz, panią od regulacji poczęć Aniela zapytała o naturalne metody gmeracze.

- Och, są bardzo skuteczne, moja droga, bardzo.

I jedynie polecane przez nasz Kościół jakby.

- I pani je stosuje?

- Och, tylko takie stosowałam. Jakby tylko takie.

- I wszystkie dzieci ma pani planowane?

- Och, dwoje jakby zaplanowałam z mężem, a troje dodatkowych Pan Bóg wziął, zaplanował i nam podarował. Na tym właśnie polega piękno naturalnej jakby regularnej poczęć - dodała z uśmiechem.

Siedziała więc Aniela na kursie przedmażeńskim, którego jedynym urozmaicheniem były dwa filmowe reportaże z ciężarnej macicy. Pierwszy reportaż radosny: alleluja, oto poczęłaś i porodysz syna albo córkę, i drugi pogrzebowy: powiększył grono aniołków, bo miał matkę, co go wyskrobała. Omijała słuchem konferencje o czystości przedmażeńskiej, choć tych w największym skupieniu wysłuchiwały brzemiennie kursantki. Wśród nich Aniela. Płaska, wciąż wymiotująca, dlatego zamiast na wadze przybywać, to chudła. Nikt na kursie nie wiedział, że jest w ciąży. Ani we wspólnocie „Chwała Barankowi” nikt nie wiedział.

Pytali tylko, ci z nauk i ze wspólnoty, i z mora z małżonkiem pytała, dlaczego Aniela wciąż płacze? I nie mogła im odpowiedzieć, że płacze, bo Bóg nie zechciał oszczędzić jej strachu przed śmiercią i pogrzebem dziecka.

Obojętnie przyglądała się, jak na konferencjach Totalny pilnie robił notatki i wciąż kiwał głową jak anioł sprzed bożonarodzeniowej szopki, wrzuć monetę, wrzuć monetę, a najbardziej wtedy, kiedy ksiądz o waleniu Boga w twarz kondomami opowiadał, wrzuć monetę.

A może będę szczęśliwa, pomyślała Aniela, kładąc akcent na „szczęśliwa”.

Bóg po ślubie przełożył akcent na „może”.

Aniela w pierwszą rocznicę, o której Totalny zapomniał, przestała myśleć o szczęściu.

Po rozwodzie myślała o szczęściu w nieszczęściu.

Wtedy jednak, w którymś momencie dziewięciu tygodni nauk przedmażeńskich, zakończonych kwitami kościelnymi koniecznymi do ślubu przed ołtarzem, nikt, ani młody ksiądz, ani kobieta od metod kombinowania z poczęciami, nikt nie powiedział Anieli, że coś w tym mechanizmie miłości na wieki wieków amen może nie działać, że może być popsute i spróchniałe jak zęby Kryski. Nikt nie powiedział, że plomby miłości, wierności i szacunku wypadają, a leczenie kanałowe u katolickich terapeutów, którzy pobożnie a nieumiejętnie

wyciągają złamanym pilnikiem Hedstroma z kanałów pożycia małżeńskiego chore nerwy, kończy się zazwyczaj ekstrakcją związku. Bez znieczulenia.

2 nauk przedmażeńskich niewiele zostało. Pomalżeńska rzeczywistość okazała się farsą, taką samą farsą jak spowiedź Anieli przedślubna. Poszła do Białego Kościoła i wybrała ten sam konfesjonał, w którym wyznawała Bogu grzechy tuż przed pierwszą komunią świętą.

- Ostatni raz u spowiedzi byłam, nie pamiętam kiedy... Chyba przed bierzmowaniem...

- zaczęła.

- Dlaczego?

- Tak wyszło.

- A później?

- Właśnie jestem. To jest moje później.

- A wcześniej?

- Może zaczniemy od więcej grzechów nie pamiętam?

- A jakie pamiętasz?

- Nie pamiętam.

- Daj tę karteczkę.

I ten, który siedział po drugiej stronie zbawienia, karteczkę podpisał, przepustkę do małżeństwa, do z Totalnym przebywania dzień i noc. Preludium do farsy skończyło się. Do farsy na wieki wieków. Amen.

I Aniela nie poszła do spowiedzi już więcej.

Do czasu kiedy dowiedziała się, że krzyż swój musi poskładać. Ale to było później, dużo później.

Tymczasem po ostatniej utracie ciąży, kiedy Aniela krzyczała, że nie pozwoli sobie więcej zapłodnić, Totalny oświadczył, że dla twojego dobra, że nie będę cię narażał, że nie można tak się męczyć, ja ze swoją wstrzeźliwością, a ty ze swoją ciężarnością, dlatego od dziś, proszę bardzo, w tej szafce, na tej półce, kolorowe pudełeczka, Boże twarzobije, będą czekać.

- Dostałem dyspensę - powiedział, kładąc na jej ramieniu dłoń.

- Od kogo?

- A czy to twoja sprawa, kobieto?

I Aniela nie zapytała, jak się ta dyspensacja w pojemnym świecie wartości Totalnego mieści, w świecie wielkich słów o chrześcijańskim porządku wewnętrznym, w świecie, który miał być przeniknięty duchem wiary i ładu moralnego. Bo o takich światach gadał do innych Totalny na konferencjach przenajświętszych.

I poczuła Aniela, że światy Totalnego skurczyły się do rozmiarów zużytej prezerwatywy.

I mimo że Totalny z dyspensy od nie wiadomo kogo pilnie korzystał, że dawał upust swoim potrzebom i skromniejszemu niż Czarnomarianowe przyrodzeniu, Aniela zaszła w ciążę. Alleluja! Pan jest wielki! Może ksiądz z kursów, tamten młody i przystojny, miał rację, że prezerwatywy są plemnikoprzepuszczalne?

A później zwolnienie z roboty nauczycielskiej dostała, bo ciąża, z krwawymi glutami wydobywającymi się z Anieli, zagrożona była, i leżenie domowym lub szpitalnym plackiem zalecono. Rzadko ją odwiedzał Totalny na oddziale patologii ciąży, rzadko przychodził, choć Guzowata i Trumienna czekały na niego pilniej niż Aniela. Po pracy bardzo naukowej biegł do kościoła, mężowie, kochajcie swoje żony, żony, bądźcie poddane swoim mężom, głosił katechezy dla narzeczonych. Bo głosił wszędzie. Ile wlezie.

Potem ciąża skończyła się. Nie wiadomo kiedy.

Pewnej zimowej nocy Aniela poczuła ból podbrzusza.

- To chyba już - szepnęła do zaspanego Totalnego.

- Nie zamierzasz chyba rodzić o drugiej nad ranem - odpowiedział i odwrócił się od Anieli.

Było ciemno. Aniela wpatrywała się w cyferblat elektronicznego zegara. Czerwone

cyfry. Prostokącik, wykrzywione es, a może zet, zet podwójne, potrójne, pochujne. Druga dwadzieścia dwie. Aniela liczyła skurcze. Dziesięć co dwanaście minut. Dziecko chciało wyjść. Miało dość ciała Anieli od podszewki.

Parło i pchało się na świat, w którym czekały je święte gesty i słowa ze strony ojca i bezbożny rozwód ze strony matki.

Na cyferblacie pojawiły się prostokącik, rozerwany bałwanek i dwie pałeczki. Trzecia jedenaście.

Aniela wstała. Weszła do łazienki. Spojrzała w lustro. Zobaczyła zmęczoną twarz rodzącej kobiety. Dotknęła przylepionej przez złośliwego anioła maski nie wiadomo kogo. Postanowiła znaleźć swoją fasadę, swoją twarz, postanowiła odrestaurować ją trochę, doprowadzić się do porządku. Dojść, raz dwa lewa, raz dwa prawa, do siebie.

Wciąż liczyła skurcze. Trzydzieści co siedem minut. Pochyliła się nad wanną. Umyła włosy, które wtedy odrosły jej do ramion. Obcięła je zaraz po powrocie ze szpitala. Wzięła szybki prysznic. Szybki, bo czas bezskurczowy skrócił się do pięciu minut. Kiedy bóle wracały, siadała na kiblu i czekała. Głęboko oddychała. Stękała. Alleluja, przybywajcie, jęczenia nie słuchajcie, matki nie żałujcie, dupy jej nie trujcie.

I wtedy do kibla, zwabiony stękaniami żony przybieżał Totalny, wesołą nowiną, bracia, słuchajcie! Dziecię nam się rodzi!

Obudziły go jęki Anieli, która choć obolała, suszyła i podkreślała włosy.

- Dlaczego? - zapytał.

- Co dlaczego?

- Po co to robisz?

- To poród, a nie pogrzeb. Nie pojedę do szpitala z pogrzebową fryzurą i odklejoną twarzą.

- Co ty gadasz?

- Nic. Przygotuj torbę i podaj mi ciuchy.

Wyszedł z łazienki.

Wielki brzuch, z którego wychodziło dziecko, ograniczał ruchy. Aniela z trudem naciągnęła na siebie rajstopy bezrozmiarowe i spodnie zielone, groszkowe, ciężowe, prezent używany, od Totalnego, który przyniósł je w darze od jednej z kobiet ze wspólnoty, nie zapomniałaś podziękować, Joanna specjalnie dla ciebie przechowywała te spodnie.

Jeszcze tylko puder na gębę, odnaleziony przypadkiem za pralką.

Aniela wyszła z łazienki. Usiadła w fotelu. Czekała na męża. Grzebał w swojej szafie jak ginekolog w Anielinej pochwie.

Na cyferblacie prostokącik, odwrócone zet lub es, cholera wie, i jakieś minuty z pełnym bałwankiem.

Piąta osiemnaście. Totalny wyjął zieloną koszulę w kratę. Pogniecioną. Jak psu z gardła wyjętą. Albo jeszcze bardziej.

- Wyprasujesz?

- Tak.

Aniela wstała, podtrzymując brzuch z przodu i kręgosłup z tyłu. A może było odwrotnie? Może brzuch miała na plecach? Na kuchennym stole z trudem prasowała koszulę Totalnego. Włożył ją szybko, chyba nie zdążył burknąć „dziękuję”, jak zwykle, jak wciąż, jak zawsze, zresztą teraz nie miał czasu, bo przecież jego żona, mizerna, cicha, kobieta licha, rodzi.

Sprowadził ją na dół, na podwórze zimowe, styczniowe. Lazła Aniela w stronę auta, w stronę malucha lazła Aniela posuwicie i nietanecznie. Totalny wskoczył w przykrytą pierzyną śniegu czerwien fiata.

- Pośpiesz się - krzyknął. - Rozgrzeję samochód, uruchomię go, a ty odśnież trochę - rzucił w stronę Anieli miotelkę. Małą miotelkę. Wciąż podtrzymując brzuch, zgarniała sypki, świeży śnieg z przedniej i tylnej szyby. Trochę z dachu.

Kiedy Totalny dowiózł Anielę do szpitala, dziewięć otwartych centymetrów i główka

Marysi ukazały się oczom położnej i lekarza.

I Totalny zapytał wtedy, czy żona, panie doktorze, zdąży urodzić przed obiadem, bo o trzynastej mam obiad, muszę być na obiedzie z ojcem, matką i z psią skórką, muszę być u mamy, a później zajęcia ze studentami, pan wie, nowy projekt robią, a jeszcze później grupa modlitwy wstawienniczej, bo żona, doktorze, nie może rodzić osiemnaście godzin, tak jak Joanna, znajoma ze wspólnoty, a pan wie, że ona w lepszych niż te warunkach rodziła, w Kopenhadze rodziła, bo za Duńczyka wyszła, pan wie, że Aniela nie może tak długo, co? Cholera, panie, dziecko już prawie na świecie, a pan pierdolisz o obiedzie, powiedział doktor, ostry jak to, co kwadrans później przecięło krocze Anieli.

Rodzinny poród odbył się bardzo szybko. Aniela parła, Totalny jadł czekoladę. Zdążył ją kupić w kiosku na dole, przy szatni szpitalnej. Głodny był. Anielę do szpitala bez śniadania przywiózł, bez codziennego muesli z ciepłym mlekiem. Jadł czekoladę z orzechami i rodzynkami. Milkę jadł. Z krową i ze świstakami z reklamy. Czekolada miała fioletowe opakowanie.

A na nim - Alpy.

- Chcę w Alpy - powiedziała Aniela z trudem.

- Dokąd? - zapytała położna.

- Do krów i świstaków chcę.

- Jadwiga, przynieś wody - krzyknęła położna.

Aniela chciała pić.

Ktoś zwilżył jej usta. Nie mąż.

Znowu skurcz, znowu parcie, pękające naczynia krwionośne w białkach oczu, wybroczyny na twarzy. Kiedy wreszcie rozległ się ostatni wrzask Anieli, Marysia urodziła się. Totalny odłożył czekoladę i z przejęciem sfotografował zakrwawione dziecko, połączone z matką siną pępownią.

- Andrzejowi pokażę. I Arturowi - powiedział, pstryk, pstryk. Aniela chciała dodać, nie zapomnij zakleić czerwonym serduszkim mojej ogolonej tępych, skrzypiącym nożykiem cipy. Ale wyjęzyczyć swojej prośby nie miała siły. Później Totalny bez przejęcia spojrzął na córkę leżącą na nagich piersiach Anieli.

Na nakrapianą twarz żony spojrzął, twarz jak indycze jajo nakrapianą.

- Muszę już iść - musnął dłonią ramię Anieli.

Uczył niedbały znak krzyża na jej czole. I na głowie Marysi też. Znowu żadnego dziękuję czy pocałuj mnie, żonę swoją, w rozoraną twoim dzieckiem dupę.

I tyle. Taka sama obojętność. Przez chwilę Aniela chciała go prosić tak jak matkę wtedy, dawno, przy myciu podłóg. I tak jak wtedy matce, pragnęła mu powiedzieć, przytul mnie, bo cię potrzebuję. Ale nie powiedziała. Głaskała Marysię po zalepionej krwią i płodowymi smarkami główce.

Matka przyszła po południu. Przytuliła Anielę.

I dziecko.

- Byłaś dzielna - powiedziała. Dopiero teraz to powiedziała. Bo kiedy Aniela dla Marty w szpitalu leżała, wtedy matka tego nie mówiła.

- Jakie dasz jej imię? - zapytała.

- Maria.

- A na drugie?

- Nie dostanie drugiego.

- Myślałam, że może...

- Nie.

Maria została bez pary z Martą.

Trzy dni później Marysia zaczęła chorować.

Aniela wylądowała na położnictwie septycznym.

- Dziecko jest szare, brzydkie, nie ma apetytu, ale za to ma biegunkę i wysoką gorączkę - powiedziała pediatra przy obchodzie.



- Co dzieje się z moją córką?

- Nie wiem. Pobiorę jej dzisiaj płyn rdzeniowo-kręgowy. Inne badania nie wykazały nieprawidłowości. USG serca w porządku. Mózgu również. Proszę podpisać zgodę na punkcję. O, tu.

- Chcę zadzwonić do matki. Jest lekarzem. Muszę zapytać...

- Ona nie może podjąć za panią decyzji. Tylko pani albo ojciec dziecka.

- Boję się - powiedziała Aniela.

- Wierzy pani?

Aniela spojrzała na lekarkę.

-W co?

- Jeśli pani w Boga wierzy, niech ją pani ochrzci.

- Po co?

- Może to panią uspokoi.

- Kiedy?

- Przed zabiegiem. Za kwadrans.

Matką chrzestną Marii została jakaś pielęgniarka. Ojca chrzestnego nie było. Kapelan wystawił zaświadczenie, że dziecko jest ochrzczone z wody.

Aniela po powrocie do domu, po wyleczeniu Marysi z gronkowców złocistych we krwi, z pałeczek ropy błękitnej w uszach, nie chciała innych chrzcin.

Ale Totalny zaprotestował. I reszta zgromadzenia, co w mieszkaniu Anieli i Totalnego zasiadła, również sprzeciw zgłosiła. Zmora Barbara krzyczała, że jak to, dziecko tak zaniedbać duchowo, nie można, Mieczyk milczał. Matka Anieli powiedziała cicho, zrobimy chrzciny. Wtedy zmora zatarła nie porażone jeszcze udarem ręce, więc ojcem chrzestnym, powiedziała, będzie Andrzej, przyjaciel Totalnego wspólnotowy, a matką chrzestną, bo właśnie przyjechała z Danii, Jo...

- Pola - stwierdziła Aniela.

- Jak to Pola? - zapytali jednocześnie Totalny i Barbara.

- Pola i już. Jeśli chcecie spektaklu dla samego spektaklu, bo dziecko przecież jest już ochrzczone, więc jeśli tego chcecie, matką chrzestną zostanie Pola.

- Nie ustalaliśmy tego.

- Andrzeja również nie ustalaliśmy.

- Owszem. Razem z mamą. Andrzej już się zgodził.

- Pola również.

- Co powiem Joannie? - zapytał Totalny.

- Cokolwiek. Oddaj jej ciążowe spodnie. Groszkowe. Ukłoń się. Powiedz dziękuję.

Może wracać do Danii.

- Jesteś okrutna. Staramy się, dbamy... - zaczęła Barbara.

- Jestem zmęczona. Do widzenia.

Połą Aniela o wszystkim powiadomiła dwa tygodnie później.

Zgodziła się.

W trakcie chrztu Jerzyk pilnie robił zdjęcia. Wokół niego skakało trzech synów. Nad każdym się pochylał, dla każdego miał słowo, nie pozostawiał ich pytań bez odpowiedzi.

Aniela nie poszła do kościoła. Chrzest Marysi odbył się bez niej, bo Aniela, z przywartymi do piersi jak przypalone mleko do dna garnka dłońmi, próbowała rozmasować rozgorączkowane, palące guzy pełne pokarmu.

Znowu była sama.

Znowu było cicho.

Inaczej niż w czasie krzyku, dawno, dawno temu, kiedy matka oprócz głośnych refrenów z frazą: czcij ojca swego i matkę swoją, trochę ciszej, bez przytupów, śpęczyła rodzinną śpiewkę o tym, jak okropni i nieużyteczni są mężczyźni. Jęczała ciągle, z cierpięciznym zaśpiewem, że łamią postanowienia dekalogu, że wygodnie naciągają przykazania na swoje sumienie jak brudne skarpety z poprzedniego dnia, no, może nie

wszystkie przykazania, ale te od szóstego do dziesiątego na pewno. Siedzą po końce swoich śmierdzących przyrodzeń (Aniela zastanawiała się, co to jest ten przyrodzeń) w cudzołóstwach i powyżej swoich krótkich szyj w fałszywych świadectwach, ale ona, matka, jednoosobowe sumienie wszystkich mężczyzn, widzi wszystko, wie wszystko, a jeśli nie widzi i nie wie, to znaczy, że woli być ślepa i nie zamierza prosić swojego Boga o odzyskanie wzroku, nie chce wołać jak ślepiec spod sykomory: Panie Jezu Chryste, Synu Boga żywego, ulituj się nade mną.

Bo matka Anieli była ślepa. Później Aniela odkryła, że matka była jak żebrak symulant spod kościoła.

Udawała kalectwo, udawała ślepotę na zdrady męża.

Bo musiała być żoną. Chociaż małżeństwo nazywała karą boską. Kiedy miała lepszy humor, zazwyczaj po spowiedzi świętej, regularnej spowiedzi co trzy tygodnie, małżeństwo awansowało do rangi krzyża, a matka do roli kobiety spod krzyża. Kobiety niosącej krzyż. Marta w rodzinnych spektaklach grała Szymona Cyrenejczyka. Aniela w tych przedstawieniach była obojętna i zimna jak wbijane w krzyż gwoździe.

Wolała rysować pająki.

Potem, kiedy dobrze nauczyła się czytać - między lekturami, między zdaniem, między słowami łatwiej było znieść matkę, jej ciągłe gadanie, nieustanne narzekanie, wieczne niezadowolenie. Jej niesprawiedliwe, a może sprawiedliwe, umiłowanie dobrej Marty, lepszej Marty, Marty o jasnych, matczynych oczach, o oczach, w których - od kiedy Aniela pamięta - mieszkała czysta dobroć, czystsza niż szpitalne fartuchy matki, cieplejsza niż chłodne, nigdy nie dotykające Anieli dłonie matki.

I tak wciąż, i tak wciąż, i tak wciąż. Między domem, szpitalem i kościołem. Między modlitwą i narzekaniem. We wciąż tym samym powtarzalnym schemacie, z niewielkimi, drobnymi jak atomy wariacjami. Kobieta bez piersi. Kobieta bez pragnień.

Kobieta bez mężczyzny. Kobieta-bez.

Aniela wyjęła gumę z pępka.

Wciąż miała dwie ręce, dwie nogi i okres. Właśnie dostała kolejny okres. Matka musiała być wczoraj u spowiedzi, przemknęło jej przez myśl, a później, że może właśnie dlatego matka z ojcem nie wzięli Anieli do W., do klasztoru, w którym zamknęła się Marta.

Pewnie im śmierdzą, wyszeptwała. Bo śmierdziała. Jak co miesiąc, kiedy krew wsiąkała w znieawidzone podpaski. Przynosił je do domu ojciec. Podpaski, towar deficytowy, na wagę złota. Przynosił podpaski bez skrzydełek i perfumowanych siateczek wchłaniających krew. Podpaski były cenniejsze niż czekolada.

Nie było ich ani w aptece, ani pod ladą apteki. Ani nawet dla matki w szpitalu. Bo matka powiedziała, nic ze szpitala nie wezmę, pacjentów okradać nie będę. Taka była.

To właśnie ojciec przynosił do domu szyneczki z waty, przynosił watę otuloną elastyczną opaską jak wieprzowa szynka gotowana, przyłaził z watą jak łowca z polowania, z dyszącym westchnieniem, znowu musiałem całować po rękach magister Kucharską, a fuj. I już było wiadomo, skąd tę obrzydliwą, cuchnącą watę przynosił, watę zdobywaną na zapleczu apteki na rogu Gruntowej i Zwycięstwa, watę, którą po zużyciu Aniela z oczami pełnymi łez wrywała razem z włosami łonowymi.

Spojrzała na kuchenny zegar. Dochodziła jedenasta. Aniela wymruczała pod nosem, grzebiąc jednocześnie w pępku i kopiąc stopą telewizor granit, że pójdzie później. Do kościoła. Zanim wróca, zdąży, wyszeptwała, bo wizytę u Paniarki i Jej Syna mogła złożyć jeszcze o dwunastej trzydzieści albo o szesnastej.

Międzyczas dłużył się nieznośnie. Aniela zaczęła czytać. Zawsze dużo czytała, izolowała się od świata, którego nie znosiła, w którym nie było Marty, bo zamknięta w klasztorze siedziała; świata, który ojciec regularnie okadzał papierosowym dymem, a matka z ambony wiecznego niezadowolenia nasyciała jęklwym narzekaniem.

Czytała więc po obietnicy danej i z przymusu Quo vadis?. Obietnice łamać lubiła, ale nie te Marcie złożone. Czytała więc o przygodach Winicjusza szlachetnego i Ligii

przezycie, czytała, przebierając bosymi stopami i dłużyła w pępku. Aniela nie mogła zrozumieć wzruszeń siostry. Że miłość? Że niewinna chrześcijanka na rogach byka? Że Winicjusz taki wierny i taki nawrócony? Aniela nie wierzyła w nawrócenia. Podskórnie przeczuwała, przeczuwała każdym centymetrem swojego katolickiego podskórka, że wielkie nawrócenia nie są wielkie. Są małe i pospolite jak mrówki faraona, są tak samo jak one nieznośne, bo łążą w te i nazad po głowie człowieka i drażnią jego myśli, drażnią myśli jak faraonki korytarze w torbie cukru, i wchodzą wciąż głębiej, i szukają głębiej, szukają tak długo, dopóki nie zeżrą całego cukru, dopóki nie zostanie po cukrze pusta papierowa torba, tak jak po nawróceniu puste serce i pusta głowa. Mistyczna noc ciemna. Mistyczna pusta papierowa torba. Mistyczna bezmyślność.

Taką samą bezmyślność ujrzała w oczach Totalnego. Pewnie nigdy by jej nie zobaczyła, gdyby nie Marianka.

Marianka studiowała z Anielą. Całe cztery i pół roku łążyła za Anielą Marianka długowłosnaturalna, długospódnicowa, skórzanosandałowa, krótkopaznokciowa, grubokościstoboczkowa, rubalnogłosa, zawsze gotowa do pomocy, zawsze służąca notatkami z wykładów, których nie opuszczała, zawsze przygotowana, pozbawiona inteligencji, której nie dostała od Boga w promocji, lecz obdarzona w nagrodę darem gotowości do ciężkiej, sumiennej pracy.

Marianka była zawsze blisko Anieli. Zawsze na jej zawołanie.

Aniela Mariankę tolerowała. Jak Kryskę.

- Dlaczego za mną chodzisz? - zapytała wreszcie Aniela. Miała dług wdzięczności wobec Marianki, która chorej w sesji zimowej Anieli przyniosła do domu wszystkie materiały do egzaminu z metodyki. Aniela zdała bardzo dobrze. Marianka dobrze.

- Bo widzę, że masz problem.

- A jaki problem widzisz?

- Duchowy.

- I dlatego za mną chodzisz? Od pierwszego roku?

- Nie tylko.

- Więc?

- Zachwyciłam się.

- Nie jestem homoerotyczna.

- Ja też nie - obruszyła się Marianka. - Zachwyciłam się twoją interpretacją Lamentu świętokrzyskiego.

- To było cztery lata temu!

- No właśnie. Nie widziałam wcześniej nikogo, kto opowiadałby o literaturze z taką pasją. Nikogo, kto mówiłby o macierzyńskim cierpieniu z takim znanstwem. I o Matce Bożej.

- I właśnie dlatego łążysz za mną?

- Bo mam nadzieję.

- Na co?

- Na to, że tym razem ty poleżysz ze mną. I rozwiążesz swój problem.

- Nie mam problemu.

- Masz.

Aniela popatrzyła na Mariankę. Pakowała książki po zajęciach z literatury współczesnej, pakowała w czeluście swojej wydzierganej szydełkiem torby.

Aniela zauważyła, że Marianka do samorobnego sącza ma przypięty znaczek gołębia. W locie. Z rozpostartymi skrzydłami.

- Dokąd?

- Na spotkanie.

- Muszę oddać promotorowi rozdział pracy.

- Zdążysz.

- Co to za znaczek? - zapytała Aniela Mariankę.

W pytaniu Aniela Marianka miała usłyszeć to, czego Aniela nie chciała powiedzieć: odczep się, na żadne spotkanie z tobą nie pójde, gruba, nudna kobieto o figurze zamrażarki, kobieto z przemarzniętą inteligencją, bo z matką w domu siedzę, Krysce o Stawroginie opowiadam, durna jest, ale przynajmniej pytań nie zadaje, i ciągle klaszcze, ta moja Kryśka ciągle klaszcze, a ja, widzisz, Marianko, taka jestem, że poklasku pustego szukam, odczep się, miała usłyszeć Marianka.

Nie usłyszała.

Aniela miała dług wdzięczności. Starła się być miła.

- Duszek - powiedziała Marianka.

- Okruszek - zrymowała Aniela.

- Aniela, to symbol Ducha Świętego.

-Aha.

- Ty w ogóle wiesz, kto to jest Duch Święty? -

Marianka zirytowała się.

- A kto to jest? - zapytała Aniela.

- Mocarz.

- Aha - powiedziała Aniela i obróciła się na pełnoletniej pięcie. - A Bobika znasz? - zapytała jeszcze.

Wtedy Marianka zatrzymała Anielę i powiedziała, chwytając ją za ramię, za chude ramię, że hola, dość już tego cynizmu, bo czekająca na nią Marianka dobrze widzi, bo jej zmysł obserwacyjny drgnieniami Ducha jest wyostrojony, więc ona dobrze widzi, że Aniela przeżywa coś ponad swoje siły, dość zatem ukrywania się Anielinego pod niekarnawałowymi maskami chłodu, rany serca trzeba uleczyć i dlatego Marianka dziś jeszcze Anielę zaprasza na spotkanie Odnowy w Duchu Świętym. Jezu, dlaczego mam takiego pecha, westchnęła Aniela, a Marianka, że nie ma mowy, dziś idą razem. A jeśli Aniela ma kłopot z Reksiem, to młodsza siostra Marianki, Marlenka, chętnie pieniem się zaopiekuje. Powiedziała: pieniem.

- Mówiłam o Bobiku - wyszeptała Aniela. - To mój wujek.

- Bobik?

- Nieważne. O której? - Aniela zrezygnowała z tłumaczenia Mariance czegokolwiek.

- O dziewiętnastej.

Kiedy Aniela znalazła się w trzewiach Białego Kościoła, było już przed dwudziestą.

Nieśmiało weszła do sali katechetycznej, w której - jak mówiła Marianka - zaczynało się seminarium dla tych, co swoje życie chcą obejrzeć od podszewki, co chcą zmienić starą podszewkę życia na nową, a jeśli nie na nową, to przynajmniej niech spróbują załatać dziury w starej, bo - bracia i siostry - Jezus czeka na każdego.

Aniela stanęła z boku. Pod ścianą. Miała uraz po wspólnych spotkaniach grup kościelnych. Raz jeden pozwoliła, żeby Pola zawiodła ją na spotkanie Oazy, Oazy pełnej Polinego Jerzyka. Poszła Aniela, popatrzyła, obserwacje poczyniła, i basta, powiedziała. Wystarczy modlitw spontanicznych i plumkania na gitarze:

Jezus jest tu, o wnieśmy ręce, wielbiąc Jego imię.

Aniela rozejrzała się po sali. Marianka stała z przodu, przy kimś, kto prowadził spotkanie. Marianka była radosna, rozśpiewana, wpatrzona w lidera. Aniela przyglądała się metamorfozie Marianki ze zdziwieniem, ale przecież zdziwienie nie jest złe, lepsze od niego jest może zdumienie, więc koncentrując się na zdumieniu, jak również na gubionych jak paciorki różańca na dziedzińcu Białego Kościoła sensach życia, Aniela patrzyła na Mariankę i na resztę charyzmatyków.

Marianka zauważyła Anielę. Rozanielona przytuptała do niej.

- Trzymasz się? - zapytała troskliwie.

- Ściany - odrzekła Aniela.

- Jezus jest naszym Panem - zagrzmiął lider ze środka sali. Stał pod ogromnym krucyfiksem i unosił ręce jak powieszony na skrzyżowanych deskach Jezus, jego Pan. - Wyznajcie, że Jezus jest waszym Panem. Poza nim nie ma zbawienia - wołał.

- Jezus jest naszym Panem - powtórzyli wszyscy. Unieśli ręce do góry jak prowadzący, unieśli ręce jak Jezus, ich Pan, i kołysząc się w takt jakiejś pieśni, skocznej pieśni, powtarzali, że Jezus jest ich Panem.

- Długo tak? - wyszeptła wściekła Aniela, która jak nigdy wcześniej czuła się bezpańska.

Marianka nie usłyszała pytania.

Gibała się ze wszystkimi i mruzczyła coś pod nosem. Aniela czekała. Nie potrafiła podnieść rąk. Nie umiała krzyknąć z innymi. Nie chciała stać się taka jak wszyscy, jak masa Boża, jak Boża plastelina formowana na kształt lidera. Nie chciała stracić rozumu.

Pragnęła wyjść z sali, na której ludzie trafiani łaskawą mocą Ducha Świętego padali na podłogę i podrygiwali w paralitycznych konwulsjach.

- Może Jezus jest ich Panem, ale nie moim - powiedziała głośno do Marianki. - Spierdalam stąd - dodała na koniec.

Trans Marianki skończył się natychmiast.

Tyś jak skała, Tyś jak wzgórze-e-e-e, Panie nasz, Boże nasz, brzmiało wokół Anieli.

Marianka chwyciła Anielę za sweter, poczekaj, ale Aniela strąciła z rękawa pulchną rękę. I kiedy już wychodziła, kiedy ruchem skoczka alpejskiego omijała padających, leżących albo wstających, prorokujących niezrozumiale w językach albo tych, co na językach mieli już kolejne proroctwa; tych, co śpieszyli się, by proroctwa tłumaczyć prostaczkom; kiedy umykała pośpiesznie, w poczuciu, że Krawiec, którego szukała na spotkaniu charyzmatyków, nie ma odpowiednich nici, by zająć się jej podartą podszewką, wtedy ze środka sali rozległ się głos lidera:

- Jest tu z nami osoba, która nie może wybaczyć sobie. Bóg ją dotyka. Rozlewa w jej sercu łaskę pokoju. Mówi, że ją kocha.

Aniela poczuła, że jej gorąco.

Zatrzymała się przy drzwiach. Odwróciła się.

Spojrzała na wpatzonego w nią prowadzącego. Patrzył na nią. Czyżby wiedział o niej więcej, niż ona sama mogła wiedzieć o sobie? Czyżby chciał jej pomóc? Ujrzała w jego oczach nawiedzenie, które wtedy, tamtego wieczoru, pomyliła z wiarą, co przenosi Himalaje, z nadzieją, której rozwiązał się splątany język, i z miłością, co była jak trąbka Milesa Davisa.

Z miłością, co była.

I z Martą, której nigdy nie przestała szukać.

Wyszła ze spotkania.

Następnego dnia Aniela zapytała Mariankę, kim jest człowiek, przez którego usta Bóg powiedział, że ją kocha.

- Totalny - odpowiedziała Marianka.

- Totalny? To nazwisko? - nie zrozumiała Aniela.

- Nie. Ale wszyscy tak o nim mówią.

- Ma jakieś imię?

- Totalny to Totalny. Widziałaś, jak Bóg przez niego działa? Totalnie. Jego wiara jest totalna, i miłość, i nadzieja.

Aniela poszła na kolejne spotkanie. I na jeszcze następne. Bo miała nadzieję, że pierwsze proroctwo Totalnego znajdzie swoją kontynuację i może nie przy wszystkich, nie przy omdlewającym zgromadzeniu, ale może w samotności Totalny wyjaśni jej, o co dokładnie chodzi z Anielinym Bogu nieprzebaczeniem. Nie dowiedziała się. Bóg dotykał innych. Anielę omijał.

Dziewięciodniowe seminarium Odnowy w Duchu Świętym kończyło się modlitwą o wylanie darów Ducha Świętego. Aniela nie chciała na nie iść, bo nie zniosła dziewięciu koniecznych spotkań ogólnych, dziewięciu w małej grupie spotkań, na których ludzie wypruwali katolickie flaki, rozbebeszali swoją przeszłość i trudną drogę do Pana, wzięła udział tylko w trzech, bo po co, cóż to za dary, przecież miałam bierzmowanie, cóż to za duchowy replay, Marianka, odpiardol się wreszcie, już wystarczy?

- Przecież Bóg cię dotknął.
- Może Bóg, a może nie Bóg. A jeśli nie On, to kto?
- Może Totalny? - odpowiedziała niezrazona Marianka. - Mówi tylko o tobie.
- Przecież mnie nie zna.
- Trochę zna.
- Co mu powiedziałaś?
- Niewiele.
- Dlaczego to zrobiłaś?
- Bo niewiele wiem - odpowiedziała Marianka.

Aniela pomyślała, że Marianka przegapiła kurs logiki na studiach. Poszła.

Na wylanie darów czekała na dziedzińcu. Wreszcie doczekała się. Ktoś poprosił ją do małej sali, ktoś posadził ją na krześle (chwiało się). Modlitwa zaczęła się, święte bełkoty wypełniły przestrzeń. Aniela patrzyła na krucyfik i na wyciągnięte dłonie osób modlących się nad nią. Marianka prorokowała. Inni śpiewali w językach. A Aniela z opuszczoną głową myślała tylko o tym, że chce zobaczyć wewnętrzną stronę dłoni Totalnego. I tylko dlatego tu przyszła.

Bo chciała z bliska zobaczyć, jak modlą się jego dłonie. Te same dłonie, które później zachłannie miały macać jej ciało.

Siedziała Aniela na chwiejącym się zydelku kościelnym i znalazłszy w dłoniach przyszłego męża niespotykaną delikatność, patrzyła na wizerunek Panienki od Nieustającej Pomocy. I nie czuła wielkiej zmiany w sobie, ale to pewnie dlatego, że nie poszła do spowiedzi przed wylaniem darów, że uciekła sprzed konfesjonału w chwili, kiedy miała powiedzieć księdzu, Bogu nie przebaczyłam.

Minęło czasu może dużo, a może mało i usłyszała wreszcie, że Duch Święty przychodzi do niej z darem wierności.

- A to jest prorocтво dla ciebie - powiedział Totalny, który wziął od Marianki Biblię, od Marianki kierowanej Bożą mocą, co dla Anieli z ksiąg kilkudziesięciu wyłowila słowa Pana. I Totalny odczytał je: „Jezus natomiast nie zwierzał się im, bo wszystkich znał i nie potrzebował niczyjego świadectwa o człowieku. Sam bowiem wiedział, co w człowieku się kryje”. I zanim Aniela zdążyła zapytać, ale co to znaczy nic nie rozumiem, nie wiem, o co chodzi, musiała wyjść na zewnątrz, bo już następny z kolejki po dary wszedł do małej salki. Na chuj mi to, rzuciła cicho w powietrze. Ludzie w pobliżu zafalowali ze zdumienia.

Dopiero później Aniela, żmija plemienna, zrozumiała, że skoro Jezus wiedział, co kryje się w człowieku, powinien w czasie zabawy z zesłaniem Ducha Świętego zstąpić na nią z darem prorocznego ostrzeżenia przed Totalnym, a nie z darem wierności. Jakiej wierności? Komu wierności? Ten, Co Tchnie Kędy Chce, mógł przyjść z darem na przykład języków.

Śpiewałaby Bogu Aniela w anielskim języku, w chórze jednoosobowym a wstydliwym. Ale nie. Z grubej rury. Od razu z darem wierności, laudate Dominum!

Marianka następnego dnia doniosła, że Totalny w kościele Anieli szukał, nie znalazł, choć starał się i kąty święte przeszukiwał, ludzi obwąchiwał, o Anielę rozpytywał. Mariankę wreszcie dopadł, bo pamiętał, że to ona Anielę przywiodła w progi Pana. I prosił, aby skontaktowała się z nim koniecznie, nie mam czasu na takie spotkania, wzruszyła ramionami Aniela. I w myśli: rekolekcje przeszłam, Bobika uszczęśliwiłam, matkę uspokoiłam, Boga nie przeprosiłam, czas straciłam, dar dostałam, chętnie oddam.

- Chcesz, Marianka? - zapytała Aniela.
- Co?
- Już nic.
- Spotkasz się z nim?
- Nie.
- We wspólnocie, wiesz, to każda by chciała...
- Co by chciała?

- No wiesz, dom, dzieci, kościół.
- Z Totalnym?
- No wiesz, tak.
- A ty chciałybyś?
- Już pogodziłam się. Są inni. Totalny jest mi jak brat - Marianka smęciła.
- Ja nie chcę.
- Dlaczego?
- Widzisz, Marianka, mnie ani dom, ani dzieci, ani kościół specjalnie nie interesuje.
- Myślałam, że coś się zmieniło. No wiesz, masz za sobą formację.
- O tak, Marianka, zmieniło się. Z daleka omijam Biały Kościół. Ale nie przejmuj się.

Jezus żyje. Zadowolona?

Marianka obraziła się.

- Nic o nim nie wiesz. Totalny to święty człowiek.
- Święta, Marianka, to była moja siostra. Nie Totalny.
- Była? Już nie jest?
- Odwal się.
- On był w zakonie. W nowicjacie był.

Czerwone światło w głowie Anieli zmieniło się na żółte.

- Gdzie?
- W W. - odpowiedziała Marianka.
- Może spotkam się z nim. Może.

Mariance oczy rozbłysły, bo poczuła, że ma szansę zostać przyjaciółką dziewczyny lidera. Uraza ulotniła się natychmiast.

Aniela umówiła się z Totalnym na sobotę. Matce nie powiedziała, dokąd i z kim idzie. Włożyła na siebie wąskie sztruksy, krótką kurtkę, włosy umyła, przeczesała dłonią, bo żadnej fryzury z centymetrowego blondu słowiańskiego uczynić nie mogła.

Czekał na nią pod kościołem. Zapropozował mszę świętą, bo właśnie się zaczynała.

Aniela odmówiła.

Zapropozował lody z budki, co niedaleko teatru dramatycznego była. Aniela odmówiła. Zapropozował spacer. Aniela powiedziała, dobrze, zejdźmy na dół z kościelnego wzgórza drogą przez mężczyznę. Zdziwił się, ale odrzekł, prowadź.

- Marianka mówiła, że byłeś w nowicjacie.
- Byłem.
- Moja siostra też była w nowicjacie.
- Jest zakonnica?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie pytaj. Po co tam poszedłeś?
- Myślałem, że mam powołanie.
- A nie masz?
- Mam inne.
- Dlatego nie zostałeś zakonikiem?
- Powinienem odpowiedzieć: nie pytaj.
- Odpowiedz.
- Ojcostwo.

- Poczulem, że ojcostwo duchowe to za mało. Zapragnąłem fizycznego ojcostwa.

Choć nigdy nie zrezygnowałem ze służby Bogu. Sama widzisz.

- Widzę. Dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś?
- Modlę się o dobrą żonę.

Aniela przyglądała się Totalnemu. Miał takie oczy jak Marta. Niebieskie, prawie przezroczyste. Jak sprany błękitny sweterek matczyny.

- I? - zapytała Aniela.

- I nic.
- To źle?
- Źle.

- Nie chcę wychodzić za mąż - Aniela odpowiedziała, zanim Totalny strząsnął wiszące na krawędzi warg pytanie. - Zresztą Marianka pewnie cię o tym uprzedziła.

- To prawda, coś mówiła - odrzekł. Suka, pomyślała Aniela.
- Dlaczego nie chcesz wychodzić za mąż?

Aniela uśmiechnęła się. Chodzili wokół kościoła trasą dobrze znaną Anieli.

- Bo modłę się o takiego chuja, jakiego miał Czarny Marian - odpowiedziała.

Totalny zatrzymał się. Aniela nigdy nie widziała go takiego. Płonął. Ale nie ogniem Ducha Świętego, lecz ogniem pożądania. Jakby pospolite, uliczne słowo „chuj” otworzyło w nim zamknięte na siedem pieczęci ludzkie pragnienia.

- Jesteś inna - powiedział do Anieli, albo jakoś tak. - I budzisz we mnie demona - dodał chyba po chwili. - I od kiedy cię zobaczyłem, nie radzę sobie z tym demonem - dopowiedział mętnie. - Ale jestem mężny (położył dłonie na talii Anieli) i o wytrwanie w czystości wciąż się modłę (ślizgał się palcem po krawędzi jej ust). A ponieważ trwa to już długo, bardzo długo, od wyjścia z nowicjatu, czuję - tak mówił - że czystość moja na szwank jest narażona.

Aniela przerwała Totalnemu. Bełkotał.

- Co to za proroctwo padło na pierwszym spotkaniu, na które przyszedłem? To było do mnie? To do mnie Bóg wreszcie przemówił?

- To o przebaczeniu? O łasce, co się w sercu rozlewa?

-Tak.

- Może do ciebie.

- Jak to może?

- Normalnie - zbliżył swoją twarz do włosów Anieli. - Cudownie pachniesz.

- Wyjaśnij.

- To proste: tym proroctwem zaczynam każde seminarium. Zawsze do kogoś trafia.

Czasem do dwudziestu, trzydziestu osób. Zostają, uczestniczą w rekolekcjach, tak jak ty.

Gdybyś tego nie usłyszała, może więcej byś nie przyszła. Chwała Panu, prawda?

- Prawda. Ale kiedy prorokowałeś, patrzyłeś na mnie. Tylko na mnie!

- Bo byłaś najzgrabniejsza. Od razu cię zauważyłem. A jeśli mam? - zapytał.

-Co?

- Takiego chuja jak Czarny Marian.

- Nie masz.

- Sprawdź.

- A Duch Święty?

- Ma gołębie serce.

- Wybaczy?

- Wybaczy.

- Znajdź sobie inną.

- Chcę ciebie.

- Dlaczego?

- Proszę, ja nigdy...

- Ja też.

- Zlituj się nade mną.

- W miłosierdziu swoim?

Sprawdziła tydzień później.

Z ciekawości. Z tęsknoty za Czarnym Marianem.

Ze zmęczenia dziewictwem. W akademiku. Na cudzym łóżku. W nie swoim pokoju.

Nieprzebrana w łaskawości swojej, przebierała się Aniela po wszystkim w czysty podkoszulek i majtki. Bogata w miłosierdzie, ścierała z ud pulsujące bogactwo wnętrza



Totalnego. Nie wiem, dlaczego zgodziłam się na to, powiedziała cicho do Totalnego, a on, że jest wdzięczny i w ogóle, ale ten, tego, żeby nic nikomu nie mówiła.

Raczej nikomu.

- I jak? - zapytał jeszcze. Aniela wzruszyła kościstymi ramionami. - Wreszcie dowiedziałem się, jak to jest - powiedział.

- A nie wiedziałeś?

- Przecież mówiłem, że nie.

- Muszę iść.

- Dokąd?

- Daleko.

- Zobaczymy się?

-Nie.

Ola, która odbierała od Anieli dorobiony klucz do pokoju, zapytała, dobrze było?

Aniela, milcząc, machnęła ręką, bo chuja Czamomarianowego - jak się spodziewała - Totalny nie miał. I jeszcze pomyślała, że jej pierwszy raz był na długo ostatnim, tak jak ze spowiedzią pierwszokomunijną. Nawet trwał prawie tak samo długo. Czyli krótko.

Zobaczyli się miesiąc później. Aniela znalazła Totalnego po spotkaniu w małej grupie, zatrzymała go i powiedziała, jestem w ciąży. Z kim, zapytał. Z tobą. Cicho bądź, szepnął. Chcesz za mnie wyjść, padła krótka fraza totalna. Sama wychowam dziecko, odrzekła. To niemożliwe, odpowiedział. Dziecko musi mieć ojca, uzasadnił. A poza tym wstyd na całą parafię i jeszcze dalej byłby, gdybym cię nadmuchałą zostawił, dodał. Potrafię radzić sobie w życiu, odrzekła. O tak, dziecko jest tego dowodem, odpowiedział.

Spierdalaj, podsumowała Aniela.

Dzień później czekał na nią z kwiatami pod uczelnią i błagał, żeby nikomu nie mówiła. Oświadczył się. I tak bym się z tobą ożenił, skwitował. Jesteś zbyt niezależna (zrozumiałem to), by łapać mnie na bachora, dodał, wyjdź więc za mnie, to moja wina, sam chciałem wtedy, z tobą... ale cicho. Dobra, powiedziała Aniela. Bo sama dzieckiem, którego nie chciała, opiekować się nie zamierzała. I dodała, że nigdy nie chciała mieć dzieci. Zajmę się każdym, które mi urodzisz, uspokoił ją Totalny. Nie martw się. O nic się nie martw, pocieszał ją. Tylko się uspokój, nic nie mów.

Ludzie nie mogą się dowiedzieć. Ty głupi jesteś, odrzekła Aniela, kyrieielejson, przecież potrafia liczyć.

- Coś się wymyśli - powiedział.

- Bierzesz to na siebie?

- Biorę.

- I kłamstwa, i dziecko?

- Część prawdy i dziecko.

Na obiedzie zaręczynowym pojawili się rodzice Totalnego. Przyszła też ciotka Dora z Kryską. Bukiet róż wylądował w rękach matki Anieli, a mały złoty pierścionek bez oczka znalazł się na serdecznym palcu młodej narzeczonej. Rodzice Totalnego z dumą patrzyli na syna. Bo to przez jego ręce działał Bóg. A on w grupie wstawienniczej prowadzi modlitwy pełne mocy, że już nie powiem o tym, iż liderem „Chwały Barankowi” jest, Barbara wypluła kostkę drobiową z gęby, wycierając z ust resztki tłuszczu i pomarańczowej szminki, i ludzi uzdrawia - dodała.

- Szkoda, że nie spotkałam cię wcześniej - zwróciła się Aniela do Totalnego.

Zapadło milczenie. Krysce po szyi ciekły strugi rosołu. Nagle uśmiechnęła się, a z jej przepastnej, wielkiej gardzieli dobyło się nieoczekiwane proroctwo:

Nie ciesz się, cała ty Filisteo, iż został złamany kij, co cię smagał, bo z zarodka węża wyjdzie żmija, a owocem jej będzie smok skrzydlaty.

Ciotka Dora spokojnie jadła kurczaka. Matka Anieli rozgarniała, jak znudzona wróżka, fusy po kawie układające się magicznymi farfocłami na dnie filiżanki. Rodzice Totalnego wstali nagle, z Bogiem, z Bogiem padło. Bo nie do widzenia, ale tak właśnie, z

Bogiem. Teściowa, niespokojnie spoglądając na Krysę, zapytała:

- Ale ślub kościelny będzie, prawda?
- Prawda - odrzekła matka Anieli.
- A właściwie skąd ten pośpiech? - dopytywała się jeszcze Barbara.

Matka spojrzała na Anielę.

- Miłość, mamó, nie wybiera. Wreszcie wymodliłem sobie właściwą żonę - Totalny próbował wyprowadzić matkę z domu Anieli.

- Ale ona nie jest...?
- Nie jest, mamó.
- To wstyd byłby. Na całą parafię.

Wyszli. Matka drzwi po gościach trochę mniej świętych niż aniołowie, co Abrahama pod dębami Mamre nawiedzili, szybko zamknęła na klucz, i kiedy ciotka Dora w kiblu z Krysą siedziała, zapytała Anielę:

- Czy ty wiesz, co robisz, dziecko?
- Nie wiem.

Aniela nie wiedziała także, dlaczego wiele lat wcześniej matka sama wróciła z W. Aniela z pobłażaniem czytała właśnie o wiernej Eunice, umierającej razem z Petroniuszem.

- Byłaś w kościele? - zapytała matka.
- Byłam - skłamała Aniela. Zauważyła czerwone, załzawione oczy matki.
- Jutro ojciec przyjedzie z Martą do domu. Jutro...
- dopowiedziała matka.

Aniela milczała.

Marta miała wrócić do domu. Właśnie wtedy.

- To przeze mnie - powiedziała szeptem Aniela.

Drewno konfesjonału pachniało inaczej niż kilka lat wcześniej. Nie znalazła w nim księdza Józefa. Znalazła jednak w przestrzeni godzącej ludzi z Bogiem to samo poczucie swojej winy. Urosło w ciągu kilku lat, przytyło, wypasło się na niebieskich łąkach między strzegącymi go aniołami wstydu a demonami małego, kilkunastoletniego zwątpienia.

- To nieprawda - odpowiedział kapłan siedzący po drugiej stronie łaski.
- To prawda.
- Więc uważasz, że gdybyś nie opuściła mszy świętej, twoja siostra ocalałaby?
- Tak.
- To plany Boże, dziecko. Trudne plany Boże.
- Nie wierzę w plany Boże.
- Jesteś za mała, aby to zrozumieć.
- Jestem w sam raz, aby to zrozumieć.
- Bóg jest za dobry, żeby karać.
- Bóg jest w sam raz, żeby mnie ukarać. Zgrzeszyłam.

Aniela nie chciała czekać na odpuszczające winy puk, puk. Odeszła od konfesjonału. Odwróciła się od karzącego, sprawiedliwego Boga. Nawet gdyby puk, puk odpuściło jej grzechy, nie uwierzyłaby, że jest niewinna. Bóg w swoich planach był nieobliczalny. I tak uparty, że nigdy ich nie zmieniał. Metafizyczny koniec i transcendentna kropka. Nie było zmiłuj się nad Anielą w łaskowości swojej, choć wołając z głębokości do Ciebie, głos całkiem straciła.

Aniela wyszła z kościoła. Stała na wałach. Przyglądała się z góry miastu. Dlaczego mnie nie wysłuchałeś, rzuciła pytanie, patrząc na figurę kamiennego dobrego Pasterza, strzegącego wspólnie ze stadem owiec wejścia na wały i na dziedziniec kościoła. Nie tak miałeś mnie wysłuchać, nie tak Marta miała wrócić do domu, zupełnie inaczej.

A przecież jeszcze niedawno, niedługo przed powrotem Marty do domu, miała bierzmowanie. Rok później niż Pola, rok później niż cała jej klasa. Bo kiedy wszyscy oddawali się Duchowi Świętemu, Aniela miała operację. Chirurg wyharatał jej ślepą kiszkę.

Przed swoim opóźnionym bierzmowaniem po raz kolejny zdawała egzamin z

katechizmu. Nauczyła się go szybko, bezmyślnie, beznamiętnie, nieczule. Nie pytała matki o sens sakramentu. Zresztą odpowiedź byłaby jedna: bo tak.

A później poszła do spowiedzi nakazanej i pokutę zadaną odprawiła. Kyrie-eleison, chryste-eleison, loretańską litanie zmówiła, doprawiła dziesiątką różańca za zmarłych, chwyciła karteczkę podpisaną przez nieznaną rękę księdza, zapomniała chwilę później o swoich grzechach, kłamałam, obmawiałam, śniłam, ruchy wazki pod koszulą nocną czułam. Gładko jej poszło, puk, puk nie zrobiło na niej wrażenia, żadnego wrażenia.

A później, w dzień Pięćdziesiątnicy, w kościele anielsko śpiewała z lekcjonarza i psalm, i alleluja, i „Przyjdź, Duchu Święty, ja pragnę” także wyśpiewała, i czekała na oleje święte, na krzyże przez biskupa na czole czynione i zastanawiała się, czy poczuje Ducha Świętego, co na nią miał zstąpić. A kiedy wreszcie oleje wymazały jej czoło między kilkoma przyszczami, kiedy biskup nadał jej imię patronki bierzmowania -

świętej Marty, Aniela, która nic nie poczuła, obejrzała się na innych i zauważyła, że oni także stoją na środku świątyni nie porażeni Duchem, że szumu z nieba nie słyszą, że gwałtownego wichru nie czują.

Seks wzbudza więcej emocji, pomyślała, i szybko przestała myśleć o seksie, bo natychmiast wracał Anieli przed oczy, wciąż przychodził dawny widok z hotelu „Promenada”. Dupa-ojca-bliżej. Dupa-ojca-dalej.

Żona wuja Bobika, świadek bierzmowania, w odświętnej spódnicy do pół łydki, szturchnęła Anielę, żeby nie gapiła się, nie rozglądała się, a po wszystkim radośnie całowała Anielę, zostawiając na jej policzkach pieczęcie swojej wielkiej, włochatej brodawki, kwitnącej przy górnej wardze. Wuj Bobik śpiewał pod nosem pieśni chwały, matka ocierała łzy, ale nie ze wzruszenia, lecz z tęsknoty za starszą, nieobecną córką, a ojciec stał gdzieś z tyłu, nie wiedząc, co uczynić z drewnianymi dłońmi, które ostatnio głaskały plecy pani Anny i z tego powodu układały się w niezgrabne znaki krzyża i w nieprawdziwe w piersi łomotanie, nie moja wina, nie moja wina, nie moja i nie bardzo wielka wina, bo Ty, Boże, przecież wiesz, że to przez kobietę bezpierśną, która odmawia małżeńskich obowiązków, amen.

Ojciec jednak tamtego dnia nikogo nie interesował. Ani Anieli, ani jej matki.

Po bierzmowaniu Aniela na chwilę przestała kłócić się z Panem Bogiem: o brak Marty, o brak wrażeń.

Uspokoilo ją Duchem Świętym napełnienie. Z Bogiem chwilowe obcowanie. Od tamtej chwili czasem sobie z Bogiem gadała, rzadko i krótko, ale gadała.

Prostymi słowami, bo wiedziała, że On wielkich nie usłyszysz.

Gołębią Osobą napełniona, jak świątecznym obiadem, jak podaną przez matkę kaczką z jabłkami, jak jak to więc jest, zapytała Anielę, patrząc z wałów na miasto. Że dobrze trwa tylko chwilę. Że Bóg mieszek błogosławieństw rozwiązuje na krótko. Że z wora nieszczęść zło sypie się jak łupież z głowy ojczyzna Poli. Wciąż.

Boże, zupełnie Ci się wszystko pomyliło.

Jeszcze kilka tygodni temu, jeszcze niedawno, przyglądała się leżącej w wykrochmalonej pościeli Marcie. W białej pościeli leżącej. I białej matce przy białej pościeli siedzącej.

Matka kochała Martę bardziej niż Anielę. Aniela kochała Martę bardziej niż matkę.

Kiedy rodzice przywieźli starszą córkę z klasztoru, od razu posłali ją do szpitala. Aniela nie pamiętała, jak długo tam leżała. Może długo, może krótko.

Dni stały się takie same. Szkoła, szpital, dom. Wieczorem krótka modlitwa, bo od kiedy Marta znalazła się na onkologii, Aniela codziennie się modliła. Różaniec samotny pod krzyżem wiszącym w małym pokoju odmawiała w wielkiej tajemnicy, żeby tylko matka tego nie zobaczyła i nie zechciała razem z Anielą go klepać. Odmawiała zdrowaśki na pożyczonym różańcu, na jednym z siedmiu Marty różańców, zaklinała Panienkę i Wszystkich Świętych, żeby z pomocą przybyli i ratowali, chwalaójcuisynowi, jej siostrę.

A później, jeśli miała siłę, jeszcze do Miłosierdzia Bożego udawała się z pielgrzymką, wagoniki dla Jego bolesnej męki posyłała w stronę nieba i dusze w czyścicu cierpiące na

pomoc wzywała. Pod kołdrą zaczęła czytać Faustynę.

Jezus patrzył na Anielę z góry.

A Aniela przypominała sobie, że On śpiewy lubi, bo babcia Jakuba zawsze powtarzała, że kto śpiewa na chwałę Pana Boga, ten podwójnie się modli.

Jakby lepiej. Jakby mocniej. Jakby szlachetniej. Brała więc Aniela pod krzyż książeczkę do nabożeństwa i po różańcu, po ostatniej zdrowaśce, leciała po kolei:

w parzyste dni pieśni wielkopostne, ludu, mój ludu;

w nieparzyste dni kolędy, Jemu wdzięcznie przygrywajcie; w niedzielę, która była siódma, dlatego nie wiadomo jaka, chyba specjalnej - jak Kryska - troski, śpiewała wszystko, co nie było postnym smętem albo bożonarodzeniowym ust płasaniem, u drzwi Twoich stoję, Panie, czekam na Twe zmiłowanie.

Aniela nie doczekała się zmiłowania. Jakiś czas później matka z płaczem zaczęła szukać dawcy szpiku. Ani ona, ani ojciec nie mogli uratować Marty. Padło na Anielę.

Matka zawiozła ją do szpitala, do tego samego szpitala, w którym pomalutku Marta traciła włosy, rzęsy i całą resztę swojego ciała. Kiedy Aniela maszerowała przez chłodne korytarze kliniki, pomyślała, że do siostry powinna w te pędy pobiec i powiedzieć jej, że to przez nią, przez Anielę, Marta jest chora, bo wiesz, wtedy z tą mszą świętą nawaliłam, więc teraz zrobię wszystko, żeby to naprawić. Nie umrzesz, Marta, prawda? Nawet gdybyś miała wrócić później do klasztoru, to pal sześć i cześć, wracaj sobie, skoro chcesz, Aniela chciała wykrzyzczyć Marcie. Wracaj sobie, skąd przyszłaś, bo ci pewnie tam dobrze.

Ale nic nie powiedziała, ponieważ matka ciągnęła ją przez labirynty szpitala nie do Marty, ale do znajomego lekarza, specjalisty od cholera wie czego bo oni wszyscy tu specjalistami byli. Kiedy wreszcie dotarli, panny przerażone i milczące, na miejsce, lekarz zaczął zadawać matce pytania o Anieline choroby, mikroby, żeby nie było żaloby, i gad o antygenach zgodności tkankowej i o tym, że będzie trochę bolało, ale dopiero wtedy, jak znieczulę nie miejscowe przestanie działać, bo jak przestani działać, zrobi się znieczuleniem zamiejscowym (ha, ha, taki dowcip!), a za kilka dni, kochana, zwrócił się do Anieli, nie będziesz pamiętała o jakimkolwiek bólu.

Aniela przyglądała się matce. Na wszystkie pytania lekarza odpowiadała krótko i rzeczowo. Żadne go narzekania, zawodzenia, jęczenia. Później lekarz wziął Anielę za rękę i zaprowadził do sali, w które miała czekać na zabieg. Jeszcze później z Anieli pobrał materiał do badań, pobrał szpik, wyssał z ciała Anieli ukryte części jej organizmu.

Po wszystkich matka siedziała przy córce i patrzyła na nią. Aniela leżała bez ruchu na szpitalnej kozetce.

- Mamo.

-Tak?

- Ona umrze?

- Nie wiem.

- Wiesz, że to przeze mnie?

- Nie. To nieprawda.

- To prawda. Wtedy, w tamtą niedzielę, kiedy ostami raz byliście w klasztorze, nie poszłam na mszę.

Matka pochyliła się nad Anielą. Pocałowała ją w czoło. A później poszła do Marty, dwa piętra wyżej. Nie powiedziała: byłaś dzielna.

Okazało się, że szpik Anieli jest zły. Antygeny zgodności niezgodne były.

Wszystko było złe i niezgodne.

Matka miała wciąż czerwone oczy, ojciec nie wyjmował z ust sportów, a Aniela zamykała się na całe wieczory w małym pokoju i mruzczała Ukrzyżowanemu kołysanki. Wreszcie zapadła decyzja, że Marta wraca do domu. Matka nie chciała, żeby umarła w szpitalu. Przywiozła ją na Gruntową. Wróciła więc Marta, o twarzy papierowej i o łysych powiekach, na swoje łóżko, na rozkładany półko-tapczan. Była tak słaba, że nie miała siły rozwiesić świętego Luwru nad swoją prawie świętą głową. Aniela klejem biurowym

przyklejała do białej płyty święte Teresy, Małą i Dużą, świętych Janów od Krzyża, krzyże bez świętego Jana.

Marta patrzyła na to obojętnie. Leżała z oczami zawieszonymi na suficie. Jej palce miały coraz mniej siły, by przeskakiwać po drewnianych, bursztynowych albo plastikowych paciorkach.

Aniela czuła, że razem z Martą konał cały jej świat. Świat Marty, w którym chciała żyć i umrzeć.

Bo umrzeć w habicie chciała. Chciała być pochowana za czterdzieści lat na przyklasztornym cmentarzu, między siostrą Praksedą a siostrą Maksencją.

I co z tego, że chciała? Nic. Pewnego dnia Pan Bóg zaczął odbierać jej siły. Najpierw skubał Martę delikatnie, podszczypywał grypowymi bólami głowy i stawów. I pewnie nikt w zakonie nie przejąłby się tym, gdyby Marta, ukrywająca wszystko Marta, Marta tańcząca walce z podłogową szmatą, wywijająca dżajfa ze szczotą szorującą nierówne zielone lamperie klauzury czy też krocząca w dostojnym polonezie z igłą wyszywającą złotymi nićmi hostie na ornatach, gdyby Marta nie zaczęła mdleć. I krew ją zalewała.

Z nosa. I z dziąseł. I stamtąd. Z dołu. I wyglądało to tak, jakby miała okres bez końca, Jezuu, mój Jezuu, cóżeś jej uczynił?

Kiedy więc Marta ukrywać się z niedyspozycją dłużej nie mogła, matka przełożona, matka wielebna Katarzyna, wezwała lekarza, a ten kazał Marcie do szpitala iść. Zdała się więc Marta, panna chwalebna i błogosławiona, na łaskę i niełaskę medyków, a po badaniach, po nieskromnych piersi odkrywaniach, po krwi toczeniu, po zagładaniach w miejsca ukryte dla świata, piękne jak łacińskie surrexit Christus, alleluja, usłyszała Marta myelosis leukaemia acuta, alleluja.

I wtedy właśnie matka wielebna Katarzyna napisała list do matki Marty. Marty - nowicjuszki nieprzydatnej Kościołowi.

- Dlaczego zachorowałaś? - zapytała Aniela siostrę patrzącą w sufit.

Była coraz słabsza.

- Taka jest wola Boga.

- Bóg chce, żebyś cierpiała?

- Widocznie tak.

- Jest zły. A twoje siostry są głupie. Ogoliły ci łeb, kazały ci pracować i co? Teraz, kiedy jesteś beużyteczna, nie chcą cię?

- Bóg jest mądry, a siostry praktyczne. Zresztą...

wolę być tutaj...

- Miało być inaczej. Modliłam się, żebyś wróciła do domu zdrowa. Cała. Normalna.

- Tak wyszło.

- Nie będę się więcej modlić.

- Dlaczego?

- Modliłam się, żebyś nie szła do klasztoru -

poszłaś. Modliłam się, żebyś wróciła - wróciłaś, ale umierasz. Modlę się, żebyś wyzdrowiała, ale słabniesz. Wyzdrowiejesz?

- Nie wiem.

- Co ci jest?

- Zapytaj mamę.

Matka jednak milczała. Nie odpowiadała na pytania Anieli. Rozmawiała z ojcem cicho, rozmawiała z nim tak, jak Jezus ze świętym Piotrem, jak Jezus, który uparł się, że Piotr ma zostać opoką Jego kościoła.

Życie zaczęło toczyć się w ciszy. Aniela biegała do szkoły. Niecierpliwiała się na lekcjach. Płakała w rękaw Poli, Pola pocieszała Anielę, wszystko się ułoży, dziwko, mówiła, wszystko będzie dobrze.

Nic nie było dobrze.

Zaraz po szkole Aniela wracała do domu. Siadała przy Marcie i opowiadała jej, że

wariatka od zpt.

już szósty miesiąc uczy dziewczynki gotowania zupy ogórkowej. Że najpierw na tablicy rysuje garnek i wszystkie składniki. I ogórki, rozumiesz, ogórki w słoikach rysuje. Ale Marta nie słuchała. Aniela głaskała jej dłoń. Kiedy Marta zasypiała, a często zasypiała, Aniela pochylała się nad nią i jak pies podwórka pilnowała urywanego oddechu siostry. Nie chciała wpuścić śmierci. Warczała. Pohukiwała. Trącała Martę. Budziła ją delikatnie. Wracaj, Martuś, wracaj.

Wieczorami przychodziła pielęgniarka wbić w chude ciało Marty zastrzyk. I były jakieś kolacje spożywane w milczeniu. I ksiądz, który przybył z wiatykiem, żeby Martę Chlebem Życia na z ludźmi pożegnać, a na z Bogiem spotkanie - nakarmić.

Kiedy Marta wróciła do domu, zaraz po szpitalu poprosiła Anielę o wspólną modlitwę. Zaraz po tym jak ojciec położył skazaną na śmierć Martę w małym pokoju, zaraz po tym, jak na katafalku półko-tapczanu Marta wylądowała, jak patrząc na krowie placki wymalowane kiedyś przez Anielę, zapytała, a co to?

Ale Aniela nie przyznała się, że to krowie placki, to tylko plamy, jakieś plamy, niepotrzebne, przypadkowe jak twoja choroba, i w ogóle, nie patrz na to, powiesz tu makatkę z Ojcem Świętym, tę cepeliowską makatkę. Marta uśmiechnęła się tylko uśmiechem bledszym niż jej ciało. I Aniela dobrze wiedziała, że to Marty życie z woli Boga blednie.

Kiedy więc prosiła każdego ranka, chodź, pomodlimy się, to Aniela bezszelestnie, bezgłośnie klękała przy siostrze, przy niedosłej siostrze Felicji, Łucji, czy jak tam, gładziła jej łysą czaszkę, i tak, żeby Marta nie słyszała, ojczenaszktóryśjestwniebie mówiła.

Bo musisz być w niebie i tylko w niebie, Ojcze, który jednak nie mój jesteś. Bo jak możesz siedzieć wysoko i ponad, skoro tu, na ziemi, moja Marta umiera. I jeszcze jakiejś czci dla swego imienia się domagasz, Ojcze głuchy jak pień, Ojcze ślepy jak ci, których uzdrawiał Twój Syn. Pogadaj z Nim, może bielmo z oczu Ci zdejmie i dojrzyś moją Martę, moją siostrę. Bo ja, Ojcze, mam siostrę. Oto ona. Chuda i łysa.

I blada. Kiedyś miała błękitne oczy i długie rzęsy. Ale tak wygląda zabawnie. Prawda? Podoba ci się? No pewnie, że Ci się podoba, Ojczeniemój, bo to właśnie do niej ma przyjść Królestwo Twoje. Poczekać nie mogłeś? Nie mogłeś, ponieważ bądźwolabedyskusyjnatwoja, i żadnych odwołań. Ale może spojrzysz na mnie, może na mnie się zdecydujesz? Bo w końcu - co za różnica, która z nas do Twojego nieba pójdzie? Mogę umrzeć zamiast Marty. Twój rachunek będzie się zgadzał. Albo nie. Wiesz, tatę wybierz. Po co komu jego życie z gumy do żucia? Mógłbyś pobawić się nim w swoim Królestwie. Lepiłeś kiedyś ze zzuwek?

No widzisz. Tato jest jak zzuwka. Weź go. Jest zabawny. Dzięki niemu stałbyś się mniej oficjalny i nadęty.

Z chlebem powszednim też daj spokój, bo tylko mydlisz nim oczy, tylko się nim zasłaniasz, tylko udajesz, że nie wiesz, że chleb mój powszedni to Marta. Skoro więc dać mi jej nie możesz, bo postanowiłeś wziąć dla siebie cały bochen, w dodatku bochen poszatowany na nierówne kromki niesprawiedliwego cierpienia, to wypchaj się. Nie powiem gorzej, bo może to sobie zapamiętasz. Może jednak jesteś, Boże, i słyszysz mnie, jak wołam z czeluści moich do Ciebie. A jeśli tak jest, to pewnie mnie kiedyś rozliczysz. Ze słowa każdego. No trudno, nie mam siły gadać z Tobą. Idź lepiej, Ojczeniemój, do swojego nieba i siedź w nim.

I nie oczekuj, że odpuszczę Ci Twoje winy, bo wolę z pokuszeniem wodzić się w te i nazad, niż czekać na Twoje zbawienie. Amen.

Tak modliła się Aniela. I czekała. I doczekała się.

Marta przestała pewnego ranka modlić się.

Umarła.

Nie poprosiła Anieli, jak co dzień, daj mi rękę, tu klękniij, chodź.

I Aniela wiedziała, że dusza z ciała wyleciała, na zielone łąki poleciała, na świętego Piotra, a może na anioła, poczekać musiała. A może nawet na dwa anioły. I na babkę Jakubę.

I Aniela patrzyła na swoją siostrę.

I zrozumiała, że świąt już nigdy nie będzie takich samych, że karp będzie smakował jak kawałek trumiennego drewna, że lepienia pierogów nie będzie, że uszek sklejaną na ślinę albo na pomazany wodą palec też już nigdy więcej nie będzie, że skończyło się wszystko na wieki wieków amen. I maku mielenia, dwa razy ja, cztery razy ty, a najlepiej razem, daj rękę, Aniela, razem ukęcimy łeb makowym ziarnom, że tego też nie będzie. I Anieli, Panienci Makowej, która kręciła, mieliła razem z Martą ten mak, a matka denerwowała się, bo usypiające mleczko z maku kapalo na podłogę i śmierdzące, wstrętne linoleum brudziło, takiej Anieli z taką Martą również nie będzie. I pojęła też Aniela, że choinka na zawsze pozostanie naga, a pod choinką nigdy Aniela nie znajdzie papugi.

Niebieskiej. Ze sklepu zoologicznego, co przy Białym Kościele stał. Że święty Mikołaj już nigdy nie przyjdzie, zresztą i tak nie przychodził. Bo Aniela w któreś święta powiedziała Marcie, że Mikołaj wcale nie jest święty, że jest skurwysynem wykorzystującym dzieci. To było wtedy, kiedy matka oznajmiła, że Mikołaj Anieli łyżwy przyniesie, jeśli przez cały grudzień na kolanach będzie wybierać paprochy z bordowego dywanu, co porysowane klepki w dużym pokoju przykrywał, te wszystkie syfy, których nie zgarniał odkurzacz, miała Aniela wybierać. Po dwóch tygodniach Aniela powiedziała, że koniec, kropka, że żadnych łyżew nie chce, że dowidzenia panahenia, że Mikołaj niech na czubku choinki powiesi łyżwy, których ona już nie pożąda. I Mikołaj posłuchał, i Anieli książkę w to Boże Narodzenie przyniósł, jedną książkę, Firosetę i czary jej przyniósł, baśnie z kilkunastu stron świata jej przyniósł.

Zrozumiała też Aniela, że zimne wargi Marty w Wielki Post krucyfiksu już nie ucałują, że chłodne dłonie znakiem krzyża nie odpędzą demonów wielkopiątkowej śmierci, bo właśnie same zmarły; że stopy Marty już nie wezmą udziału w drodze krzyżowej, że między pierwszą a czternastą stacją na szagę, na skróty już nie pójda, bo właśnie zaczęły wędrówkę w stronę stacji piętnastej Śmierć własna a niezrozumiała, a po stacji piętnastej miała być szesnasta Zmartwychwstanie duszy i ciała w dniu Sądu Ostatecznego.

Skończyły się wspólne z Martą święta Zmartwychwstania Pańskiego, alleluja, Pana, co leżał trzy dni w grobie, dał bok przebić sobie, ale przy tej okazji przebił trochę bok Marty, tak lekko, tak trochę, na krzyżu leukemii wiszącej Marty bok przebił, bo skoro jak Oblubieniec być chciała, to niech ma, nacudjonasza, naszanacudjo!

Pojęła Aniela, że ani pasterek, ani rezurekcji, ani telepania się powolnego za procesją Bożego Ciała, za hostią wystawioną na ludzkie oczy, za Jezusem, co wybieżał z zakątków dusznego tabernakulum, by włości swoje parafialne obejrzyć, dojrzyć tego i owego, już nie będzie. Że stapania za Martą, która serca niepokalane metalowe na czerwonych poduszkach zazwyczaj nosiła, nie będzie, ani kwiatków sypania.

Zresztą jakie miało to znaczenie. Anieli sypanie kwiatków przydarzyło się tylko raz, jeden jedyny raz, kiedy po pierwszej komunii świętej poszła razem z innymi i w lewo kwiatki bach, w prawo kwiatki bach, i ciągle inaczej, i ciągle nie tak jak wszyscy. Ze wszystkich świąt święta Wszystkich Świętych Aniela od tej chwili najpilniej obchodzić miała, Panie, zmiłuj się nad nią.

Minął czas wszystkich rozmów z Martą, spacerów niedzielnych do Białego Kościoła, czas zadawania głupich pytań i czas cierpliwych odpowiedzi siostry, czas przekomarzania się: zmów pacierz, Aniela, i: Marta, daj spokój, jaki „pacierz”, lepiej zmówię „przecież”.

Minął czas wspólnego odrabiania lekcji, patrzenia w niebo, dziergania szydełkiem kapeluszy dla lalek, podkochiwania się w Tolku Bananie, czytania Ucha od śledzia i Opium w rosole, oglądania Nu, zajac, pagadi, smażenia naleśników z serem, a jeszcze lepiej grubych omletów.

Stała Aniela przy ciele Marty i głaskała jej twarz.

Półotwarte powieki zmarłej nie chciały się zamknąć.

Aniela spróbowała połączyć je ze sobą, na wiecznyodpoczynekraczejdaćpanie, ale nie udało się. Dalej więc głaskała opuszkami palców swoich kilkunastoletnich, palców z

obgryzionymi paznokciami, z wygryzionymi skórkami, głaskała stygnącą Martę. I zastanawiała się, gdzie jest teraz anioł stróż nieżyjącej siostry. Czy umarł razem z Martą? Nie, na pewno nie umarł. Bóg nie może być nieoszczędny. Na pewno takiego anioła wykorzystuje wiele razy. Ma anioły wielokrotnego użytku, które później posyła do kogo innego. Na trochę, na jakiś czas. Ale anioł znaczoney pechem poprzedniej śmierci już zawsze będzie kończył karierę stróża wcześniej. Taki los, głask po córa chłodniejszym policzku, takie anielskie przeznaczone, głask po drugim policzku. Żadne tam pilnowani do starości i ciągle przed grzechem strzeżenie, myślała Aniela.

Tak sobie stała i myślała. Jej dłonie nasycaly si stygnącym ciałem siostry.

Z ciszy Anielę wytrącił krzyk matki.

Wyła. Posłuchajcie, bracia miła, posłuchajcie uważnie. Mater dolorosa podniosła głos po raz pierwszy od kiedy łysa Marta pojawiła się w domu. Bo wcześniej było cicho, cicho, cicho. Na palcach i na rżesa wokół pokoju Marty truchtem poruszali się wszyscy. Ale cisza już nie była potrzebna. Więc stała matka boleściwa przy rozłożonym półko-tapczanie i przy Marcie na nim leżącej, głaskała córkę po martwej czaszce, a później klęczała, obejmując ciało, a łzy kapaly na podbrzusze Marty. O kurwa, szepnęła Aniela. Matka nie usłyszała, zawodziła wciąż, o Boże, o Boże. I chociaż Aniela wiedziała, że Bóg wbił w matkę wszystkie noże, zresztą sama czuła się pocięta wołą Bożą, i chociaż wiedziała, że teraz lepiej zostawić matkę samą, podeszła do niej.

- Mamo - powiedziała. - Mamusiu - powtórzyła.

I wtedy mamusiu spojrzalo na nią tak, jak nigdy na Anielę nie patrzyło, bo w spojrzeniu mamusi jakaś pretensja podszyta winą czerwoną wypełzła, jakby żal, że to Marta, a nie Aniela w bladej pościeli leży.

- Przepraszam - odrzekła matka. Pocałowała Anielę w czoło, ale inaczej niż wtedy w szpitalu, po pobraniu szpiku. I wyszła z małego pokoju, wyszła pulsu nie zbadawszy, wielkości źrenic nie sprawdzwszy, wyszła zawołać innego lekarza, który mógłby to uczynić, bo jej medyczne kompetencje razem z Martą

na zielone łąki uleciały.

Aniela została sama.

Sama z Martą.

Wiedziała, że zabiła ją nieobecność Anielina w kościele w tamtą niedzielę, kiedy rodzice pojechali do W.

Wiedziała, że to jej wina. Bo Marta nigdy nie opuściłaby eucharystii. Bo Marta pamiętała o wszystkim, co wiązało się z jej Oblubieńcem.

I przypominała sobie, że babka Jakuba, która właśnie przechadzała się po zielonych łąkach nieba z Martą, zawsze powtarzała, Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

To samo powiedział Totalny. Wtedy kiedy Aniela ogłosiła nowinę o rozwodzie. Po tym, jak skończył się czas ciszy Totalnego, po tym jak powiedział, że Anieli z głębi serca wszystko wybaczył, bo pamięć swoją dzięki Panu uleczył, pamięć o świeżym Anieli romansie z Pizdeuszem.

Pozew o rozwód wniosła Aniela. Zanim wyszła z domu, by pismo rozwodowe w sądzie zostawić, zdjęła obrączkę.

Jak to się stało, zapytała, zamykając cicho drzwi od domu.

Wiedziała, jak to się stało.

Zaraz po tym, jak wyszła za mąż za Totalnego, wszystko zrobiło się inne.

Jego oczy ściemniały, a słowa zgorzkniały. Nasycal małżeństwo z Anielą swoją nieobecnością i kościelnym zaangażowaniem, w którym nie było miejsca dla żony. Zajmuj się domem, szeptał tylko, i resztą spraw swoich, dziwko, co na dziecko mnie złapałaś, czytaj te swoje durne książki, te swoje Marquezy i Płatonowy, czytaj i mojej świętej dupy mi nie zawracaj, bo ja mam ważne sprawy na głowie, i doktorat mam do skończenia, i kolejne rekolekcje do przygotowania. Tylko w nocy przypominał sobie o niej. I jak ojciec panny w hotelu, tak on ją. Zagryzała Anielę pięść z bólu.



Totalny-bliżej. Totalny-dalej.

I uciekał z domu, i rekolekcje poza miastem urządzał, i spotkania małżeńskie i narzeczęńskie, i wszystkie. Wszędzie on.

Tego wieczoru, kiedy właśnie po raz kolejny miał wyjechać, Aniela, która kilkanaście dni wcześniej z Marysią do domu wróciła, leżała na wielkim małżeńskim łożu. Obok niej dziecko.

- Zostań - poprosiła, kiedy pakował do małego plecaka plik jakichś notatek.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Czekają na mnie.

- Ale ja też czekam na ciebie. I Marysia.

- Ale ty możesz czekać. A oni nie.

Aniela wstała, zamknęła za nim drzwi. Marysia oddychała spokojnie przez sen. Aniela siadła na środku pokoju, schowała głowę w ramiona, siadła i zapłakała, panna boleściwa.

Niebłogosławieni ubodzy duchem, wyśpiewała cicho, albowiem im mniej mają, tym mniej się spodziewają, więc nie nasycaj mnie, Boże, wewnętrznym bogactwem, bo i tak go nie przyjmę, schowaj metafizyczne krówki, transcendentalne ciągutki, bo i tak je wyrzycam.

Niebłogosławieni, którzy się smućą, albowiem nie potrafisz ich pocieszyć, więc zrozum moją wściekłość, mój gniew i na smutek niezgodę, i zrozum, że mam dość tego smutku, który jest zawsze pojedynczy i nie dzielony, choć powinien być dzielony, bo kurewskie, małżeńskie równanie powinno dzielić się na dwa.

Niebłogosławieni cisi, albowiem nikt ich nie słyszy, nawet wtedy, kiedy mówią głośniej, przeciwczyliśmy to, Boże, w wielu awanturach, które sam słyszałeś, bo słyszałeś, prawda? Zabierz go ode mnie, bo jeśli tego nie zrobisz, sama ucieknę! Wiesz, co on mi robi, kiedy jestem nieposłuszna? Ty wszystko wiesz.

Niebłogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem w ich łaknieniach zawsze fałsz będzie, jak w Totalnego przemówieniach, że sprawiedliwe jest żony mężowi oddanie, ale męża żonie to już nie.

Niebłogosławieni miłosierni, albowiem Martę przypominają, a każdy, kto ją przypomina, choć powinien być błogosławiony, nie jest, bo wcześniej albo później oszustem się okazuje, więc wlej w serce męża mego ducha Marty, a jeśli to zrobisz, obiecuję, że posłuszna będę i codziennie obiady z zaciśniętymi ustami mi gotować będę, i sypiać może z nim będę. Może.

Niebłogosławieni czystego serca, albowiem i ta zabierasz ich do siebie, zawsze za wcześnie, zawsze nie w porę, zabierasz do nieba swojego, tak jak Mart zabarałeś, czystą i piękną Martę, bo serce miała zbyt czyste, zbyt piękne, więc sprawiłeś się z nią szybko, jak z rybą wigilijną, trach w łeb, i uważasz, że to w porządku? Daj spokój, Boże.

Niebłogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem ich pokój jest zawsze utylitarny, zawsze dla nich wygodny, a jeśli nie wiesz, o czym mówię, przy pomnij sobie to, co mówi Totalny - przyjmij moje argumenty, bo znowu mylisz się, Aniela, i zrozum o czym mówię, a na pewno będzie dobrze i zapanuje zgoda między nami, a jeśli ci trudno, to przytul się i już nie rozmawiajmy o tym, co bolesne. Jednak to co bolesne, zostaje, prawda, Boże?

Niebłogosławieni, którzy cierpią prześladowanie bo i tak nie potrafisz ulżyć ich cierpieniu i będą do stawać w dupę tak, jak dostawali, na wieki wieko amen.

Aniela swoim głośnym łkaniem obudziła Marysię i szepnęła, przytulając dziecko, tuląc je do siebie, to koniec, chyba koniec, nie wytrzymam.

Wytrzymała jednak. Długo jednak wytrzymała, bo przywoływała w myślach nieustannie Martę i wszystkie aniołki, co uleciały z Anielinego żywota niebłogosławionego, i szepnęła, módlcie się za nami.

Bo dziecko, moje dziecko, moja Marysia rodzinę mieć powinna. Całą. A potem znowu uświadomiła sobie, że tu wcale nie o rodzinę chodzi, ale o paraliżujący strach, że sama sobie nie poradzi, że nie przetrwa, bo bardziej niż pomocy świętych potrzebowała pieniędzy

Totalnego, albowiem dobrze jej płacił za wspólne z nim bycie i od czasu do czasu sypanie. Niechętnie i z wyrzutem, ale płacił.

Jestem dziwką, szepnęła.

A Totalny jeździł w każdy weekend do Ł., a może do Z., i głosił ludziom radosne wieści, Jezus cię kocha, siostró, Jezus cię kocha, bracie, wszyscy wyznajcie, że Jezus jest waszym Panem, wiarę głosił hip, hip, hura, optymistyczną, tendencje katolickie pozytywne szerzył, ludziom opowiadał, jak Bóg go dotknął wiele lat temu, ratując go przed śmiercią na torowisku. Bo to był cud, co tu dużo mówić. Totalnego przejechał tramwaj. Prawie przejechał. Nie uszkodził mu członków, nie obciął głowy jak temu z Patriarszych Prudów. Bo nad Totalnym Bóg miał pieczę, a nie diabeł. Totalny przeżył, ponieważ przed tramwajem nadjeżdżającym sam Jezus go uratował, i Jego dłoń, a może noga, powaliła Totalnego na ziemię.

Padł więc płasko między szynami, bo co miał zrobić. Siła wyższa, bracie i siostró, siła niewiarygodna i olbrzymia. A tramwaj nad nim, taktoto, taktoto, a on spod tramwaju acoto, acoto? I kadry ze swojego krótkiego życia migające oglądał. Ale film się szybko skończył, przyjechało pogotowie, zabrało go do szpitala, na obserwacji umieściło, laryngologa wezwało, bo Totalnego blaszane bębny w uszach mocno się nadwreżyły. Ocalałem dzięki litości serdecznej Boga, i ciebie, bracie i siostró, uratuje, jeśli mu na to pozwolisz, głosił!

Płakały siostry rekolekcyjne, bracia w Panu nie kryli wzruszenia.

Rekolekcje Odnowy w Duchu Świętym pełne nawróceń trwały.

Totalny dbał o sukces. Kiedy wracał, opowiadał czasem Anieli, jak Bóg działa w jego obecności.

A później rozważał Pismo Święte, uczył się cytatów, odmawiał modlitwy, dbał o codzienną liturgię godzin jak o regularne wypróżnienia.

- Nie chcę wychowywać dziecka z Duchem Świętym i wszystkimi świętymi. Maryśka ma ojca - powiedziała Aniela przed jego kolejnym wyjazdem.

- Gdyby nie wola Ojca, nie pojawiłaby się na świecie.

- Gdyby nie dziurawy kondom raczej. Musisz si zająć Maryską. Dziś musisz zaopiekować się dzieckiem. Jestem chora.

- Co znowu?

- Zapalenie piersi - powiedziała. Położył dłoni na jej przekrwionych, obrzmiałych i twardych piersiach.

- Wreszcie wyglądają tak, jak powinny - powie dział.

- Przestań - Aniela próbowała strącić z siebie ręce Totalnego. Ale już nie było ratunku.

Stało się to, co on, oprócz głoszenia Słowa Bożego, lubił najbardziej.

I tak jak lubił najbardziej - na siłę. A później wyszedł

z domu. Pojechał do Ł. Albo do Z., bracie i siostró, nie ma problemu, którego Bóg rozwiązać by nie mógł, zwracaj się, bracie i siostró, zawsze do Niego.

Do zgwałconej po raz kolejny Anieli przyjechała matka.

Masowała jej piersi długo i cierpliwie. Wyciskała z nich nadmiar pokarmu.

Przystawiała do wielkich jak przejrzałe śliwki brodawek Marysię. Nie mówiła:

a nie mówiłam? Pamiętała swoje suche piersi, pogrzebane w chirurgicznym kuble piersi, i Anielę, której nie chciała nimi karmić.

Mimo obecności matki Aniela wiedziała, że jest sama.

Sama z Maryską w wózku do sklepów, damy sobie radę, córeczko, mam porządny plecak, tu spakujemy zupki, a tu owoce. Sama przy karmieniach dziecka, otwórz buzię, za tatusia, za mamusię. Sama w chorobach i w gorączkach, mamó, przyjedź, pomóż, tak, jestem sama, nie, nie ma go, nie spotkasz go, ja zresztą też go nie spotykam, tak, coraz rzadziej, mamó, no, w Z. jest znowu, naucza, a może na uczelni tym razem, mamó, nie kontroluję go przecież, tak? Sama u lekarzy z dzieckiem, pani doktor, czy ona wyrośnie z tej alergii? Sama z Marysią w szpitalu, profesorze, nie rozumiem, skąd ten wirus, przecież zaszczepiłam córkę na wszystko. Sama przy pierwszych krokach dziecka, daj łapkę, maleńka, chodź do mamy,

tak, a teraz z powrotem, w stronę ściany, pod którą tatuś na ciebie nie czeka, ale przyjedzie, może wróci, dobrze, że jeszcze nie umiesz zapytać kiedy, bo nie wiem. Sama przy wieczornych z dzieckiem modlitwach, Aniele Boży, Strózu mój, ty zawse psy mnie stój i bądź mi zawse kupą mocy pod Pontkiem Piłatem, amen. Sama w czasie przedświątecznego preparowania wigilijnych kolacji, może mi pomożesz, nie zdążę ze wszystkim, a przychodzą twoi rodzice i moja matka, więc chodź, zróbmy tego cholernego karpia w pieczarkach razem, cholera, dziecko płacze, a co mnie obchodzi twój popsuty dysk twardy, nie odwracaj się ode mnie, nie zamykaj drzwi od pracowni!

Złożyła w sądzie pozew o rozwód.

Po południu tego samego dnia jego kopię przedłożyła Totalnemu. Bo Aniela nie czekała, aż wysoki sąd prześle Totalnemu kopię dokumentu. Nie chciała czekać na to, co nastąpić miało, więc lepiej wcześniej niż później, zaprawdę powiadam wam, bracia i siostry, chciała przejść to, co i tak przejść musiała.

Przyglądała się, jak Totalny tracił spokój. Wpadł we wściekłość. Aniela napisała bowiem o swojej samotności. Dowód: przesłuchanie stron. I o tym, że z samotności wziął się Pizdeusz. Dowód: przesłuchanie stron. I o tym, że Pizdeusz nie był przyczyną, ale skutkiem rozpadu związku. Dowód: przesłuchanie stron. I o tym, że ma dość kościelnego zaangażowania męża. Dowód: przesłuchanie stron. I o tym, że była u psychiatry, który próbował pokolorować jej świat antydepresantami. Dowód: wypis z karty pacjenta. I o tym, że była u psychologa, który stwierdził, że poziom toksyn w małżeństwie przekracza dopuszczalne normy. Dowód: przesłuchanie psychologa. Zgodził się.

Totalny siedział z założonymi rękami przy kuchennym stole. Szeptał, Chryste, Chryste. Obok niego na słomianych podkładkach, na które w każdą niedzielę punktualnie o trzynastej, pobłogosław nas i ten posiłek, wjeżdżał transport gotowego żarcia, w kibitkach talerzy rosół, a później w wagonach płaskich półmisków mięcho i surówka, a na koniec deser, a więc na tych podkładkach słomianych leżał pozew o rozwód.

Totalny czytał wolno, bardzo wolno. Aniela patrzyła na niego i przypominała sobie, że żarł szybko, bardzo szybko. Z jego talerzy wszystko znikало tuż po nałożeniu. Więc zanim Aniela sama z rosółem swoim się uporała i z karmieniem Marysi poradziła sobie, Totalny kończył deser i herbaty zrobienia domagał się niecierpliwie, żony, bądźcie posłuszne swoim mężom.

Ale teraz patrzył w pozew, patrzył, wreszcie podniósł oczy na Anielę i spojrzenie swoje zawiesił na niej. A ona poczuła, że za chwilę zacznie się to, czego nienawidzi, a co jest nieuchronne, bo z nieposłuszeństwa wynikające, a ponieważ jest nieuchronne, lepiej mieć to wcześniej niż później za sobą. Bo później będzie spokój.

- Nie muszę tego słuchać - powiedziała. -

Wiem, co mi zrobisz i co mi powiesz - powiedziała i wyjść z kuchni chciała.

Ale Totalny zerwał się od stołu i w drzwiach stanął, i Anieli drogę zagroził. A nieuchronne ogary ruszyły w las.

Robisz to po raz ostatni, pomyślała Aniela. A ja po raz pierwszy nie ucieknę.

Wzrokiem swoim Totalny zaczynał polowanie par force. Najpierw tylko patrzył na żonę. I śledził, pilnie tropił, gdzie oczy Anieline umykają. Trzeba, tak sądził Totalny, najpierw złapać i uwięzić spojrzenie.

Nie spuszczał z niej wzroku. Zapędzał Anielę w najciemniejsze zakamarki rżęs, w ślepe uliczki żrenic.

Nie było ucieczki. Aniela, już złapana i przyparta do muru, już czująca oddech jego białek i tęczówek na sobie, patrzyła mężowi prosto w oczy. A on rozkładał spojrzenie Anieli na łopatki, wsiadał na nie i tarosił, i tarosił za kudły nieposłuszeństwa i niekatolickości, i walił o podłogę wyłożoną terakotą obietnic małżeńskich i przykazań dziesięciu. I łomotał, dopóki Aniela tchu nie straciła. A ona, taka wyłomotana, pobita, próbowała na chwilę odwrócić wzrok. Jednak Totalny znowu atakował. I kazał wrócić spojrzeniu Anieli na miejsce. I znowu patrzyła na niego w milczeniu, a on mocował się z jej pobitym wzrokiem,

zaprawdę powiadam wam, jak Jakub z aniołem.

W takich chwilach przywoływała Aniela czasem Martę. Taką Martę, jaką zapamiętała w dzieciństwie, Martę skarbnicę mądrości i zwierciadło sprawiedliwości. Czasem modliła się do niej, bo nikt inny oprócz Marty próśb Anieli nie wysłuchiwał. Ale często, bardzo często wzrok Totalnego był szybszy niż modlitwa Anieli i następowało to, co nastąpić miało.

Do ataku przygotowywały się usta Totalnego. Najpierw uchylał je lekko i zwilżał. Obnażał niespiesznie. Wiedział, że Aniela nie ma dokąd uciekać, dobrze wiedział, że już ją schwytał, że ją dopadł, że ją ma, że ją posiada. Wtedy w rozporoku warg ukazywał się czubek języka. Zwinny, niespokojny, śliski. Totalny wyjmował go beznamiętnie, trzymając wciąż na uwieży oczy Anieli, wyjmował go, leżąc na spojrzeniu Anieli, dusząc je swoimi brwiami.

A potem słowa. Słowa, które za pomocą języka-kutasa i otwartego jak kościelne wrota rozporoka warg na świat przychodziły, słowem się stawały, a słowa kończyły to, co spojrzenie Totalnego zaczynało.

- Robisz to świadomie? - zapytał.

- Jestem poczytalna.

- To wbrew.

- Czemu?

- Wbrew temu, co mi obiecałaś.

- Ty też obiecałeś.

- To twoja wina. Gdybyś była posłuszna, gdybyś wypełniała swoje małżeńskie obowiązki, gdybyś chodziła ze mną na spotkania modlitewne, gdybyś rozumiała, że mam mnóstwo zobowiązań i że jestem potrzebny nie tylko tobie, nie miałabyś problemu z rozwodem.

- A ty ze wzwodem?

- Milcz, suko - język Totalnego zaczynał wchodzić w Anielę coraz głębiej. Słowa robiły się córa cięższe. Totalny, bliski werbalnego wytrysku, powoli kończył.

- Zapłacisz za to.

- To moja sprawa.

- Dziwko Pizdeuszowa. Skończysz w piekle. Będiesz swoje chude ciało, z cyczkami, które robią się coraz bardziej obwisłe, będziesz je wędzić w piekielnych płomieniach. Rozumiesz?

- Jestem poczytalna - powtórzyła Aniela.

- Jesteś wariatką. Ale nawet dla wariatek Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, demonico - powie dział Totalny. - Wszystko zwróci się przeciwko tobie, dziwko.

- Traktowałeś mnie jak dziwkę. Zrobiłeś ze mnie dziwkę. Byłam dziwką. Nikim innym nie jestem prawda?

- Będiesz samotna i nieszczęśliwa. Zabiorę c Marysię.

- Prorokujesz jak Kryska. Nie zrobisz tego.

- Zrobię. Zniszczę cię.

Zakończył. Zamknął rozporok, schował język.

Aniela spocona, oparta o framugę kuchennych drzwi, szepnęła:

- Zrobiłeś to po raz ostatni.

- Co?

- Zrobiłeś mi to po raz ostatni - powtórzyła.

Już nigdy więcej nie zgwałcisz mnie swoim językiem To gorsze niż rżnięcie jak na kozę. Wiedziałeś o tym?

Nie. A teraz won - powiedziała Aniela.

- Aha - zatrzymała go na chwilę w progu tuż przed drzwi zatrzaśnięciem. - Powinieneś wiedzieć, że nigdy z nikim nie było mi tak dobrze jak z Tadeuszem. Jak z twoim półbratem.

- Milcz.

- Jesteś jak pół brata. Nie dorastasz mu... - nie dokończyła.

Totalny wyszedł z domu.

...ze swoim brakiem katolickiego miłosierdzia do jego braku heretyckiej słowności, dokończyła Aniela z głową włożoną w sedes, z czterema palcami wsadzonymi głęboko w gardło. Pochylona - rzygała.

Wywaląca z siebie słowa gwałtu niebłogosławione.

Po ostatnim gwałcie suka i dziwka zabrała swoje szczenię i uciekła do matki.

- Dlaczego on cię tak traktuje? - zapytała kiedyś matka Aniela.

- Żeby nie zapomniała, gdzie jest moje miejsce w szeregu patriarchalnych zależności. W szeregu kościelnych uwarunkowań. Bo nie mogę być wbrew. Bo nie mogę mieć własnego zdania. Bo nie mogę mieć swoich spraw. Bo nie mogę go zostawić. Porzucić.

Zdradzić. Bo obiecałam mu przed ołtarzem wierność i miłość i wypowiadając sakramentalne „tak”, zgodziłam się na wieczyste użytkowanie ruchomości cielesnej, dwóch piersi, jednej macicy, równoległych szczupłych ud, zaciętych i zamkniętych ud, zaciętych zwłaszcza wtedy, kiedy mnie dotyka i czegoś chce.

- Odejdź od niego.

- Odejdę.

- Kiedy?

- Nie wiem. Gdzie jest Marysia?

- Na trzepaku. Kiedy? - powtórzyła matka.

- Niedługo. Już przestaję się bać.

- Czego?

- Że Maryśka bez ojca zostanie.

- I tak jest bez ojca. Poza tym ty nigdy nikogo się nie bałaś.

- To nieprawda. Zawsze się bałam. I ciebie, i ojca.

I tego, który przychodził telewizor reperować. Tego Muchy bałam się. Jego palca.

- Nie wierzę.

- A w piekło, mam, wierzysz?

- Wierzę.

- On mówi, że pójdę do piekła.

- Razem z dzieckiem?

- Dziecko chce mi zabrać.

- Chcesz takiego piekła?

- Moje piekło jest lepsze niż jego niebo.

Matka już więcej nie pytała. Bo w odwadze Anieli znalazła swoje tęsknoty sprzed lat, tęsknoty za nie podjętymi decyzjami. I milczała. Nie powiedziała ani słowa, ani że to grzech, ani że to nie po katolicku.

A Aniela wiedziała, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy i zawsze upomni się o swoje.

Wtedy, wiele lat temu, zabrał Martę. Do siebie zabrał. Ale wtedy, właśnie wtedy, wiele lat temu, Aniela postanowiła dać Bogu jeszcze jedną szansę. Aniela, której szpik okazał się zły, Aniela, której matka długo nie chciała, Aniela postanowiła Ojca z nieba, Boga Pana, na ziemię przywołać, bo skoro nie ma dla Ciebie nic niemożliwego, spraw, żeby Marta ożyła.

Tak powiedziała Aniela. Powiedziała, na krzyż patrząc, na Syna Jego Jednorodzonego patrząc, bo w Nim wskreszenia swojej siostry szukała. Zrób z nią to samo, co z córką Jaira uczyniłeś, czego Łazarzowi nie odmówiłeś, wyszeptala jakoś tak Aniela, a może inaczej. W każdym razie podobnie, bo cuda powrotów z tamtego świata najlepiej z ewangelii świętej pamiętała. I położyła obie dłonie na półotwartych, a może półzamkniętych oczach Marty, na powiekach jak Krysine wyglądających, i wzniosła oczy swe ku górze, nie, jeszcze wyżej niż ku górze, i pomocnej dłoni tam szukała. I powiedziała, mówię ci, wstań. Ale Marta nie wstała. Aniela więc powtórzyła głośnie i dobitnie, mówię ci, wstań! Martwa Marta wciąż leżała.

Wtedy Aniela po drabinie krzesła wspięła się wysoko, ściągnęła krzyż ze ściany, włożyła go w sztywne dłonie Marty i powiedziała po raz ostatni: no mówię ci, wstawaj, ale już!

Ale przyszło mamusiu z przywołanym doktorem.

Do umarłej Marty. Doktor wyjął krzyż z dłoni Marty, podał go Anieli, zajmij się tym, dziecko.

Aniela wyniosła się z krzyżem na balkon. Wywaliła go z drugiego piętra. Na chodnik. Słyszała, jak się roztrzaskał.

Aniela nierychliwa, ale sprawiedliwa.

Później, znacznie później, choć jeszcze przed ślubem z Totalnym, pojęła logikę Boga. Czytała Ewangelię według Jezusa Chrystusa. W książce, która się wydawała prawdziwsza niż pisma natchnionego kwartetu, w książce Saramago znalazła scenę, w której Jezus chciał powiedzieć: Łazarzu, Łazarzu, zaprawdę powiadam ci, wstań, i już miał na końcu języka cuda działającego słowa wskrzeszenia gotowe, kiedy właśnie ona, żona Jezusa, nierządnicą, Maria z Magdali, położyła dłoń na ramieniu męża i rzekła: nikt nie miał w życiu tylu grzechów, aby zasłużyć na powtórny śmierć.

Matka nie zauważyła nieobecności naściennego Jezusa.

Zaraz po śmierci Marty zapadła w bezruch, w którym trwała cztery dni. Do samego pogrzebu.

Na wersalce w dużym pokoju siedziała albo leżała.

Formalnościami, dokumentami, grabarzami, Marty pośmiertnymi sprawami zajął się ojciec.

Dusza Marty nie odpoczywała. Wędrowała po zielonych łąkach, w niebiesiech płatała się cztery dni. Do samego pogrzebu.

Ze dwa, a może ze trzy razy przyszła ciotka Dora z Kryską.

Siedziały we trzy, matka, ciotka i durna Kryśka, siedziały i odmawiały różaniec.

Tajemnica za tajemnicą. Koronka za koronką. Do miłosierdzia i do krwi Chrystusa. Modliły się za zmarłą. Modliły się o niebo dla niej. Ale w ich modlitewnych łkaniach więcej było żalu nad sobą, więcej troski o własne sprawy niż o kwaterunek Marty w Królestwie.

Ciotka Dora miała nadzieję, że znajdzie się jej Olen, trochę na to liczyła, że jakoś dowie się, iż jego chrześniaczka nie żyje, i przybędzie ją pożegnać, ucałować jej martwe czoło, uściskać jej dłonie związane drewnianym różańcem. A skoro już przybędzie, to na pewno zostanie, już nie odejdzie, bo przecież nie porzuci powtórnie chorego dziecka, Kryski swojej durnowatej, i żony zbolalej nie pozostawi? Wuj Olen nie przyjechał.

Matka wierzyła, że modlitwami uśmierzy swój ból, że przestanie płakać, a jej żal do Boga osłabnie, skruszeje jak marynowane na Wielkanoc mięsa. Okładała więc swoje serce plastrami chwałojców, przykładła do duszy opatrunki z podtwojąobronę, zalepiała dziury w sercu bądźwólątwoją.

Ale ani Bóg, ani Święte Boże, nikt nie chciał zająć się łzami matki. Po śmierci Marty wyplakała z oczu wszystko, co miała. Wyplakała wszystkie biedy, które ją spotkały i spotkać miały. Kiedy więc ojciec odszedł od niej po śmierci Marty, już nie płakała. Już była obojętna.

Aniela siedziała na podłodze w dużym pokoju.

Przyglądała się niewiastom zapłakanym i błogosławionym. Jak trwoga, to do Boga, myślała z pogardą, ale rozumiała tę trwogę, bo właśnie ona kazała Anieli żądać cudu wskrzeszenia. Zresztą jaka to trwoga, trwoga już minęła, strach przed śmiercią Marty już się skończył. Bo ona już umarła, bo już jej nie ma, a skoro jej nie ma, to może Boga też nie ma.

Jak trwoga, to do Boga.

Uświadomiła to sobie wiele lat później. Kłęcząca w Białym Kościele, przed bocznym ołtarzem z Częstochowską zawieszoną nad dębowym tabernakulum. Obok niej czerwone światło, znak Obecności, promieniało.

Modliła się przed drugą rozprawą rozwodową. Bo na pierwszej do pojednania nie doszło.

Po raz pierwszy od śmierci Marty znowu ścisnęła w rękę paciorki różańca, znowu wracała do prostych modlitw, bo jak trwoga, to do Boga, ale lepsza trwoga, która prowadzi do Boga, która prowadzi przed Jego ołtarz i każe ćwiczyć palce na drewnie paciorków, niż

bezmyślny strach i puste oczekiwanie na ataki Totalnego. Aniela jednak wprawy w trzymaniu różańca nie miała. Zmówiła dziesiątkę, bo matce obiecała zajść przed sądem do kościoła, i mówiła zdrowaśmariołaskiśpełnapanastobom, nie pozwól unieść mi się gniewem na sali sądowej, gniewem, nad którym od dawna zachodzi słońce, a jeśli się uniosę, to tylko trochę, tak, żeby mi nikt Marysi z powodu nerwów moich nieposkromionych nie odebrał; nie pozwól mi mówić nieprawdy, bo nieprawda nie wyzwala, a potrzebuję, świętamariomatkożo, prawdy, która wyzwoli mnie z węzowej obecności Totalnego, która uwolni mnie od jego dotyków, od jego niezaspokojonej pożądlivosti, a zresztą czego ja się boję, szepnęła na koniec, rzuciła różaniec na ławkę i wyszła z kościoła.

W tym samym kościele, ale na chórze, modlił się Totalny. Przed tym samym rozwodem, przed godziną jedenastą, przed wystąpieniem przed sędzią Drzewnickim. Ojczenasz, który jesteś mężczyzną, a kobietę stworzyłeś tylko na jego kształt, i to ułomny kształt, pokaż Anieli, gdzie jest jej miejsce w historii zbawienia naszego małżeństwa; który jesteś w niebie, a którego to nieba nigdy w moim związku nie zaznałem, bo sam widziałeś, jak często ona uciekała z moich rąk, z mojego łóżka, więc sobie sam musiałem brać, ucząc ją nakazanego przez Pawła posłuszeństwa, a ona, nieposłuszna, chce teraz odejść i zabrać Marysię, więc święć się imię twoje, a Twoje mocne imię niech pomoże mi odebrać dziecko Anieli, bo nie zasługuje na nie, bo jestem - jak Ty - Ojczy, mężczyzną, który je stworzył, a kiedy wreszcie pomożesz mi zabrać córkę od tej niewdzięcznicy, kiedy wreszcie ukarzesz Anielę za grzech zdrady i rozwodu i skierujesz jej kroki prosto w otchłanie, bo kto oddaje i zabiera, ten się w piekle poniewiera, kiedy połączysz jej pięty świętym nieszczęściem każdego kolejnego związku, wtedy przyjdź królestwo twoje, a w tym królestwie Ty, ja i moje dziecko. Dopiero wtedy przyjdę się pomodlić, bądź wolatwoja, o Twoją pomoc w sprawie unieważnienia kościelnego, bo sam wiesz, że łatwo udowodnimy jej szaleństwo i oszustwo. Bo przecież obiecała być ze mną, dopóki śmierć nas nie rozdzieli. A później zdanie zmieniła. Nie, Boże, nie lubimy takich slalomów między obietnicami na śmierć i życie.

I później, już na sali sądowej, po modlitwach rozbieżnych Anieli i Totalnego, usłyszała, że wysoki sędzie, moja żona nie jest w stanie sprawować opieki nad małą córką, ponieważ nie zapewni dziecku takiego wykształcenia i rozwoju intelektualnego jak ja, wysoki sędzie, ależ tak, zarabiam znacznie więcej niż ona, znacznie większą mam pensję niż jej nauczycielska. A także dlatego, wysoki sędzie, że powódka jest emocjonalnie upośledzona. Miewa napady hysterii, zdarza jej się krzyknąć. Na mnie. Na dziecko. Ale nie to jest najgorsze. Wysoki sędzie, ona mnie oszukała. Zmienił jej się system wartości w trakcie trwania naszego małżeństwa (Aniela uniosła brwi). Była wierzącą i praktykującą katoliczką (tu uniosła brwi jeszcze wyżej). A później przestała (Aniela opuściła oczy). Namawiałem ją, na rekolekcje namawiałem małżeńskie, na Kanę, mówiłem, pojedźmy, ale ona, nie i nie (Aniela nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ją namawiał). A teraz? Napisała, wysoki sędzie, że zdradziła mnie. Z kim? Z moim bratem przyrodnim!

Wysoki sędzie, powódka nie jest w stanie przekazać mojej córce właściwych wartości. Hierarchii. Ona tylko skrzywdzi dziecko, wysoki sędzie, bo z rodziny patologicznej pochodzi, z rodziny, w której patologie emocjonalne są dziedziczne jak geny nowotworowe.

Ojciec, wysoki sędzie, porzucił powódkę i jej matkę po śmierci starszej siostry powódki. Wiem o tym, wysoki sędzie, z opowieści powódki, która zresztą w jednym ze świadectw swojego nawrócenia publicznie o tym w kościele mówiła, więc, wysoki sędzie, mam około dwustu świadków, którzy potwierdzą moje słowa.

Aniela siedziała ze spuszczoną głową. Chwilę wcześniej zeznała, że czuje się wyczerpana małżeństwem, że podtrzymuje wszystko, jak w pozwie.

Że nie będzie kłamać, bo z kłamstw po raz kolejny zrezygnowała. Sędzia patrzył na Anielę i Totalnego.

Słuchał.

A potem skierował na badania całą trójkę. Anielę, Totalnego i Marysię. Wysłał ich na badania do psychologów sądowych, do biegłych sądowych, którzy orzec mieli, kto jest

lepszym rodzicem.

Zaraz po sprawie Totalny pobiegł do swojego kościoła, do grupy modlitwy wstawienniczej się udał i katolickim przyjaciółom, pobratymcom swoim, opowiedział, jak walczył o Maryskę.

- Tylko po co? - zapytała Marianka, która od jakiegoś czasu wspierała darem prorocstwa grupę. Ale zanim dar prorocstwa otrzymała, za męża wyszła, za człowieka dobrego, cóż z tego, że z Kościołem niezwiązanego, i syna powiła, i czuła, że choć Aniela nie zasługuje na Totalnego (od początku tak czuła), to na dziecka odebranie jeszcze bardziej nie zasługiwała.

- Jak to po co? Przecież to moje dziecko.

- Nie tylko twoje.

- Nie tylko jej.

- Nie masz czasu dla Marysi - powiedziała cicho Marianka.

- Bóg dał mi dziecko. Bóg da mi czas na jego wychowanie. A teraz módlmy się o nawrócenie Anieli, która zbłądziła. Módlmy się o to, aby księżę ciemności opuścił jej serce. Aby Bóg przywrócił jej rozum, choć może lepiej nie, bo wtedy sędzia dziecko jej przyzna.

Zaraz po rozprawie Aniela wróciła do domu, od razu do Marysi wróciła. Ale Marysi nie było w domu, więc nie mogła wtulić się w chude jak Anieline przed wielu laty ramiona dziecka, nie mogła w nich schować swoich łez. Przypomniała sobie, że Marysia jest w przedszkolu, że już zaczyna pisać literki i dumna pokazuje swoje koślawo podpisane rysunki. Kilka dni przed sprawą rozwodową narysowała Anielę, siebie i Martę. Nieznanej ciotce anielskie skrzydła domalowała, ciotce, którą poznała wyłącznie z historii na dobranoc, opowiedz mi, mamo.

Aniela mówiła więc o tym, że ciocia Marta jest w niebie, jest aniołem, który gra Bogu na skrzypcach, a kiedy nie gra, to śpiewa siódmym głosem w chórze Panabożym, a jeśli nie gra i nie śpiewa, to na pewno pracuje na zielonych łąkach, z których małymi grabiami, delikatnie, żeby nie uszkodzić, nie popsuć, nie zranić, zbiera dusze zmarłych dzieci i zanoszą je przed oblicze Paniienki, matki wszystkich, co powiększyli grono aniołków.

- Byłaś tam? - zapytała kiedyś Marysia.

- Gdzie?

- W niebie.

- Nie byłam.

- To skąd wszystko wiesz?

- Marta mi opowiadała. Zanim tam poszła.

- A ty tam pójdziesz?

- Zapytaj tatę.

Ale na rysunku Marysi Marta nie trzymała w dłoni ani skrzypiec, ani grabi. To pistolet, mamo, powiedziała zamyślona Marysia i spojrzała skrojonymi w niebieskie migdały oczami Totalnego na matkę, bo tylko anielska ciocia może nas obronić, dodała po chwili, nie odpowiadając na pytanie - przed czym lub przed kim.

- Przed kim lub przed czym obronić ma nas ciocia Marta? - zapytała jednak Aniela.

- Przed tatą - odrzekła Marysia.

- Przed tatą? Dlaczego przed tatą?

- Bo tata osukuje.

- Jak to?

- Normalnie. Osukuje. Mówi, że pójdziemy na basen, a idziemy do ściokoła.

- No wiesz, Marysiu, może...

- Wiem. A po ściokole idziemy do Baśmietków.

- To źle?

- Źle.

- Dlaczego?

- Bo u Baśmietków puzzle muszę układać. Te specjalne, wiesz. Co dużo emelencików



mają.

- To źle?
- Na cas.
- To źle.
- A później tato sam je układa. I sypko, sypko, zęby być pielwsemu i lepsemu.
- Od kogo chce być lepszy?
- Ode mnie. I mówi, że jesce musę placować, placować, placować.
- Nad czym?
- Nad casem. Zęby go doścignąć. Tatę doścignąć.
- Po co?
- Nie wiem. A ty wiesz?
- Nie wiem.
- Ale ja go nie doścignę, wiesz?
- Wiem. Nie musisz.

Popatrzyła Aniela na rysunek Marysi. Marta z pistoletem.

Chcę cię przytulić, powiedziała cicho Aniela, może do Marty, świeć, Panie, nad jej duszą, a może do Marysi, miej ją, Panie, w swojej opiece.

Żadnej z nich jednak nie było obok Anieli.

I jak zawsze, jak wtedy, kiedy było jej najtrudniej, usiadła na podłodze, wtuliła w kolana głowę, głowę przykryła rękoma i płakała.

Kiedy Marta umarła, Aniela też siedziała na podłodze. W dużym pokoju na Gruntowej, obok przykurczonych stóp durnowatej kuzynki siedziała. Wtedy nie płakała. Nie modliła się. Nie przeczuwała, że jej palce ożyją jeszcze modlitwami. Niczego nie przeczuwała. Była zimna jak ślubne obrączki matki i ojca.

Kobiety popłakiwały. Kryska gibała się po swojemu w te i nazad.

Kryśka-bliżej, Kryśka-dalej. Aniela, żmija plemienna, przygryzała wargi do krwi. Minął czas rysowania pajaków. Teraz był czas ogryzania skórek wokół paznokci. Wydierała je zębami, połykała, czasem pluła nimi, próbowała trafić w skarpety Kryski. Rosła w niej złość na płaczące idiotki, na ich zawodzenia, na ich biadolonia, Boże nasz Boże, cóżeś nam uczynił, jaką Golgotę nam sprawiłeś, jaki ból zadałeś, Boże nasz Boże.

Aniela uciekła do łazienki.

Włożyła prawą dłoń głęboko w gardło. Masowała palcami krtań. Raz, drugi, trzeci. Zacisnęła powieki.

Wykrzywiła twarz. Zwymiotowała skórkami i pierogami, które razem z kondolencjami przyniosła żona Bałałajki. Sąsiadka spod dwudziestki trójki.

Najtrudniejszy był pierwszy raz. Właśnie wtedy.

Później samo szło. Wyrzygiwało się samo. Wszystko, co bolało. Na przykład pogrzeb Marty.

Cały ranek przed wyjściem z domu na cmentarz czytała. W żałobny poranek, tak jak wiele razy wcześniej, tak jak zawsze, kiedy dookoła było źle, uciekła w międzyokładkowy świat wymyślony, ignorując matkę i ojca, matkę rozmazaną, bezpiersną, nijaką i ojca nerwowego, pokrzykującego, daj spokój, to przecież nie nasza wina. Aniela obcowała z literaturą przepiękną. Znalazła na półce, na wysokiej półce w dużym pokoju, gdzie gromadzono wyłącznie książki, bo matka nie znosiła wystawek z ruskich kryształów, kieliszków, na wódkę karafek w kształcie łabędzi, właśnie tam znalazła Dolinę Issy. Bardziej niż pohukiwania ojca i porykiwania matki interesowała ją historia Tomasza. Więc naprawdę wypluł tę hostię zaraz po komunii, zastanawiała się Aniela. Żuła gumę.

- Wyrzuć to - powiedziała wreszcie matka.

I były to jedyne słowa, jakie wypowiedziała między śmiercią a pogrzebem Marty.

Aniela posłusznie wyjęła zżuwkę z ust.

Włożyła na siebie czarny przyodziewek, żałobne szaty. Włosy, które już nie były po chłopięcemu krótkie, przewięzała czarną aksamitką. Szeroką. Lśniącą.

(Obcięła je zaraz po pogrzebie).

I za matką ruszyła na cmentarz.

Lewa, prawa. Prawa, lewa.

Szła za matką.

Bo matka nie chciała jechać z ojcem autem. Ciągnęły więc żałobnice dwie, ciągnęły między starymi blokami, między blokami na Zwycięstwa. Matka z przodu, Aniela z tyłu. Przeszły przez duże skrzyżowanie, minęły hotel „Promenada”, miejsce pracy i miejsce schadzki ojca. Później lazły dalej, przez łąki, między starymi, niskimi domami. Były piękne. Drewniane, przygarbione, chylące się ku ziemi, niskie, z okiennicami sięgającymi pasa Anieli, z brudnymi szybami szepczącymi, kuszącymi, chodź tu, podejdź tu, zajrzyj tu. I czasem Aniela próbowała podejrzeć, co znajduje się po drugiej stronie okna, jaki świat sekretny, umarły, ale wciąż żywy, pulsuje za warstwami grubych firan. Ale okna ukrywały swoje tajemnice. I mieszkańców, których Aniela bardzo rzadko spotykała.

Na samym końcu ulicy Cmentarnej znajdował się dom grabarza.

Wokół chaty biegało mnóstwo dzieci. Bo grabarz wiedział, jak walczyć ze śmiercią. Zapładniał swoją żonę co roku. Wypełniał jej żywot błogosławionym życiem. A ona już bez bólu rodziła, już nie czuła bólu, jedno za drugim, ósme za siódmym wyskakiwały z niej pacholeta, a starsze wychowywało młodsze, a młodsze nie dziwiło się, że na świecie pojawia się jeszcze młodsze, i kolejne, alleluja, chwalmy Pana!

I tak w swojej pielgrzymce czarnej na cmentarz Aniela spostrzegła jeszcze, że trzy grabarzędzia pluły do studni. Czarcie oczy wciągną was na samo dno oślizgłej zielonej cembrowiny, ohydnej jak mój rzygający przetyk, wciągną was jak Grzegorza, szepnęła półgłosem, ale dzieciaki jej nie usłyszały. Pluły w wodę.

W samo południe,

naaniołpańskibijądzwonyniechbędziemariapochwalonaniechajbędzieChrystuspochwalony, o dwunastej wszyscy zgromadzili się w kaplicy przy cmentarnej.

Ciotka Dora, Kryska i ojciec już byli. Matka z Anielą przepychały się do trumny przez tłum sąsiadów, Boże, co za nieszczęście, taka młoda i taka pobożna, a już umarła, ale to kara Boska za życie jej ojca, za życie puste i rozpustne. I przyglądał się tłum sąsiadów matce Anieli, zdradzanej żonie się przyglądał, bo wszyscy przecież wiedzieli, co i jak. Nic nie mogło się ukryć przed przenikliwym wzrokiem i słuchem gawiedzi. I nie wiedziało sąsiedztwo zgromadzone w niedużej kaplicy, że matka wreszcie słyszy niewyartykułowane szepty, ale myśli sobie, to moja wina, moja bardzo wielka wina, bo nie dość kochałam męża mojego i nie dość dbałam o niego; bo gdybym kochała, to nie zdradzałby. Ale czy to wiadomo, pomyślała na koniec, bo właśnie dotarła do zimnego ciała Marty i zaczęła szlochać, a razem z nią reszta, wszystkowiedzący i wszystko słyszący sąsiedzi, do których dołączyli ci z pracy ojca i matki, jacyś umyślni, jakieś delegacje na okoliczność i z powodu. A dalej stały koleżanki Anieli i przyjaciółki Marty, i Pola, i wszyscy, naprawdę wszyscy płakali. Bo tak naprawdę zgromadzonym zrobiło się wszystko jedno, dlaczego Marta nie żyje, bo w łkaniu Anielinej matki usłyszeli swoje łkania, swoją tęsknotę za tymi, których pożegnali (a może wkrótce pożegnać mieli), pogrzebali, wiekiem trumny okryli, gwoździem trumiennym dobili, garścią ziemi pokryli.

Zaczął się fenomenalny dance macabre. Śmierć każdego z obecnych zapraszała do tańca. I płała, i podśpiewywała sobie, łojdiridi, łojdiridi ridi u-ha, nie uciekniesz od mego śmiertelnego fartucha. Z kieszenią. A potem - podśpiewywała - zapakuję w wielką kieszeń mego fartucha twoje, i twoje, i twoje życie, i zaniósę schedę spraw i uczynków przed oblicze Najwyższego na sąd nieostateczny poczekaj sobie, robaczku, tu, w tymczasowej kwaterze, na wielkie tralalalala trąby jerychońskiej. I wszyscy w tany ruszyli, choć nie chcieli, choć przed śmiercią znakami krzyża się bronili, to wiedzieli, że muszą tuptać razem z nią, bo tylko tak oswoją jej obecność i nie zapomną, że ona wkrótce po każdego przyjdzie.

Aniela przepychała się za matką. Wiedziała, że Marta leży w trumnie z jej powodu. Bo gdyby poszła wtedy do kościoła, bo gdyby nie zaniedbała obowiązków niedzielnych,

eucharystycznych, to może Bóg przemyślałby swoje plany i miał więcej litości dla Marty i dla Anieli. Puk, puk nie odpuściło jej grzechu i nie zatarło poczucia winy.

Zobaczyła Martę po raz pierwszy od jej śmierci.

Leżała w jakiejś białej sukni, nie wiadomo jakiej, nie wiadomo po kim, leżała jak panna młoda, której Oblubieniec nie chciał w habicie przyjąć do siebie. Później Aniela dowiedziała się, że bladą kieckę przysłały zakonnice. Właśnie w niej Marta miała oblóczyny, tę właśnie suknię zrzuciła, by przywdziać tymczasowy habit przed ślubami jakimiś tam, pierwszymi, a może szóstymi, to nie miało znaczenia, najmniejszego znaczenia. Dla Anieli żadnego.

Leżała Marta piękna a bezbronna. Jej sine palce związywał różaniec. W dłoniach trzymała obrazek z Częstochowską. Wokół jej głowy, obwiązanej koronkowym szalem, który ani jak welon, ani jak chusta nie wyglądał, ułożono lilie, jasne lilie. Ich ostro woń przeszywała nozdrza Anieli. Kwiaty śmierci, pomyślała Aniela i położyła dłoń na przegubie Marty.

Wiele lat później sama włożyła białą suknię. Włożyła białą suknię, a w długie już włosy wpięła lilie.

Bo z mora Barbara bardzo o to prosiła, w welon kwiat lilii wepnij, jak ja chciałam mieć zawsze kwiaty we włosach nie potarganych wiatrem i życiem.

I z dłonią ułożoną na przegubie Totalnego poszła do kościoła. Podpisać cyrograf na wieczyste użytkowanie swojej cielesnej ruchomości. Już zużytej. Już pełnej dziecka, cholera, dlaczego podbrzusze tak bardzo mnie boli, tak bardzo boli.

I tak jak trumna z Martą, niesiona przez czterech mężczyzn, przebijała się do małego cmentarnego kościółka, tak samo Aniela, prowadzona przez wujka Bobika, szła na swój ślub.

Łojdiridi łojdiridi ridi u-ha!

A wewnątrz świątyni weselne tłumy, jakieś nabożne tłumy charyzmatycznych gołębiarzy ze wszystkich wspólnot w B., przybyły towarzyszyć Totalnemu w ceremonii. A on czekał na Anielę pod ołtarzem i patrzył, jak przez wymozaikowany środek Białego Kościoła Anielę Bobik za sobą ciągnął.

- Wyglądasz pięknie - szepnął do niej tuż przed rozpoczęciem mszy.

- Boli mnie brzuch.

- To z nerwów.

- Chcę wymiotować.

- Znowu? Wytrzymaj.

Uroczystość zaczęła się.

A kiedy już powiedziała, co powiedzieć miała, kiedy złotą, zimną obrączkę, znak mojej miłości i wierności, Totalnemu włożyła, a on jej, i kiedy zabrzmiało jakieś: ofiaruję Tobie, Panie, dziś całe życie me, cały jestem Twój aż na wieki, i kiedy weselnicy śpiewali radośnie i łączyli się w modlitwach z kapłanem, z zaprzyjaźnionym z Totalnym księdzem, wtedy Aniela słyszała w swojej pustej jak butelka po młodym winie głowie, słyszała: anielski orszak niech twą duszę przyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieba, a pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi aż przed oblicze Boga Najwyższego, łojdiridi łojdiridi ridi u-ha!

A niespokojna Aniela podczas ślubu próbowała obejrzeć się za siebie; chciała odnaleźć w tłumie Kryskę, chciała zajrzeć w jej proroczą gardziel, w jej puste zazwyczaj oczy, ale przecież ten tłum, ten cholerny charyzmatyczny tłum, las podniesionych rąk, zasłaniał jej wszystko, Kryskę jej zasłaniał, starą prorokinię, co widziała Boga i Martę. I chciała Aniela zobaczyć w otwartej gębie kuzynki swoją przyszłość. Ale Bóg zamknął gębę Kryski. Otworzył za to gębę Anieli, która zamiast przed kościołem życzenia odbierać, rzygała w świątynnej toalecie.

Na własne wesele nie poszła. Totalny zajął się gośćmi. Matka i Pola zaprowadziły Anielę do domu.

- Wciąż boli? - zapytała matka.

- Bardzo. Pola, idź. Tam Jerzyk i dzieciaki. Idź, baw się.

- Nie pójdę. Jerzyk poradzi sobie - odrzekła Pola.

- Obrazi się.
- Nie on.
- Mamo, boli.

Matka zadzwoniła po pogotowie.

Weselnicy, łojdiridi łojdiridi ridi u-ha, płasali, Aniela, łojdiridi łojdiridi ridi u-ha, przedwcześnie rodziła pierwsze dziecko, to tylko wyrostek robaczkowy, mamo, trzeba go było wyciąć, powiedział zmorze następnego dnia Totalny, Aniela dochodzi do siebie po pilnej operacji, dopowiedział.

Dziecka już nie było.

Obrączka jednak była. Świeciła na palcu Anieli,

zaciskała się na jej szyi, na głowie. Jak ból na głowie ciotki Ewy. Aniela, głaszcząc pusty brzuch, przypomniła sobie, jak orszak aniołów, serafinów, cherubinów, wiódł Martę przed oblicze Boga, o jakież to musiał być orszak! Anielski legion przybył po jej duszę.

A ludzki pułk szedł za trumną, już po mszy żałobnej, już po słowach nieznanego księdza, że zgasła w kwiecie wieku, włókł się tłum na miejsce pochowania Marty.

I kiedy trumnę do grobu grabarz dzieciarów i jego koledzy złożyli, matka rozkrzyczała się, ojciec zapłakał, tłum zafalował i rozszochał się współ, Aniela ze łzami, które pojawiły się wbrew postanowieniom o sile i nie dam Ci satysfakcji, o Boże, który mnie nie wysłuchałeś, Aniela spostrzegła Kryskę.

Stała obok Dory, trzymała ją za rękę. Im głębiej trumna w grób wędrowała, tym wyżej kuzynka głowę unosiła. I nagle jej brzydka twarz, dziurawa i szczerbata gęba, zatkana upośledzeniem nos, wszystko to wypiękniało. I Kryska cicho klaskać zaczęła, i gibać się po swojemu w przód i w tył zaczęła, z głową wciąż uniesioną, ze wzrokiem zawieszonym na tym, co dla innych ukryte było. I Aniela zrozumiała, że niebiańskim retuszem upiękniona Kryska widzi więcej. I nie chciała Aniela domyślać się, co widzi.

Bo pojęła, że ponad tłumem żałobników, ponad płaczem i smutkiem, ponad czasem i ludźmi, ponad śmiercią, ale przed zmartwychwstaniem, rozpoczęło się misterium prawdziwych zaślubin.

Marta stawała się szczęśliwa.

W domu Aniela wyrzygała się po raz kolejny.

\*

Aniela nie mogła zapomnieć o Krysinej epifanii.

Czuła żal i ból, i złość czuła, że nie ją siostra, jej rodzona siostra, wybrała na świadka swojej radości, ale kaprawą Kryskę, którą od tamtej chwili zaczęła szanować.

- Nie wierzę - zdecydowała Pola.
- Nie kłamie - odrzekła Aniela.
- Zawsze kłamiesz.
- Już nie kłamie.
- Od kiedy?
- Od wtedy.

I Aniela powiedziała prawdę. I tak już zostało. Od pogrzebu Marty, od objawienia Krysinego, Aniela zawsze już mówiła prawdę. Zaczęła kłamać znowu po ślubie (w czasie Pizdeusza).

Pola tylko dodała, że ona rozumie, że dziwne rzeczy zdarzają się, i cudowne też, jak na przykład śmierć radosna i weselne grzebanie skurwysyńskiego ciała jej ojca, ale tego, co mówi Aniela, pojąć nie może.

I że to na pewno oćpana książkami wyobraźnia Anieli nabiera ją, schiza jej w głowie robi, więc może zajmij się fizyką i siłą odśrodkową, i grawitacją, bo jak tego nie zaliczysz, to nie zdasz. Tak powiedziała Pola.

Matka po pogrzebie Marty posiwiwała. Od razu. Jej jasne włosy posrebrzały, jej brwi straciły barwę gnijącego orzecha, jej rzęsy zaczęły wypadać. Nigdy nie dbała o siebie, nigdy przesadnie, ale od wtedy, od Marty na tamten świat wyprawy, od na zielone łąki ekskursji,

przestała robić z sobą cokolwiek.

Ale o domu nie zapomniała. W ciszy sobie go sprzątała, bez czciji ojca swego i matkę swoją przestrzeń pielęgnowała, pieściła mieszkanie sama. Samotna.

I powtarzała jak refreny z przeszłości ruchy szmaty na podłodze, śmignięcia szczoty na lamperkach, jakiś czas temu na cztery ręce czynione. Na dwie swoje i dwie Marty. Po sobotnich w domu porządkach szła na cmentarz. Głaskała białe litery, Marty wspomnienie na prostej marmurowej płycie wyryte. Sprzątała sypiące się na grób liście dębu, zabierała wypalone znicze i zapalała nowe, na drodze światłości wiekuiestej drogowaskazy. Ale pomocy Anieli w porządkach domowych i cmentarnych nie chciała, odmawiała, daj spokój, poczytaj lepiej, nigdzie mi się nie śpieszy, mówiła królowna niebiańska, matka chrześcijańska.

Przestała spać, przestała śnić.

Przestała mówić, przestała moralizować.

Na długie miesiące zamilkła. Łykała jakieś proszki, na serce, a może na nerwy, a później snuła się po domu, jakby Marty szukała w zakamarkach materialnego świata. I siedziała na tapczanie, obejmując samą siebie, bo przecież nikt jej nie obejmował. Aniela dlatego, że nie umiała dać jej tego, czego nigdy nie otrzymała, ojciec dlatego, że nie chciał dotykać matki córki, którą śmierć z jego winy zabrała. I siedziała na wersalce w dużym pokoju, siedziała, obejmując samą siebie, oplatając chudymi rękami swój tors z uciętymi piersiami, dotykając szczupłymi palcami wystających coraz bardziej na plecach łopatek. I kiwała się, godzinami się kiwała.

W przód i w tył. Matka-bliżej. Matka-dalej.

Aniela nie rozmawiała z nią. Nie przeszkadzała jej w gibaniach żałobnych, w ruchach pełnych tęsknoty, pełnych żalu, bo jedną córkę, Panie Boże, ukochaną miałam, i wiesz, że Ci ją oddałam, do klasztoru zawiozłam, pod Twoją i Twojej matki opieką zostawiłam, ale Tobie mało, mało, mało, zabrać ją jeszcze bardziej chciałeś, bardziej swoją mieć chciałeś, dlaczego wszystkiego chcesz bardziej, bądź wola Twoja.

Ojciec patrzył na matkę z obrzydzeniem. To już

nie kobieta, myślał. To już nie moja żona. Nie taką wziąłem, ale taką opuścić muszę. I czuł, że tonie w kaskadach poczucia winy i w wodospadach gniewu na Boga, w którego chciał wierzyć, ale mu nie wychodziło, bo przecież starałem się, cholera, starałem się, ale gdybyś istniał, Boże, zabrałbyś ode mnie to upośledzenie, co katolicką wierność moją kalało i do śmierci córki doprowadziło. I brzydził się sobą, że pójść sobie musi, i brzydził się matką, co zapuszczała się jak ogród nie plewiony.

A kiedy matka niczym bezpańska ziemia porastała ziołami wonnymi: słodką miętą płaczu, majerankiem modlitwy na siłę, gorczycą żalu nieutulonego, ojciec puszczał się jak pies bezkarny, co zerwał się z łańcucha, pies bezkarny, bo już ukarany. Śmiercią starszej córki.

Kiedy ojciec z matką spotykali się czasem w domu, mijali się bez słowa.

Przeczekiwali siebie. Unikali siebie. Nie znosili siebie. Ona wietrzyła po jego wyjściu kuchnię, z jego wody kolońskiej, z jego obecności, z jego oddechu, otwierała zaraz po jego wyjściu szeroko okno. On przecierał szmatką kran, którego ona wcześniej dotykała umyтыми dłońmi.

I coraz częściej znikał z domu.

Kiedys nie wrócił przez trzy dni.

Później przez tydzień.

Był i nie był. Aniela czasem pytała, gdzie ojciec mamó, a bo ja wiem, odpowiadało czasem mamó A czasem nie odpowiadało. A potem wtrynił się na dobre z Gruntowej. Spakował walizkę, spakował pa nią Annę i wyjechał.

Po jakimś czasie przysłał list, że jest na Dolnym Śląsku, tam gdzie mieszkają jego rodzice. Napisał, że nie może żyć w poczuciu winy i nie ma siły dźwigać odpowiedzialności za śmierć Marty, a kregosłup, jak wiesz, mam słaby. A ponieważ Marta umarła, choć on wówczas, kiedy chorowała, postanowienie poprawy uczynił i nawet spowiedź świętą odbył,

więc skoro Bóg tak go potraktował i jego całopalne ofiary z nadseksualności zlekceważył, to on, ojciec, nie widzi powodu, dla którego miałby teraz, już po wszystkim, po Marty odejściu, męczyć się w fikcyjnym małżeństwie, a rozwodu ani ja, ani ty nie potrzebujemy, napisał do matki. Poza tym, co to za życie z kobietą, która nie jest kobietą, a Aniela jest duża i na pewno zrozumie, zresztą napiszę do niej innym razem. Nie napisał.

Matka zastygła z listem w ręku. Wyglądała jak kobieta Vermeera: w błękitnym sweterku siedziała, brzemienna żalem i bólem siedziała, z włosami nie uczesanyymi, stara i brzydka siedziała, ale nie płakała.

Pół roku wcześniej wyplakała wszystkie łzy. Wyszło źródło jej żalu i cierpienia, Jezus, synaczkę panięński, królu i chlebie anielski, miej litość nad nią.

- I co teraz? - zapytała Aniela.

- Nic - odrzekła matka.

- To niesprawiedliwe.

-Co?

- Że śmierć Marty i zaraz jego odejście. Dlaczego to tak?

- Nie wiem.

I Aniela też nie wiedziała.

Widziała jednak, że matka nie przestała się modlić. Wierna, klękała co wieczór przed wizerunkiem Panięńki, co Nieustającą Pomocą służyła, szeptała, kyrieielejson, chrysteleejson. I Tej, której wielki smutek został się w Wielki Piątek, opowiadała biedy, zamęty i żalości swoje.

- To ja powinnam umrzeć, prawda? - powiedziała Aniela któregoś popołudnia, kiedy matka znowu gibała się na wersalce z różańcem w ręku. - To ja powinnam umrzeć - powtórzyła. - Ale spokojnie, mamu. Wszystko przed tobą - dodała Aniela.

Matka wówczas podniosła się ciężko, podniosła swoje obolałe ciało z wersalki, ciało, któremu nawet w nocy towarzyszył cień obolałej duszy, i podeszła do Anieli. I spojrzała w jej czarne oczy swoimi oczami, co kolor straciły. I stała matka przed córką, a córka przed matką. I mierzyły się wzrokiem, którego żadna ludzka miara zmierzyć by nie mogła. I Aniela czekała, kiedy matka wymierzy jej policzek. I wiedziała, że odpowie matce, no, jeszcze, tu jest drugi, wał. Ale matka dotknęła tylko prawej dłoni Anieli. A potem uniosła ją z trudem, dłoń drewnianą dziecka uniosła i pocałowała. I odwróciła się, nie spojrzawszy na ocalałą córkę. Ciało matki wróciło na tapczan, a za ciałem pobiegła dusza. Ułożyła się w nogach matki.

Posłuszna.

Od tego czasu zdarzało się matce głaskać włosy Anieli i pytać, co u ciebie. A Aniela mówiła, dobrze, jakoś leci i nie przyznawała się, że przestała się zupełnie modlić. Boża akupunktura z toporkami wbijanymi w serce zniechęciła ją do ojczenaszów.

Wkrótce zaczęły się egzaminy do liceum, sprawdziany wiedzy i czas w nowej szkole; już bez Poli towarzystwa we wspólnej ławce, bez Poli, co jakieś technikum dla porządnego zawodu wybrała, a że zawodu uprawiać nie chciała, szybko za Jerzyka za męża poszła i z pasji, bo zawodu kucharza wykonywać nie chciała, historię skończyła. Zaocznie.

Wtedy też, w ogólniaku, Aniela przestała chodzić na msze. To znaczy wychodziła w każdą niedzielę o jedenastej czterdzieści pięć z domu. Nie mówiła dokąd. A matka nie pytała o to. Sądziła, że Aniela na dwunastą trzydzieści na sumę idzie, a później na cmentarz jedzie. Gdyby zapytała, Aniela powiedziałaby. Prawdę. Ale nie zapytała. A Aniela nigdy nie przyznała się, że wiosną i latem od razu na mogiłkę uciekała i tam, siedząc przy grobie Marty, Parnickiego próbowała zrozumieć. Wnikała w jego składnię tak, jak Marta wnikała w Pismo Święte. Jesienią i zimą chowała się przed chłodem na dworcu. Niedaleko śmierzących meneli, w pobliżu nędzy świata, poznawała Teresę Batistę, wojowaniem zmęczoną, ojców Kościoła i Nowy Testament.

I tylko z lekcji religii uciec nie mogła, bo matka zawsze na świadectwo z katechezy pod koniec roku czekała. I pilnie je studiowała. A później odkładała do teczki pod tytułem

Dokumenty i Świadczenia Anieli.

Były wszystkie. Oprócz metryki chrztu.

Z koleżankami i kolegami zatem, z koleżankami, które wciąż o kolorze paznokci w tempie ardenie gadały i o dyskotekach w Kręgu Tanecznym jazgotały oraz z kolegami, którzy eon passione nieudolnie zaczynali zalecać się do koleżanek, właśnie z nimi autobusem jechała po szkole do salek Białego Kościoła. Stała sobie w czerwonej starej piątce trochę z boku, a czasem trochę w środku. Przyglądała się uśmiechom i pierwszym rąk dotknięciom tych z klasy. Z boku.

Z odległości. Z dystansem.

I Aniela, Bogu niech będą dzięki, cztery lata tak jeździła. I nie odzywała się na lekcjach religii. Nawet kiedy ksiądz Czesław teodyceę na poziomie ogólniaka wykładać próbował, milczała. I kiedy prawił unde sit malum, chowała wzrok pod zieloną, starą ławkę z wykrojoną przepaścią na kałamarz i nie odzywała się, bo znakomicie wiedziała, unde sit malum, bo już do Akwinaty zajrzeć zdążyła, dwie niedziele wcześniej, zupełnie przypadkiem, kiedy na dworcu mszę świętą swoją odprawiała, kiedy przy cuchnącej schizofrenicze, ubranej zawsze w fartuch igielitowy, kiedy przy śmierdzącej Wacławie na ławce siedziała i Dzieła wybrane Tomasza, co Augustyna eksplikował, przeglądała. Bo całe zło, mówił ksiądz, z ułomności natury ludzkiej się bierze, a ułomność natury ludzkiej, siedź ciszej, Cichocki, odwróć się w stronę krzyża, a ułomność natury z fikania samotnego rąk waszych brudnych, i twoich, Cichocki, z rąk, które pod kołdrą albo w spodniach częściej trzymacie. Nie masturbujcie się, moi mili, gadał ksiądz, bo stąd większość zła, które was dotyka, bo to malum, co niszczy i co potępienie wam szykuje, wynoś się, Cichocki, za drzwi i tam przemyśl swoje złe postępowanie. Aniela uśmiechała się. Od śmierci Marty nigdy nie wrócił do niej w snach Czarny Marian i nic nie powodowało drgań jej dojrzewającego podbrzusza.

I wiedziała Aniela, że to ani proste, ani jednowymiarowe nie jest. A kiedy ksiądz świętego Augustyna do poziomu dupy sprowadzał, Aniela przypominała sobie, że oprócz zła są jeszcze uchybienia, i nie może być coś złe ze swej istoty, bo zło zawsze na jakimś dobrym podmiocie bazować musi, a nawet jeśli zło powstaje, przypominała sobie z jakichś omówień Akwinaty, z przypadkowych opracowań, które na półkach z książkami po Marcie znajdowała, to intencjonalnie zawsze dobro ma w zamierzeniu. Dobro, które jest złe, opacznie pojmowane i interpretowane, ale człowiek, mój Boże, człowiek - byt niekonieczny, ma prawo do takich interpretacji, myślała Aniela.

Wtedy też poczuła, że skoro Bóg, jedyny konieczny byt, źródło każdej substancji i przypadku, jest dobrem samym w sobie, to jako takie dobro, po pierwsze, pojmie Anieli złość na wszystko, co jej w życiu zrobił, a po drugie, znajdzie ją nawet wtedy, kiedy na niedzielne liturgie chodzić nie będzie. Masz szansę, szepnęła wtedy patrząc na zawieszony w salce świętego Judy Tadeusza krucyfiks. Jeśli zechcesz, dodała.

Długo nie chciał.

I niema siedziała zazwyczaj na lekcjach religii. Do domu na świadectwach piątki przez księdza Czesława wystawiane przynosiła, bo wszystkie sprawdziany najlepiej zaliczała. Raz jeden, tylko jeden raz, cud się wydarzył, dzięki, o Panie, składamy dzięki, tylko jeden raz odezwała się do księdza Czesława, prawiącego o mocy modlitwy, że Pan Jezus zawsze wysłuchuje człowieka, że o cokolwiek prosić będziecie w Imię Jego, On wam da.

- To nieprawda - odezwała się cicho Aniela.

- Prawda - odpowiedział szybko ksiądz i nie zapytał, dlaczego jego prawda jest nieprawdą Anieli, bo słowa klechy biegły już dalej po bieżni katolickich teorii przez szczerbate płatki kolejnych cytatów z Pisma.

Aniela milczała więc.

Milczenie było dobre. Bezpieczne.

Zapomniała jednak na chwilę o tym przy Totalnym. Rok po fatalnym przyjęciu weselnym, po oficjalnym ślepej kieszki wycięciu, której od dawna nie miała, i po nieoficjalnej dziecka utracie, Aniela rozmawiała z Totalnym. Pewnego piątkowego wieczoru mówiła

trochę o sobie, niedużo o śmierci Marty, niewiele o ojcu. Po raz pierwszy od dawna mówiła.

On emocjonował się Anielinymi (sam o Tadeuszu półbracie nie wspomniał) opowieściami, nie przestając głaszać jędrnych wówczas, choć zawsze za małych piersi Anieli. Może nie jest taki zły, myślała Aniela.

Może nawet mnie kocha, kto wie?

- Czujesz złość na Boga?

- Już nie. Od dawna nie.

- Ani trochę?

- Czasem, kiedy tęsknię za Martą.

- Więc może coś się jednak wydarzyło na rekolekcjach, w których uczestniczyłaś?

- Nie wiem. Może.

- Pójdziemy razem na spotkanie. Jutro - powiedział.

- Nie chcę nigdzie iść.

- Dlaczego?

- Nie lubię.

- Nic ci się nie stanie.

- Pamiętam, jakie proroctwa padają na takich zgromadzeniach.

- Nie będzie proroctw. Jutro jest zwykły dzień skupienia. Zwykły wspólnotowy dzień skupienia.

Świadectwa będą. Ludzie mówić będą.

- Nie licz na to. Nic nie powiem.

- Liczę głównie na to, że wreszcie jednak pokażesz się ze mną. Od dnia ślubu nikt w kościele nie widział nas razem.

Poszła.

Spotkała obcych mężczyzn, którzy ściskali dłoń jej męża. Spotkała kobiety ze ślinotokiem waginalnym, które Totalnego policzki obcałowywały. A on szur, szur, na nieduże podium w sali kościoła wszedł, gitary barabaniły, ludzie śpiewali, falować zaczęli. Jezu, znowu, powiedziała Aniela. A Totalny po wstępach, po powitaniach przedstawił ogółowi charyzmatycznemu swoją żonę (rozległo się klaskanie) i skupionych poinformował, że po części śpiewogrającej ku chwale Baranka nastąpi teraz czas opowieści z życia duchowego wziętych, i żeby innych zachęcić do złożenia świadectwa, on, Totalny, żonę swoją poprosił o opowiedzenie jej traumatycznej historii o śmierci siostry, o zdradach jej ojca, bo, kochani, Pan nawet tak głębokie rany serca może uleczyć!

Pchnął Anielę na środek, a ta z mikrofonem stanęła przed masą ludzi, przed zgromadzeniem większym niż wspólnota Totalnego, bo nie powiedział jej, bo zapomniał dodać, że to jakieś międzyparafialne dni skupienia są, a wszyscy międzyparafianie łakną budujących wiarę świadectw. I na środku kościoła Aniela, panna niewierna i nieroztropna, panna nieostrożna i niełaskawa, z językiem jak połamane wiosło przed ludźmi utkwiała.

Aniela wyłączyła mikrofon. Odwróciła się tyłem do zgromadzenia, przodem do Totalnego.

- Chcę stąd wyjść - szepnęła.

- Nie teraz. Opowiedz im to, co powiedziałaś wczoraj mnie.

- Na jaki chuj?

- Żeby widzieli, że zmieniasz się przy mnie. I dzięki łasce Ducha, z którym obcujesz dzięki mnie.

- Duchowe porno?

- Nazwij to, jak chcesz. No już!

Włączył mikrofon. Pchnął Anielę w stronę ludzi.

Potknęła się o jakieś kable, jakieś sznury. Spojrzała przed siebie. Tłum stawał się coraz bardziej milczący, ten i ów jeszcze prychnął czy kichnął, ale uspokajał się. Wszyscy patrzyli na Anielę. Byli spragnieni jej słów.

- Idę rzygać - powiedziała głośno. Tłum zaśmiał się. Czy śmiech jest darem Ducha



Świętego?

I z trudem powstrzymując odruch wymiotny, powstrzymując odlot kurewskich gołąbków, których nażarta się u teściowej, zeszła z podium. Prosto do kibla.

Kiedy wyszła z niego, słyszała, jak Totalny usprawiedliwiał jej niedyspozycję bólem głowy i być może, chwala Panu, stanem błogosławnym, kochani, sami wiecie, jak to jest. I za Anielę powiedział wszystko.

O ojcu. O Marcie. O z religii ucieczkach i o tym, że chyba wreszcie Bóg ją dotknął, bo wreszcie odważyła się przyjść ze mną tutaj. Już wkrótce zobaczycie Anielę odmienioną. Śpiewajmy teraz, kochani, Panu: to idzie Armia Pana, to idzie Armia Pana, uwielbiamy Go...

Do domu wróciła pieszo. Cicho nuciła Dziwki są najlepsze, psia ich mać, grosz ostatni warto za nie dać na zmianę z Gdy Margot stanik swój rozpinała...

Raz na zawsze przestała ufać Totalnemu.

Odzywała się do niego rzadko, coraz rzadziej.

Chwilę po tym wydarzeniu zaszła w drugą ciążę (trwała trzy miesiące i dwanaście dni) i nie mogła odejść. Bo gdyby mogła, to odeszłyby. Chyba. Ale z Totalnym łączył ją układ. Matki z ojcem nie łączyło nic.

Po śmierci Marty ojciec odzywał się do matki rzadziej niż Aniela do Totalnego. A później wyjechał.

I przestał się odzywać w ogóle. Przesyłał pieniądze.

Od czasu do czasu. Aniela powiedziała matce, że kiedy przestaną dostawać pieniądze, to pewnie będzie znaczyło, że tato umarł (jak wuj Olen), a matka odrzekła, że bez tych pieniędzy byłoby im bardzo trudno, ale z ojcem jeszcze trudniej.

Aniela nie tęskniła za nim. Nie wiedziała, czym się zajmował. I czy już panią Annę wymienił na kolejną Dupcjanę.

Uczyła się dużo. Przestała żuć gumy, zlikwidowała ich przechowalnię pod kuchennym stołem. Kupiła sobie pierwszy puder, który trochę przykrywał, trochę tuszował sińce, co rozkwitały pod jej oczami.

W domu też trochę się zmieniło. Granit wylądował na śmietniku, na jego miejscu nie pojawił się żaden inny telewizor. Nie jest nam potrzebny, powiedziała matka, a Aniela nie sprzeciwiła się, bo od czasu dłoni ucałowania rzadko sprzeciwiała się matce. Ta zaś odłożyła trochę pieniędzy z dyżurów dodatkowych i stare paździerze z dużego pokoju zamieniła na sosnowe pod sam sufit półki, które wypełniła równymi szeregami skatalogowanych książek. Porządek musiał być. W balkonowym pokoju zrobiła garderobę.

Kuchnię pomalowała na piaskowo. Wywalała linoleum i położyła najtańszą terakotę.

Włosów nie pomalowała, chociaż Aniela kupiła jej farbę, średni blond jej kupiła.

Chodziła matka do szpitala, do pracy swojej umiłowanej, całkiem siwa, z zupełnie łysymi powiekami. Bo rzęsy zupełnie jej wypadły rok po śmierci Marty. I brwi też wylusyały.

Na Gruntową przychodziły czasem Dora z Kryską. Ale coraz rzadziej, bo Dora nie czuła się dobrze, stękała, kwękała, ale nie żałośnie, częściej bezgłośnie.

I niezmiennie łagodnie w obejściu z Kryską sobie poczynała. A Kryska zabijała Dorę powoli, katowała ją ta góra wielkiej baby, z cyckami jak krecie kopce, waląca pod siebie to tu, to tam. A Dora, co Kryską durną powiła, Kryską, co karą być miała za miłość do księdza, choć ci z domów na Asnyka mówili, że to nie tylko taka miłość polegająca na wpatrzeniu była, i szeptali, że Kryska to córka księdza, córka pozasakramentalna i dlatego pozaludzka. Wszystko to Dora zносиła spokojnie. Trzymała zawsze Kryską za pokrecone ręce, wycierała jej zaślinioną gębę i zawsze do niej Krysiuniu, Krysiuniu. Nie inaczej.

A potem Dora i Krysiunia piły herbatę i szły do siebie.

Ciotka nigdy nie pytała o brata. O ojca Anieli. Do śmierci nie zapytała.

Umarła kilka miesięcy po rozwodzie Anieli. Cicho. We śnie. Kiedy sąsiedzi znaleźli ją parę dni po zgonie, śmierziała bardziej niż srająca pod siebie od kilku dni Kryska. Wtedy matka postanowiła Krysię pod opiekę sióstr oddać.

Ciotka nigdy nie pytała o brata. I matka też. Choć może gdyby zapytały, Aniela

powiedziałyby. A może by nie powiedziała. Bo Aniela spotkała ojca. Spotkała go wtedy, kiedy Marysia zachorowała i kiedy Totalny na tydzień wyprowadził się do matki, wzmacniając czas ciszy Pizdeuszowej.

Był listopad.

Aniela jak co roku na mogiłki z matką się wybierała i z Marysią, na groby babki i siostry chciała z matką pojechać, i pewnie zrobiłaby to tak, jak od wielu lat robiła, z ciężkimi donicami drobnych białych chryzantem, ze szklanymi zniczami, które w torbie barabaniły jak puste półlitrowki Bałałajki. Ale nie pojechała, bo Marysia strasznie kaszłała, gorączkę miała.

Matka zjawiała się u Anieli, osłuchiwała Marysiną wklęsłą klatkę piersiową, powiedziała, zapalenie oskrzeli ma, siedź z nią w domu, żeby na płuca nie zeszło.

Postawiła małej bańki, zostawiła leki, antybiotyk podawaj co dwanaście godzin, te tabletki do ssania, ta zawieszina do gardła płukania i nie wychodź z nią, na Boga, nigdzie, bo będzie wiecznyodpoczynekraczejdaćpanie. Aniela została z Marysią.

Dopiero tydzień później do Marty na cmentarz pojechała. Z Maryską matka została.

Już nie było tłumów żywych trzęsących się nad umarłymi. Z zimna. Znicze dogasały. Po święcie zostawały śmieci. Mróz szczypał policzki Anieli. Wolno, obciążona jedną niedużą lampką, szła do grobu Marty i babki Jakuby. Przyspieszyła dopiero przy kwaterach dla noworodków i niemowlaków. Nie spojrzała na małe mogiłki aniołków. Nie zatrzymała się przy nich.

Nigdy tego nie robiła. Zmierzała szybko tam, gdzie rosły dwie tuje i dąb. Między nimi był grób Marty.

A obok niego ojciec. Aniela ujrzała go z daleka, stał oparty o dąb, stał, głowę pochyliwszy, stał, uszanek z królika zdjawszy, stał, ręce rozcierając. Po chwili zapalił papierosa. Postarzał się. Przytył. Nie, z tej odległości zmarszczek Aniela nie mogła dostrzec. Wyglądał jednak jak przygnieciony kamieniem, jak spod kamienia głowę wysuwający, brakowało tylko tego, aby Aniela ojcowskie a kuku usłyszała.

- To ty? - usłyszała swój głos.

Spojrzał na nią. Ile lat minęło? Siedem? Osiem?

A może dziesięć? A może jeszcze więcej?

- To ja.

Patrzył na Anielę. Chciał powiedzieć, co roku tu przyjeżdżam, ale zawsze po Zaduszkach, ale zawsze po wszystkich, bo śmierci Marty nie mogę sobie wybaczyć, bo to przeze mnie. Nie mogłem patrzeć na tamto mieszkanie, na tamte ściany, na matkę pełną cierpienia, które mnie powinno dotknąć. Pytasz, czy udało mi się uciec? Nie. Wciąż czuję ciężar ciała Marty, które wnosilem na drugie piętro po to tylko, żeby mogło umrzeć na swoim półko-tapczanie. Wciąż mam ten sam sen: niosę Martę, a ona staje się coraz lżejsza, coraz lżejsza i tuż przed drzwiami do naszego mieszkania widzę, że mam zamiast niej kaszmirowy koc, którym otulam ciebie, taką małą. Czy Marta cię otula, Aniela? Bo mnie tak. Zmieniłaś się, kobietę widzę przed sobą, piękną kobietę, choć w berecie i w długim płaszczu, i w ciężkich butach, nie przestałaś nosić ciężkich butów, chciał powiedzieć. I może jeszcze chciał zapytać, co z matką, jak sobie radzi, bo ja, widzisz, dziecko, popełniłem błąd, zostawiając was, do rodziców wyjeżdżając, w dolinach Dolnego Śląska zamieszkując. Nie doceniłem ciszy, którą przy was miałem, i spokoju, który przy was panował, i żony, która nie wtrącała się w moje życie tak, jak Anna głupia panna, która po trzech latach odeszła z moim sąsiadem. Nie, nie przyjacielem, przyjaciół nigdy nie miałem. A kiedy odeszła, ojciec mój, a twój dziadek (bo moja matka dawno umarła), nie znasz jego imienia, no pewnie, jak możesz znać, skoro on cię widział tylko raz, na twoich chrzcinach, więc twój dziadek Wojciech zaczął coraz bardziej pamięć tracić. Kiedy po wyjeździe z B. przyjechałem do niego, pamiętał tyle, że miał syna. O córce, o Teodorze, zupełnie nie wspominał. Zresztą przeklął ją, kiedy Kryskę urodziła. Dlaczego dziadek nie przyjeżdżał do nas, chcesz zapytać? Aniela, to trudne tak jak to, co między mną i tobą. Poróżniliśmy się. Wiele lat temu. Miałaś rok, może dwa lata. O co? Już nie pamiętam. Tak, też mam słabą pamięć, ale nie tak słabą jak dziadek Wojciech, który

nie wie, że cukier to cukier, a gówno to gówno.

Wyprowadzam go na spacer jak małe dziecko, uczę go słów, a raczej przypominam stare, kąpię go, szoruję jego sztuczną szczękę, zakładam pieluchy. Dbam o to, żeby z domu nigdy nie wychodził bez plakietki, bez Wojciech Kiliński napisu. A i tak się gubi. Szukam go później po naszym małym mieście, szukam mojego ojca. Czasem ludzie go odprowadzają. A czasem nie. Tak, imię mam po nim. Wiesz, że tobie nigdy nie zmieniałem pieluch? Dziś wiedziałbym, jak to zrobić. Dużo wiedziałbym teraz, ale jest za późno.

I przepraszam, no, sama wiesz za co... Piękna jesteś, Aniela. Zdjęłaś rękawiczkę, obrączkę widzę na twoim palcu, za mąż wyszłaś, pewnie masz gromadkę dzieci, dlaczego z tobą nie przyszły, no tak, zima już prawie, mróz, zmarzłyby. Na szczęśliwą wyglądasz.

A co u matki? Pewnie dobrze.

Patrzył na Anielę i wszystko, co chciał powiedzieć, wkopał razem z chryzantemą w grób Marty.

- Zmieniłaś się - wypuścił nosem papierosowy dym.

Nawet nie wiesz, jak bardzo zmieniłam się, tato, nawet nie wiesz jak bardzo. Już nie ma we mnie nienawiści do ciebie jak wtedy, kiedy wyjechałeś, porzuciłeś, zostawiłeś, bez słowa, bez niczego. Już nie ma we mnie nienawiści do ciebie za to, co robiłeś.

Wtedy w hotelu. Długo widziałam cię w oczach każdego chłopca, który chciał mnie dotknąć. Było ich kilku. Żadnemu nie pozwoliłam zbliżyć się do siebie.

Przez ciebie. Dopiero jemu pozwoliłam, Totalnemu pozwoliłam. Chcesz wiedzieć dlaczego. Nie wiem, tato. On pożył mnie inaczej. Czasem, ale tylko czasem, przypominał mi Martę. Może dwa, a może trzy razy zobaczyłam w jego oczach moją siostrę. Pewnie powiedziałbyś, że zgłupiałam. Zgłupiałam. Byłam naiwna. Sądziłam, że dziecko powinno mieć ojca. Bo ty, tato, pokazałeś mi, że dziecko można wychować bez ojca. Wiem to. Matka poradziła sobie. I wiem, że ja również nie zginęłabym. Jestem silna, tato. Wtedy jednak uwierzyłam, chyba z lenistwa uwierzyłam, że oboje rodzice muszą być przy dziecku, uwierzyłam, bo tak było mi wygodnie, bo nie miałam zamiaru wychowywać samotnie jego dziecka. Pamiętałam swoją tęsknotę za tobą. Jak ma na imię nasze pierwsze dziecko? Nie wiem, kim było. Pewnie Wyrostkiem Robaczkowym. Drugie to chłopczyk - Ignacy. A trzecie to dziewczynka. Urodziłam ją w piątym miesiącu ciąży. To była Krysią. Wzruszasz się? Była podobna do naszej Krysi. Teraz mam Marysię. Całą i zdrową.

Nie chciałam jej urodzić. Bałam się, że zanim urodzę, to ona umrze. Że będę jak Kobieta Trumna. A kiedy ją urodziłam, bałam się, że sama umrę. Tak, tato. Nie umarłam. Marysia też żyje. Ma migdałowe oczy Totalnego. I dobroć Marty w sobie. Nie, tato, nie kochałam go. Może starałam się być odpowiedzialna. A może odpowiedzialność pomyliłam z czym innym. Z czym? Nie wiem, tato. Wyszłam za mąż, bo myślałam, że obowiązki można podzielić na pół.

A później sprzedałam się. Jak dziwka. Bo przecież nie musiałam żyć z moim mężem. A żyłam. Umiesz mi to wyjaśnić? Bo ja już niczego nie rozumiem. Tak, tato, władowałam się. Władowałam się jak ty ze swoją ucieczką od nas. Bo nie sądzę, żebyś był szczęśliwy, nie wyglądasz na szczęśliwego. A czy ja będę szczęśliwa, kiedy odejdę od Totalnego? Nie wiem, tato.

Byłam wściekła, kiedy odszedłeś, ale dziękuję ci, że odszedłeś. Czy cię potępiam? Nie, tato. Nie dzisiaj, nie po Tadeuszu. Myślę, że jestem bardziej podobna do ciebie niż ktokolwiek inny. Choć inne mam oczy.

Patrzysz na moją obrączkę. Chciałam ją dzisiaj zakopać, tutaj, w grobie Marty, pod gałęziami sosny przykrywającymi kikuty aksamitek, ale jesteś tutaj, więc nie zrobię tego, tato.

Patrzyła Aniela na ojca. I milczała.

- Trochę. Trochę zmieniłam się.

- Muszę już iść - powiedział ojciec, wdeptując niedopałek w zmarzniętą ziemię.

Aniela nie odpowiedziała. Ojciec ruszył cmentarną alejką. Pod górę.

- Tato! - zawołała Aniela. Odwrócił się. - Już nic.

Nigdy więcej go nie zobaczyła.

Ani matce, ani ciotce nie powiedziała o tym spotkaniu.

Zanim jednak Dora umarła, zanim pojawił się Totalny, Aniela i matka żyły sobie we dwie, panny samotne i milczące. Wciąż milczące. W ciszy jadały śniadania, oddzielnie jadały obiady, a kolacji w ogóle nie jadały. Matka dlatego, że wieczorami pościła, a Aniela dlatego, że rzyganie chciała powstrzymać.

- Albo na filozofię, albo na polonistykę - powiedziała matce po maturze. Zdała ją bardzo dobrze i tylko dlatego, że matematyki, chwala Panu, pisać nie musiała, że na drugi pisemny historię wybrała.

- Na filozofii stracisz wiarę - powiedziała matka, nie podnosząc wzroku. Czyściła swoją plakietkę szpitalną. Czyściła swoje imię i nazwisko. Czyściła napis na metalowej tabliczce wyżłobiony: lek. med.

Aniela Kilińska.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Szur, szur do kuchni młodsza Aniela posunęła, pytając starszą Anielę, zrobić ci herbaty?

A mamó spojrzęło na córkę i odrzekło, nie, dziękuję.

Nie, dziękuję.

To samo powiedziała Aniela Andrzejowi (temu, co go zmora ojcem chrzestnym Maryśki uczyniła)

- największemu katoprzyjacielowi Totalnego. Przyszedł do niej Andrzej kilka dni po tym, kiedy mężowi wieść o rozwodzie objawiła, kiedy mu pozew pokazała, w którym litanie, święta Trójco, Jedyny Boże, o swojej samotności napisała.

Stanął w progu mieszkania, trochę nieśmiały, trochę przejęty, albowiem z misją przybył.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wymamrotał niewyraźnie.

- Cześć.

- Chciałbym porozmawiać.

- O czym? - zapytała Aniela.

A on opuścił głowę.

A potem ją podniósł.

A potem wyprostował się, i Aniela już wiedziała, że opuszczenie głowy Andrzej owe nie było wyrazem skonfundowania czy też nieśmiałości, jeno ukryciem warg, ust i języka solidarnie przywołujących Ducha Świętego na pomoc. Przy rozmowie z Anielą.

A ona stała przed nim w drzwiach sosnowych, w drzwiach podwójnych, i patrzyła na gościa, patrzyła mu prosto w beczelne, pełne już mocy oczy.

I omiatała wzrokiem swoim bez Ducha jego chudą, mizerną posturę, jego łysiejącą mimo dwudziestu kilku lat czaszkę, jego za duży nos i za blisko względem linii garbatego nosa osadzone oczy.

A on zamiast powiedzieć, chciałbym przestąpić twój próg, Aniela, z dziękczynieniem w sercu swym, ale dziękczynienia nie znajduję, tylko troskę o twoje małżeństwo, zamiast tego powiedział, masz herbatę?

Wpuściła go do mieszkania. Zdjął buty, bo zawsze je zdejmował, choć tyle razy prosiła, nie rób tego, przecież mój dom nie jest meczetem, daj spokój, prosiła o to i Andrzeja, i wszystkich gości, ponieważ nienawidziła widoku obcych skarpet, nie znosiła ich zapachu. Inni nauczyli się. Andrzej - nigdy.

Kiedy więc już dopłynął do dużego pokoju w swoich jak zwykle za dużych skarpetkach, śmierdzących jak oczko wodne, w którym i rzęsy, i pijawki, i larwy muchówki, i gnojki kotłują się w zgniłych płasach, i zajął miejsce w fotelu, Aniela zapytała, to jaką chcesz herbatę, a on jak zwykle, bo u Andrzeja wszystko było jak zwykle i nigdy inaczej, i nigdy

dygresyjnie, odpowiedział: hibiskusową.

Podawała mu ją bez słowa w najmniejszej z filiżanek domowych, podała mu ją, spoglądając na zegarek, bo po Maryskę musiała biec do przedszkola. Obliczała jednocześnie, ile ma czasu dla siebie i dla dziecka, cennego czasu bez Totalnego i jego dusznej obecności.

- Cukier? - zapytał.

- Koniecznie? - podbiła pytanie Aniela.

- Jak zwykle.

Wjechał więc cukier na stół, w srebrnej cukiernicy wjechał. A Andrzej siedem łyżeczek, jak zwykle, bo Aniela liczyła, wsypał do herbacianej mazi.

- Twój mąż prosił mnie, abym z tobą porozmawiał.

- O czym?

- O waszym związku - miąż, miąż łyżeczką w syropie.

- No i?

- Chciałbym cię zapytać - liz, liz łyżeczkę od strony i wklęsłej, i wypukłej - dlaczego to robisz?

- Bo tak.

- To nie jest wytłumaczenie - siorb, siorb łyk pierwszy.

- Nie będę się tłumaczyć.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? - gib, gib w fotelu. - O terapii małżeńskiej? O ratowaniu waszego sakramentalnego związku przed grzechem rozwodu?

- Nie będę o tym rozmawiać.

A później Andrzej podrapał się w głowę, kilka łusek łupieżu spadło do herbaty, do cukru, ale on tego nie zauważył, palcami w swoich za dużych skarpetach przebierał. Zapadło milczenie. Ona oglądała przygryzioną do krwi skórę kciuka, on zaś dosiorbał resztę, dolizał wklęsłości i wypukłości łyżeczki, wstał ciężko, bo pojął, że gościem jest niemiłym i nieproszonym.

- Unieszczęśliwisz dziecko - dodał przed wyjściem, ale Aniela już przytrząskiwała drzwiami jego słowa.

Odetchnęła głęboko. Poczwała wówczas, że to dopiero początek batalii, że będzie musiała znieść daleko więcej niż rozmowę z Andrzejem, bo Totalny zaczął formować szyki. Że nie będzie łatwo wycofać się z obietnic małżeńskich, z obietnic błogosławionych.

Oparta o drewnianą framugę, zbierała siły do walki z matką Totalnego - emocjonalnym czołgiem, uzbrojonym i opancerzonym czołgiem, który rozwaliał z gładkolufowej armaty oskarżeń i manipulacji każdego, kto wbrew woli Totalnego czynił. Był też Mietek, komplet części zapasowych pełnego amunicji czołgu, zestaw narzędzi i koniecznych przyrządów przeznaczonych do wspierania matki walczącej, Judyt wojującej. Mieczyk, kiedy nie był pijany, miał trwać w nieustannej gotowości do wspierania swojej żony. Co z tego, kiedy był oprzyrządowaniem niekompletnym i dlatego bezużytecznym. I kiedy tot-matka jazgotała, ale tylko przy ludziach, ale tylko na pokaz, czyż nie mówiłam, Mieczyku; prawda, Mieczyku; powiedz coś, Mieczyku; tot-ojciec niezgrabnie kiwał głową i milczał. Bo wiedział, że bez względu na to, co powie, i tak będzie źle.

Zbierała Aniela siły do walki.

A później wygotowała we wrzątku filiżankę i łyżeczkę po Andrzej, wyparzyła cukiernicę i powycierała stół w pokoju.

Chwilę później zanurzyła w kiblu głowę. Wymiotowała krwią i żółcią.

Krwia i żółcią wymiotowała od dawna. Od dawna bolało ją też podbrzusze. Tak jak wtedy, kiedy miała poronić lub przedwcześnie urodzić. Poszła do lekarza. Rodzinnego. Przepisał jej tabletki rozkurczowe.

Pomogły. Kiedy bolało, łykała proszki i trwała.

Ale dopiero po rozwodzie poszła do prawdziwego lekarza, od podbrzusza i krwawień nadprogramowych, od bólów rozrywających wnętrzości, poszła do niego po ostatniej

sprawie, podczas której w sądzie zimnym jak szpital zapadł wyrok, a w nim, że dziecko z powódką zostaje, że dwa popołudnia w tygodniu może pozwany spędzić z córką i co drugi weekend też. I żalosne alimenty, Totalnego wdowi grosz, biednego Totalnego, męża byłego, alleluja, alimenty też sąd przyznał. Aniela szepnęła: dokonano się.

Dwa tygodnie później Aniela przyniosła do matki wyniki badań, przyniosła je zmija plemienna do własnej matki, prosto od lekarza, Marysię z przedszkola odebrawszy, Marysię, co szykowała się już do pierwszej klasy. Przyszła do swojej matki rozwódka, co życie mężowi uprzykrzyła i popsowała. I wstydu mu narobiła w kościelnych kręgach. I przyjaciół nie posłuchała katolickich. I Barbarę nawracającą Anielę na tot-drogę-życia z domu wypieprzyła, mówiąc, do widzenia pani, nie mamy o czym rozmawiać, Marysiu, zrób babci pa pa! I żałowała, że Mieczyka nie posłuchała. Kiedy do niej przyszedł przed ślubem, tylko wciąż o jego butach gadała.

Przyszła Aniela do matki.

- Kiedy robiłaś ostatnio badania? - matka spojrzała przerażona na Anielę.

- Zaraz po urodzeniu Maryśki.

- I przez tyle lat nie pokazałaś się lekarzowi?

- Za często pokazywałam się przed Maryską.

Później nie miałam czasu.

- Ale dlaczego?

- Co dlaczego? Dlaczego nie miałam czasu czy dlaczego jestem chora?

- Aniela... jesteś...

- Jestem. A ty jesteś lekarzem.

- Ale nie od macicy, do cholery!

- Nie płacz, mamó.

Ale matka rozplakała się.

Aniela wzięła z kuchennego stołu, z tego samego stołu, pod którym przechowywała wiele lat temu zzuwki, wzięła wyniki badań, wzięła tę bumażkę, na którą pewnie nikt by się z nią teraz nie wymienił, bo nie miała obrazkowych historyjek, tylko łacińskie zaklęcia, wzięła papier z wyrokiem i wyszła z domu.

Od matki pojechała z Marysią do Poli.

Pola, w kolejnej, czwartej, już bardzo wysokiej ciąży, czekała na Anielę.

- To dziewczynka. Tym razem dziewczynka. Dziś się dowiedziałam - ucieszona Pola przywitała Anielę.

Ale Aniela nie miała siły cieszyć się. Wysłała Maryskę do pokoju chłopców i powiedziała Poli. Wszystko.

- Myślisz, że to kara?

- Za co, Aniela? Za co kara?

- Za brak wiary. Za męża niekochanie. Za zdradę.

Za rozwód. Za wszystko.

- Żadna kara. To życie, Aniela.

- Kara za życie?

- Rozmawiałaś z Totalnym?

-Nie.

- Jesteś wściekła na niego.

- Jestem.

- Porozmawiasz?

- Porozmawiam. Zrobię mu prezent.

- Jaki?

- Umrę. Uwolnię go od siebie. Sakramentalnie pojmie kolejną. Już katoliczką. Już charyzmatyczną kobietę.

- Aniela.

-Tak?

- Nie chcę, żebyś...
- Ja też nie chciałam, żeby Marta... Jakie znaczenie ma to, czego chcemy?
- Żadnego.
- Sama widzisz.

Pola widziała. Widziała przed sobą Anielę z nowotworowymi, złośliwymi kajzerkami na macicy, z jedną mniejszą a drugą większą, z okruchami torbieli na jajnikach.

Pola powiedziała, że nie ma co przesądzać, przecież Aniela idzie do szpitala (tak, już jutro), przecież wszystko okaże się, kiedy doktorzy rozkroją bochen Anielinego brzucha tuż nad blizną po wyrostku i kiedy wyrzucą, co potrzebne i co niepotrzebne (tak, już pojutrze).

Aniela poprosiła cicho Połę, żeby przestała już gadać. Gibała się jak matka po śmierci Marty. I dodała, cała jestem na śmietnik, mam nie tylko chore wnętrzności. Ale Pola milczała.

- Pola - powiedziała Aniela, kiwając się. Aniela-bliżej. Aniela-dalej. - Nie pozwól.
- Na co?
- Żeby zrobił z Marysi fanatyczkę. Przypilnuj tego.
- Chcesz ją oddać Totalnemu?
- To ojciec.
- A twoja matka?
- To tylko moja matka.
- Przecież wyzdrowiejesz - Pola płakała.
- Może tak. A może nie.

- Może Bóg nie odstrzeli cię tym razem? Może przełoży egzekucję?

- Może. Obiecuj, że przypilnujesz Marysi. I Totalnego - poprosiła po raz kolejny.

Z pokoju dzieci dobiegł tekst wyliczanki: pan Pierdziołka spadł ze stołka, złamał nogę o podłogę, olaboga - moja noga! Kupcie trumnę, bo ja umrę! Jeszcze trumna nie kupiona, a już noga wygojona.

- Słyszysz? Wygoisz się - powiedziała Pola.
- Mówiłam ci kiedykolwiek, dziwko, że cię...?
- Nie mówiłaś. Nie mów.
- Pamiętaj o tym jednak - powiedziała Aniela.

Zawołała Maryskę, wychodzimy, nie chcę, mam, płoszę, jeszcze chwilę, wkładaj buty, dziecko.

Pola także poprosiła. Aby zostały.

- Nie teraz. Ale przyjdź do mnie jutro. I pojutrze. Do szpitala. Wtedy okaże się to, co się okaże.

Przyjdiesz? Dasz radę? - Aniela dotknęła brzucha Poli.

- Przyjdę. Wyzdrowiejesz?
- Spróbuję.
- Chcę, żebyś trzymała Anielę do chrztu - pogłaskała dziecko w brzuchu.
- Anielę?
- Tak.
- Masz już trzech synów i nigdy mnie o to nie prosiłaś.
- Odmówiłaś. Prawda?
- Prawda.
- Masz żal?
- Do kogo?
- Do Boga.
- Dlaczego?
- Bo twoja matka, twoja siostra i teraz ty... Aniela, to przekleństwo?
- Skoro to nie jest kara, to może nie jest to także przekleństwo. Życie raczej - Aniela

uśmiechnęła się przez łzy.

- Dlaczego ty?
- A dlaczego nie ja? Nikt nie wie dlaczego. Może to przez ten krzyż...

- Jaki krzyż?
- Ten, który wyrzuciłam z okna po śmierci Marty.
- Wyrzuciłaś?
- Wyrzuciłam.
- I?
- Bóg chyba nie jest aż tak bardzo złośliwy.
- Musisz iść?
- Muszę.
- Dokąd?
- Przygotować się do egzekucji - powiedziała Aniela. Pola zacisnęła usta. - Gdyby miała nastąpić, nie chcę mieć zawiązanych oczu - wyjaśniła Aniela.
- Nie rozumiem.
- Idę do spowiedzi. Byłam u niej cztery razy w życiu. Tylko przed sakramentami. I raz po śmierci Marty. A jeśli mam... chciałabym Martę spotkać.
- Przecież jeszcze nie umierasz.
- Przestań, Pola.
- Aniela.
- Tak.
- Boisz się?
- Bardzo. Idę już.
- I poszła. Z córką.

Za rękę trzymając się, szły ulicą Lipową, w stronę Białego Kościoła szły. Marysia śmiała się i ciągle gadała. Aniela milczała i uśmiechała się. Uśmiech sznurował jej usta i oczy. Chronił przed krzykiem i wybuchem płaczu.

I szła Aniela, trzymając w swojej dłoni małą dłoń dziecka. Duża dłoń była spocona, mała dłoń nasiąkała chłodnym potem dużej.

Wreszcie Marysia wciągnęła Anielę do księgarni, chodź, mamó, chodź, może coś znajdziemy, książkę znajdziemy, obiecuję, niedługo.

- A szukasz jakiejś?
  - Chcę encyklopedię techniki, mamó.
  - Dlaczego?
  - Z chłopakami cioci Poli lakietę budujemy - wyjaśniła. Wciąż nie wymawiała „r”.
  - I potrzebujesz?
  - Potrzebuję.
  - Kupię ci pod jednym warunkiem.
  - No?
  - Że zabierzecie mnie ze sobą.
  - Lecimy do nieba. To jest daleko. Chcesz?
  - Chcę.
  - To dobrze. Każda pała nóg się przyda.
  - Nóg?
  - Żeby wznieść się w niebo, trzeba wziąć lozped. Nie wiedziałaś?
  - Nie.
  - Musisz mieć siłę w nogach. Słabych nie bierzemy. Musisz być silna. Będziesz?
- Aniela ścisnęła mocniej dłoń córki.  
Drzwi księgarni zatrzasnęły się za Anielą.  
I za Marysią.